



JOSEPH CONRAD

---

**U kresu sił**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



JOSEPH CONRAD

MŁODOŚĆ I INNE OPOWIADANIA

## *U kresu sił*

TŁUM. ANIELA ZAGÓRSKA

### I

Gdy parowiec „Sofala” skręcił ku lądowi, niskie błotniste wybrzeże jeszcze długi czas wyglądało jak smuga ciemności ciągnąca się za pasem rozjarzonego blasku. Promienie słońca, padając z siłą na spokojne morze, rozbijały się o diamentową powierzchnię w migotliwy pył, w olśniewającą, świetlistą mgłę, która oslepiła oczy i nużyła mózg ruchliwym blaskiem.

Kapitan Whalley nie patrzył na morze. Siedział w obszernym trzcinowym fotelu, wypełniając go całkowicie swoją osobą; gdy serang<sup>1</sup> zbliżył się i powiedział zniżonym głosem, że trzeba zmienić kurs, kapitan podniósł się natychmiast i stał z twarzą zwróconą ku przodowi, podczas gdy dziób statku obracał się o ćwierć koła. Kapitan nie odzywał się ani słowem, nie wydał nawet sternikowi rozkazu, aby utrzymać ten sam kurs. Zamiast kapitana wymruczał rozkaz serang, podeszły wiekiem, zwinny, drobny Malaj o bardzo ciemnej skórze. A Whalley znów zasiadł powoli w fotelu na mostku kapitańskim i utkwiał oczy w pokładzie.

Nie spodziewał się ujrzeć nic nowego na owym morskim szlaku. Pływał wzdłuż tych brzegów już od trzech lat. Od Low Cape do Malantanu odległość wynosiła pięćdziesiąt mil; stary parowiec odbywał tę drogę w sześć godzin z prądem albo siedem przeciw prądowi. Potem sterowało się prosto na ląd i wkrótce trzy palmy ukazywały się na widnokręgu, wysokie i smukłe, stykające się rozczochranymi głowami, jakby powierzały sobie plotki o ciemnych zaroślach mangrowych<sup>2</sup>. Dziób „Sofali” obracał się ku ciemnemu pasowi lądu; w pewnej chwili, gdy statek zbliżał się doń ukośnie, ukazywało się na wybrzeżu kilka jasnych, jakby lustrzanych odłamków; było to ujście rzeki, napelnione wodą po brzegi. Potem statek sunął przez brunatną ciecz — złożoną w trzech czwartych z wody i jednej czwartej z czarnej ziemi — między niskimi brzegami, złożonymi w trzech czwartych z czarnej ziemi i w jednej czwartej ze słonawej wody; dążył naprzód mozolnie, jak to czynił co miesiąc przez ostatnich siedem lat lub więcej, na długi czas zanim kapitanowi Whalleyowi przyszło na myśl, że będzie miał coś wspólnego z tym parowcem i jego podróżami nie podlegającymi nigdy zmianom.

Stary statek powinien był znać drogę lepiej niż jego załoga, z której nikt tak długo na „Sofali” nie służył; lepiej niż wiemy *serang* zabrany przez Whalleya z jego poprzedniego statku (zadaniem *seranga* było trzymanie wachty kapitańskiej); lepiej niż sam kapitan, który dowodził „Sofalą” zaledwie przez trzy ostatnie lata. Można było ufać parowcowi, że z kursu nie zejdzie. Jego kompas nie zawodził. W podróży nie było nigdy z tym statkiem kłopotu, jak gdyby jego sędziwy wiek dał mu wiedzę, mądrość i spokój. Przybijał do brzegu, nie odchylając się ani trochę od swego kierunku i trzymał się wyznaczonego czasu prawie co do minuty. Czy kapitan siedział na mostku z oczami wbitymi w pokład, czy leżał bezsennie w łóżku, mógł zawsze powiedzieć, gdzie się statek znajduje, oznaczyć dokładnie jego miejsce na szlaku, po prostu obliczywszy dni i godziny. Znał dobrze ten monotony objazd handlowego parowca, w górę i w dół przez cieśniny; znał jego rozkład, towarzyszące mu widoki, spotykanych po drodze ludzi. Najpierw Malakka; statek

<sup>1</sup>*serang* (z hind.) — tubylczy bosman albo kapitan statku dowodzący załogą krajowców. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*zarośla mangrowe* — namorzyny, przybrzeżne zarośla słonowodne. [przypis edytorski]

wchodził do portu w dzień i wychodził o zmierzchu, a potem przecinał niezmiennym fosforyzującym szlakiem ten wielki trakt Dalekiego Wschodu. Mrok i błyski na wodzie, jasne gwiazdy na czarnym niebie, czasem światła parowca w drodze do kraju, sunące w prostej linii środkiem traktu, to znów nieuchwytny cień tubylczego statku o żaglach z mat, mijający „Sofalę” szybko i cicho — rano zaś, po drugiej stronie cieśniny, płaskie wybrzeże. W następnym miejscu postoju, o południu, owe trzy palmy nad ospałą rzeką. Jedyne białe mieszkające w tej osadzie były człowiekiem młodym, dawnym marynarzem, z którym Whalley zaprzyjaźnił się w ciągu licznych podróży. Sześćdziesiąt mil dalej parowiec zatrzymywał się znów w głębokiej zatoce z paru domami na brzegu. I tak dalej w kółko; statek przybijał do brzegu i płynął w dalszą drogę, brał tu i ówdzie ładunek, a na zakończenie płynął spokojnie jakieś sto mil przez labirynt drobnych wysepek aż do rozległego miasta zamieszkanego przez krajowców. Stary parowiec wypoczywał tam trzy dni, zanim wyruszał w odwrotnym kierunku, oglądając te same brzegi ze strony przeciwnej, słysząc te same głosy w tych samych miejscowościach, aż do swego macierzystego portu na wielkim wschodnim szlaku; w tym porcie statek zakotwiczył się prawie naprzeciwko ogromnej kamiennej budowli — urzędu portowego — i czekał na chwilę wyruszenia w ten sam objazd długości tysiąca sześciuset mil, objazd trwający dni trzydzieści.

Niewiele było w tym życiu rozmachu jak na kapitana Whalleya — Henryka Whalleya, zwanego Harrym Śmiałkiem — z „Kondora”, słynnego ongiś klipra<sup>3</sup>; niewiele rozmachu jak na człowieka, który obsługiwał sławne firmy, dowodził sławnymi statkami (kilka z nich było jego własnością); który dokonał sławnych podróży, był pionierem nowych dróg i nowych gałęzi handlu; który sterował po nie zbadanych jeszcze szlakach mórz Południa i oglądał wschód słońca z wysp nie oznaczonych na mapie.

Pięćdziesiąt lat służby marynarskiej, z czego czterdzieści na wschodnich morzach („terminowałem dość gruntownie”, mawiał z uśmiechem) sprawiło, że był zaszczytnie znany całemu pokoleniu armatorów i kupców we wszystkich portach, począwszy od Bombaju aż hen, tam gdzie Wschód stapia się z Zachodem na wybrzeżach obu Ameryk. Jego sława została uwieczniona — niezbyt wielkimi, lecz wyraźnymi głoskami — na mapach admiralicji. Była tam przecież, gdzieś między Australią a Chinami, wyspa Whalleya i rafa „Kondora”. Na tę niebezpieczną formację koralową słynny kliper nadział się kiedyś i tkwił tam przez trzy dni; kapitan na czele załogi jedną ręką wyrzucał ładunek za burtę, a drugą odpierał od statku całą flotyllę wojennych łodzi z dzikimi tubylcami. Ani wyspa, ani rafa nie istniały wówczas oficjalnie. W jakiś czas potem oficerowie jej królewskiej mości z parowca „Fusilier”, wysłani, aby tamten szlak zbadać, wybrali owe dwie nazwy w dowód uznania dla przedsiębiorczości człowieka i solidności statku. Poza tym każdy, kogo to interesuje, może stwierdzić w Skorowidzu Powszechnym (tom II str. 410), że opis „szlaku Malotuor Whalley” zaczyna się od słów: „Wygodna droga, odkryta w 1850 r. przez kapitana Whalleya na statku «Kondor»” itd., a kończy się gorącym poleceniem tej drogi skierowanym do żaglowców, wychodzących z portów chińskich w czasie od grudnia do kwietnia włącznie i kierujących się na południe.

Był to najczystszy zysk, jaki Whalley w życiu osiągnął. Nic nie mogło mu odebrać zdobytej sławy. Przebicie Kanału Sueskiego, jak wysadzenie tamy, wypuściło na Wschód roje nowych statków, nowych ludzi i nowe metody handlu. Zmieniło oblicze wschodnich mórz, a nawet ich ducha, tak że dawne doświadczenia kapitana Whalleya straciły wartość dla nowej generacji marynarzy.

W tamtych zamierzchłych czasach obracał kapitan Whalley wielu tysiącami funtów — własnych, i należących do jego mocodawców; zajmował się uczciwie, jak się tego od kapitana wymaga, sprzecznymi interesami armatorów, dzierżawców statków i akcjonariuszy. Nie stracił nigdy okrętu i nie zgodził się ani razu na niewyraźną transakcję; był jeszcze w pełni sił, przeżywszy okoliczności, które pomogły mu do zdobycia sławy. Pochował żonę (w zatoce Peczili), wydał córkę za człowieka, którego niefortunnie wybrała i stracił majątek więcej niż średni skutek bankructwa słynnego Towarzystwa Bankowego Travancore and Deccan, którego upadek wstrząsnął Wschodem jak trzęsienie ziemi. A teraz miał już sześćdziesiąt pięć lat.

<sup>3</sup>kliper — rodzaj szybkiego żaglowca z XIX w. [przypis edytorski]

## II

Dźwigał swoje lata dzielnie, a bankructwa się nie wstydził. Nie on jeden wierzył w trwałość Towarzystwa Bankowego. Ludzie, którzy w sprawach finansowych byli równie biegli jak on w sprawach nawigacji, pochwalali przezorność, z jaką rozporządził swymi kapitałami, i sami stracili wiele pieniędzy w olbrzymim krachu. Na tym jedynie polegała różnica między Whalleyem a tamtymi, że on stracił wszystko. A jednak nie wszystko. Pozostał mu z przepadłego majątku bardzo ładny mały bark<sup>4</sup> „Piękne Dziewczę”; kapitan kupił go, aby mieć jakieś zajęcie, gdy się wycofa z pracy — kupił go „dla zabawy” — jak to sam określał.

Na rok przed wydaniem córki za mąż oświadczył jej najformalniej, że ma morza dosyć. Ale gdy młoda para osiadła w Melbourne, doszedł do przekonania, iż nie może czuć się szczęśliwy na lądzie. Był urodzonym kapitanem marynarki handlowej i żeglarstwo dla rozrywki nie mogło go zaspokoić. Musiał żyć w złudzeniu, że prowadzi wciąż interesy, a kupno „Pięknego Dziewczęcia” zabezpieczyło ciągłość jego życia na morzu. Przedstawiał bark znajomym w różnych portach jako swoje „ostatnie dowództwo”. Kiedy już będzie zbyt stary, żeby prowadzić statek, wycofa bark z obiegu i uda się na ląd oczekując śmierci, w testamencie zaś poleci, aby w dzień jego pogrzebu wyholowano statek na głębię i tam zatopiono go z honorami. Córka nie będzie miała o to żalu, że nie chciał, aby ktoś obcy dowodził po nim ostatnim jego statkiem. Wobec majątku, który miał jej zostawić, wartość pięćsettonowego barku nie miała żadnego znaczenia. Krzepki starzec opowiadał to wszystko znajomym z żartobliwym błyskiem w oku; miał za wiele żywotności, aby oddawać się sentymentalnym żalom, czuło się jednak w tych słowach trochę smutku, gdyż kapitan wrósł mocno w życie; czerpał prawdziwą przyjemność w różnym jego odczuwaniu i z jego darów, z wysokiego szacunku, jakim się cieszył, z bogactwa, z miłości do córki i z obcowania ze swym statkiem, rozrywką samotnych, beczynnych dni.

Urządził sobie kajutę zgodnie ze swym wyobrażeniem o komforcie na morzu. Duża półka na książki (lubił bardzo czytać) zajmowała jedną ścianę; naprzeciw łóżka wisiał portret jego nieboszczki żony, płaskie malowidło olejne ciemne w kolorze; przedstawiało profil młodej kobiety o długim czarnym loku. Trzy chronometry<sup>5</sup> tykały Whalleyowi na dobranoc i witały go przy obudzeniu, współzawodnicząc z sobą szybkością rytmicznych głosików.

Wstawał co dzień o piątej. Oficer z nocnej wachty, pijąc wczesną filiżankę kawy na rufie obok steru, wysłuchiwał przez duży otwór mosiężnego wentylatora wszystkich plusków, sapań i parskań zwierchnika przy myciu. Potem następował przeciągły, basowy pomruk Modlitwy Pańskiej recytowanej głośno, z powagą. Po upływie pięciu minut głowa i barki kapitana Whalleya wylaniały się z wejściówki. Przystawał zawsze chwilę na stopniach, rozglądając się po widnokregu; patrzył w górę na ustawienie żagli i wdychał głębokimi haustami świeże powietrze. Dopiero wówczas wstępował na tylny pokład, odpowiadając na rękę podniesioną do daszka czapki majestatycznym i łaskawym: „Dzień dobry panu”.

Chodził po pokładzie sumiennie aż do ósmej. Z rzadka, nie częściej niż dwa razy na rok, musiał się posługiwać grubą laską podobną do maczugi; dolegała mu sztywność w biodrze — lekka reumatyczna przypadłość, jak sądził.

Poza tym nie znał żadnych cielesnych dolegliwości. Na odgłos dzwonka wzywającego na śniadanie schodził, aby nakarmić kanarki, nakręcić chronometry i zająć pierwsze miejsce za stołem. Naprzeciw tego miejsca wisiały wielkie fotografie córki kapitana, jej męża i dwojga małych dzieci o tłuściutkich nóżkach — jego wnuków; wszystkie fotografie były w czarnych ramkach wpuszczonych w klonową gródz kajuty. Po śniadaniu kapitan ścierał własnoręcznie ściereczką pył z tych fotografii i odkurzał olejny portret żony miotelką z piór, wiszącą zawsze na małym mosiężnym haczyku obok ciężkiej złotej ramy. Następnie zamykał drzwi od kajuty oficerskiej i zasiadał na kanapce pod portretem, aby przeczytać rozdział z grubej Biblii kieszonkowej — jej Biblii. Ale trafiały się dni, kiedy zamiast

<sup>4</sup>bark — trójmasztowy żaglowiec z ożaglowaniem rejowym na pierwszych dwóch masztach a gaflowym na ostatnim. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>chronometr — bardzo dokładny zegar stosowany w nawigacji. [przypis edytorski]

czytać siedział jakie pół godziny z zamkniętą Biblią na kolanach, z palcem wsuniętym między kartki. Może przypominał sobie nagle, jak bardzo żona lubiła żeglować.

Była prawdziwym marynarzem i prawdziwą kobietą. Kapitan uważał po prostu za artykuł wiary, że nie istniało nigdy i nigdzie, ani na lądzie, ani na morzu, weselsze i miłsze ognisko domowe niż właśnie to pod tylnym pokładem „Kondora”; wielka kajuta oficerska jaśniała bielą i złotem, uwieńczona niewiędnącymi nigdy girlandami kwiecica jakby na wieczne święto. W środku każdej z drewnianych płyt grodzi kapitanowa wymalowała pęk kwiatów ojczystych, a ta praca pełna miłości zajęła jej cały rok.

Dla kapitana pozostało to na zawsze cudem sztuki, najwyższym osiągnięciem gustu i techniki malarskiej; co się zaś tyczyło starego Swinburne’a, pierwszego oficera, za każdym razem, gdy schodził na posiłki, stawał przejęty zachwytem nad postępującą wciąż pracą kapitanowej. „Po prostu chciałoby się powąchać te róże” — oświadczał, wciągając nosem lekki zapach terpentyny, przenikający w owych czasach jadalnię; z powodu tego zapachu (jak się później Swinburne przyznał) stary oficer zabierał się do jedzenia trochę mniej ochoczo niż zwykle.

Ale nic nie przeszkadzało rozkoszować się śpiewem pani Whalley.

— Pani kapitanowa to istny słowik, panie kapitanie — orzekł Swinburne z miną znawcy, wysłuchawszy do końca pieśni, którą się rozkoszował w skupieniu, pochylony nad lukiem świetlnym.

W piękną pogodę, podczas drugiej krótkiej wachty obaj mężczyźni słuchali tryłów i rulał rozlegających się w kajucie przy akompaniamencie pianina. W dzień swoich zaręczyn kapitan napisał do Londynu po pianino, ale już przeszło rok byli po ślubie, gdy dotarło do nich, okrążywszy Przylądek Dobrej Nadziei. Przyszło w wielkiej pacy stanowiącej część pierwszego frachtu wysłanego bezpośrednio z Londynu do Hong-Kongu i zostało wyładowane w porcie — a było to wydarzenie, które ludziom krzątającym się dziś po ruchliwych bulwarach tego miasta wydaje się równie odległe i mgliste jak zamierzchłe wieki historii. Ale kapitan Whalley potrafił w ciągu półgodzinnej samotności przeżyć całe swe życie wraz z jego romantyzmem, jego idyllą i jego smutkiem. Musiał sam zamknąć żonie oczy. Odeszła spod sztandaru jak żona marynarza i w głębi ducha była marynarzem. Kapitan odczytał nad nią pogrzebowe modlitwy z jej własnej książki do nabożeństwa i głos nie załamał mu się ani razu. Podniósłszy oczy znad książki, zobaczył naprzeciw siebie starego Swinburne’a z czapką przyciśniętą do piersi; poorana, schłostana przez wichry, nieporuszona twarz oficera ociekała kroplami wody jak złom czerwonego granitu wśród ulewy. Stary wilk morski mógł sobie na płacz pozwolić, lecz kapitan musiał doczytać modlitwę do końca. Rozległ się plusk; a potem Whalley niewiele już pamiętał z tego, co się działo przez kilka najbliższych dni. Stary marynarz z załogi, władający dobrze igłą, uszył dla dziecka żałobną sukienkę z czarnej sukni matki.

Nie wyglądało na to, aby kapitan mógł kiedy zapomnieć — lecz życia przegrodzić tamą nie można, jak się przegradza ospały strumień. Życie wystąpi z brzegów i popłynie nad ludzką zgryzotą, zamknie się nad smutkiem jak morze nad martwym ciałem, bez względu na to, ile miłości poszło na dno. Ale świat nie jest zły. Ludzie okazali kapitanowi wiele dobroci, szczególnie pani Gardner, żona starszego wspólnika z firmy Gardner, Pattason i Sp., do której „Kondor” należał. Pani Gardner zaproponowała, że zajmie się małą, i we właściwym czasie zabrała ją do Anglii (była to wówczas podróż nie lada — nawet pocztą lądową) razem z własnymi córeczkami, aby dopełnić jej wychowania. Upłynęło dziesięć lat, zanim kapitan Whalley znów zobaczył córkę.

Już jako malutka dziewczynka nie bała się złej pogody i prosiła ojca, aby ją brał na pokład; umieszczał ją na piersi pod nieprzemakalnym płaszczem, skąd się przyglądała, jak wielkie bałwany wał się na „Kondora”. Kotłowanina i huk fal zdawały się napełniać jej duszyczkę niewypowiedzianą rozkoszą. „Marnuje się, powinna być chłopcem” — żartował kapitan Whalley. Nazwał ją Ivy<sup>6</sup> ze względu na dźwięk tego słowa; pociągnęła go także jakaś niewyraźna asocjacja. Ivy opłótła się mocno wokół jego serca; pragnął, aby wspierała się zawsze na ojcu jak na potężnym filarze, i zapominał, póki była malutka, że z natury rzeczy Ivy wybierze sobie pewnie kogoś innego, aby wesprzeć się na nim.

<sup>6</sup>Ivy — imię znaczące (ang.: bluszcz). [przypis edytorski]

Ale tak kochał życie, że nawet kiedy ta chwila nadeszła, potrafił wyciągnąć zeń pewne zadowolenie, niezależnie od głębokiego poczucia straty.

Kupił bark „Piękne Dziewczę” chcąc zapełnić czymś swoją samotność i wkrótce potem wziął niezbyt korzystny ładunek do Australii tylko po to, aby zobaczyć córkę w jej własnym domu. Nie czuł się tam dobrze, lecz nie dlatego, że Ivy wspierała się teraz na kimś innym; po prostu przekonał się, iż wybrana przez nią podpora wygląda przy bliższym zbadaniu na „dość słabą tyczkę” — nawet pod względem zdrowia. Sztuczna uprzejmość zięcia jeszcze mniej przypadła Whalleyowi do gustu niż sposób, w jaki zięć obracał pieniędzmi, które Ivy dostała w posagu. Ale nie zdradził się ze swymi obawami. Tylko w dniu wyjazdu, gdy stał już przy otwartych drzwiach hallu trzymając ręce córki i patrząc spokojnie w jej oczy, powiedział:

— Ty wiesz, kochanie, że wszystko, co mam, należy do ciebie i twoich bąków. Pamietaj, żebyś zawsze pisała do mnie otwarcie.

Odpowiedziała mu prawie nieznacznym skinieniem głowy. Podobna była do matki z barwy oczu, z charakteru, a także i z tego, że rozumiała go prawie bez słów.

Oczywiście była zmuszona do niego się zwrócić, a przy czytaniu niektórych jej listów kapitan Whalley podnosił białe brwi wysoko. Zresztą uważał, że możliwość zaspokajania wszystkich życzeń Ivy jest najpiękniejszą nagrodą jego życia. Pierwszy raz od śmierci żony odczuł pewną radość. Charakterystyczne było dla kapitana, że na skutek ciągłych niepowodzeń zięcia powziął dlań na odległość coś w rodzaju sympatii. Ten człowiek rozbijał się o brzeg tak nieustannie, iż byłoby po prostu niesprawiedliwością przypisywać to wyłącznie niedbałemu prowadzeniu statku. Tak, tak! Kapitan wiedział dobrze, jak się rzecz miała. Był to pech. Sam Whalley cieszył się szczęściem wprost niebywałym, ale widywał bardzo wielu dzielnych ludzi — nie tylko marynarzy — idących na dno jedynie dlatego, że mieli pecha, i dzięki temu umiał się poznać na złych symptomach. Z tych względów kapitan zaczął głęboko się zastanawiać, w jaki sposób zabezpieczyć najlepiej wszystko, co posiadał, gdy po wstępnej fali pogłosek (dosięgły go najpierw w Szanghaju) przyszedł wstrząs wielkiego bankructwa; minęły kolejne fazy osłupienia, niedowierzania, gniewu i kapitan musiał pogodzić się z faktem, że właściwie nie zostawi po sobie żadnego majątku.

I właśnie wówczas pechowiec w dalekim Melbourne, jakby czekał tylko na tę katastrofę, zaprzestał rujnujących go interesów i osiadł na łądzie — jako beznadziejnie chory w dodatku. „Nigdy już nie będzie mógł chodzić” — pisała jego żona. Po raz pierwszy w życiu lęk targnął Whalleyem.

Bark „Piękne Dziewczę” musiał teraz pracować z twardej konieczności. Nie chodziło już o utrzymanie na wschodnich morzach żywej pamięci o Harry’m Śmiałku ani o zopatrzenie starego człowieka w pieniądze kieszonkowe i ubranie, z dodatkiem paruset pierwszorzędnych cygar, na które przysyłano rachunek z końcem roku. Trzeba było zebrać wszystkie siły i wyzyskać statek, ile się tylko dało, wydzielając mu skąpo pozłoty na okazale, lecz tandetne rzeźby zdobiące dziób i rufę.

Ta konieczność otworzyła oczy kapitana na zasadnicze zmiany, jakie dokonały się w świecie. Z dawnego życia Whalleya pozostały tylko tu i ówdzie znane mu nazwiska, ale przeminęło już wszystko, co znał dawniej — i rzeczy, i ludzie. Firma Gardner, Patteson i Sp. widniała jeszcze wciąż na ścianach składów wzdłuż nabrzeża, na mosiężnych tabliczkach i szybach w handlowej dzielnicy niejednego wschodniego portu, ale w spółce nie było już ani Gardnera, ani Pattesona. I nie było też dla kapitana Whalleya fotela i życzliwego powitania w prywatnym gabinecie; nie proponowano mu dobrego interesu jako dawnemu przyjacielowi, przez pamięć na usługi, które kiedyś wyświadczył. Mężowie panien Gardner siedzieli przy biurkach w tym samym pokoju, do którego kapitan mógł zawsze wejść za czasów poprzedniej dyrekcji, choć już od dawna rzucił posadę w firmie. Statki spółki miały teraz żółte kominy z czarnym obramieniem i nie przymierzając jak tramwaje stosowały się do rozkładu wyznaczonych z góry podróży. Wiatry grudniowe i czerwcowe nic tych parowców nie obchodziły; kapitanowie ich, dzielni młodzieńcy (Whalley nie wątpił o tym), byli na pewno obznajmieni z wyspą Whalleya, ponieważ w ostatnich latach rząd umieścił latarnię morską o białym świetle u północnego krańca tej wyspy (z sektorem czerwonym nad rafą Kondora), ale większość z nich byłaby się

zdumiała słysząc, że istnieje jeszcze Whalley z krwi i kości — starzec, który się błąka po świecie, usiłując wynaleźć tu i ówdzie ładunek dla swego małego barku.

I wszędzie było to samo. Znikli ludzie, którzy pokiwaliby głową z uznaniem, słysząc jego nazwisko, i którym honor nakazywałby coś uczynić dla Harry'ego Whalleya Śmiałka. Znikły okazje, które umiałby chwycić w lot; a wraz z nimi przepadło białoskrzydłe stado kliprów, co żyły wśród burzliwych, niepewnych wichrów, wylawiając wielkie fortuny z morskiej piany. W tym nowym świecie obcinano zarobki do ostateczności, nętkano kablogramami zbiedniałych dzierżawców statków na trzy miesiące przed terminem i obliczano dwa razy dziennie pustą przestrzeń w ładowniach; gdzie tu były szanse powodzenia dla człowieka błakającego się na los szczęścia wraz z małym barkiem — taki człowiek ledwie miał prawo istnieć!

Z każdym rokiem życie stawało się trudniejsze. Whalley cierpiał bardzo, że nie może posyłać córce więcej pieniędzy. Przestał w owym czasie palić dobre cygara, a nawet palenie lichszych cygar ograniczył do sześciu sztuk na dzień. Nie mówił Ivy nigdy o swych kłopotach, a ona nie rozwodziła się przed nim nad trudnościami walki o byt. Zaufanie, jakie czuli do siebie, nie potrzebowało wyjaśnień; głębokie porozumienie między ojcem a córką trwało wciąż, bez zapewnień o wdzięczności i bez wymówek. Raziłoby kapitana, gdyby nagle przyszło Ivy do głowy otwarcie ojcu dziękować; natomiast uznał za najzupełniej naturalne, gdy go zawiadomiła, że potrzebuje dwustu funtów.

Wprowadził bark pod balastem do portu macierzystego „Sofali”, aby starać się o jakiś ładunek, i tam go doszedł list córki. Nie ma co prawdy ukrywać, pisała Ivy. Jedynym dla niej ratunkiem byłoby otwarcie pensjonatu, który ma, zdaje się, dobre widoki. Dlatego też zdecydowała się szczerze ojcu powiedzieć, że z dwustu funtami w ręku mogłaby już coś rozpocząć. Kapitan rozerwał szybko kopertę na pokładzie, odebrawszy pocztę przesłaną przez okrętowego kupca; wręczono mu ją właśnie w chwili, gdy się zakotwiczał. Przeraził się po raz drugi w życiu i stał jak wryty u drzwi kabiny z listem w drżących rękach. Ivy chce otworzyć pensjonat! Dwieście funtów na początek! Jedyny ratunek! A on nie rozporządzał i dwustu pensami.

List, Pieniądz

Przez całą tę noc kapitan Whalley chodził po rufie swego zakotwiczonego barku, zupełnie jakby miał przybić do lądu w złą pogodę, niepewny pozycji statku po wielu chmurnych dniach bez widoku słońca, księżycy i gwiazd. Wśród czarnej nocy migotały światła orientacyjne i nieruchome, proste linie latarni na wybrzeżu; naokoło zaś „Pięknego Dziewczęcia” padały na wodę redy<sup>7</sup> drżące pasemka od świateł kotwicznych. Ale kapitan Whalley żadnych świateł nie widział, o świcie zaś przekonał się, że jego ubranie przemokło na wskroś od obfitej rosy.

Bark był już obudzony. Kapitan stanął, przesunął ręką po mokrej brodzie i znużonymi krokami zszedł tyłem z drabiny pomostu. Pierwszy oficer, wałęsający się sennie po pokładzie, zobaczył zwierzchnika właśnie w chwili, gdy ziewał szerokim przedrannym ziewnięciem, i ze zdumienia zapomniał zamknąć usta.

— Dzień dobry panu — wyrzekł uroczyście kapitan Whalley, idąc do swojej kajuty. Lecz w drzwiach przystanął i nie oglądając się, powiedział: — Ale, ale, powinna tam być w schowku pusta drewniana paka. Chyba jej nie porąbali — co?

Oficer zamknął usta i spytał jakby w osłupieniu:

— Drewniana paka, panie kapitanie?

— Tak, duża płaska paka od tego obrazu, co wisi w moim pokoju. Niech pan każe ją wynieść na pokład i powie cieśli, żeby ją obejrzał. Może wkrótce będzie mi potrzebna.

Pierwszy oficer stał jak skamieniały, póki nie usłyszał, iż drzwi od kajuty kapitana się zatraskują. Kiwnął wówczas palcem na drugiego oficera i powiedział mu, że „coś się święci”.

Gdy zadzwoniono na drugie śniadanie, władczy głos kapitana Whalleya zahuczał przez zamknięte drzwi:

— Siadajcie, panowie, proszę na mnie nie czekać.

Zdumieni oficerowie usiedli na swych miejscach, zamieniając nad stołem spojrzenia i szepty. Jak to? Nie będzie jadł drugiego śniadania? A w dodatku całą noc włóczył się

<sup>7</sup>reda — akwen przed wejściem do portu. [przypis edytorski]

po pokładzie! Nie ma dwóch zdań, że coś się święci. Pod lukiem nad ich głowami, schy-  
lonymi poważnie każda nad swym talerzem, trzy druciane klatki skrzypiały, kołysząc się  
od skakania niespokojnych, głodnych kanarków. Z kajuty „starego” dochodziły odgłosy  
świadczące, że kapitan krząta się po niej spokojnie. Nakręcił metodycznie chronometry,  
odkurzył portret nieboszczki żony, wydobyl z szuflady czystą koszulę i przygotowywał  
się w swój dokładny, nieśpieszny sposób do wyjścia na brzeg. Tego ranka nie mógłby nic  
przelknąć. Postanowił sprzedać swój bark.

### III

Właśnie o tym samym czasie Japończycy poszukiwali na wszystkie strony statków euro-  
pejskiej konstrukcji i kapitan Whalley nie miał trudności w znalezieniu nabywcy-speku-  
lanta, który targował się ząb za ząb, ale zapłacił gotówką za „Piękne Dziewczę”, spodzie-  
wając się, że odprzeda statek z korzyścią. I tak się to stało, że kapitan Whalley schodził  
pewnego popołudnia ze stopni prowadzących do jednego z największych urzędów pocztowych  
Wschodu i trzymał w ręku niebieskawy pasek papieru. Był to kwit na list polecony,  
zawierający dwustofuntowy czek wysłany do Melbourne. Kapitan Whalley wetknął kwit  
do kieszeni w kamizelce, wyjął laskę spod pachy i ruszył w dół ulicą.

Szedł niedawno otwartym, nie uporządkowanym jeszcze traktem o prymitywnych  
chodnikach i miękkim pokładzie kurzu, który zaścierał całą szerokość jezdni. Ów trakt  
dotykał z jednego końca nędznej uliczki biegnącej wśród chińskich sklepów blisko por-  
tu, a z drugiego ciągnął się na przestrzeni paru mil przez niezabudowane tereny, pokryte  
miejscami roślinnością właściwą dżungli; dochodził aż do bramy wiodącej na dziedziniec  
Zjednoczonej Spółki Dokowej. Pospolite fronty nowych budynków rządowych prze-  
platały się z czarnym ogrodzeniem pustych parceli, a widok nieba zdawał się dodawać  
przeźrzeniu szerokiej ulicy. Była pusta; krajowcy unikali jej po godzinach pracy, jakby  
spodziewając się, że któryś z tygrysów, gnieżdżących się w sąsiedztwie nowych wodociągów  
na wzgórz, przybiegnie galopką środkiem traktu, aby schwytać sobie na kolację  
chińskiego sklepikarza.

Idąc pustką wspaniale zarysowanej alei, kapitan Whalley nie wydawał się pomniejs-  
szony. Miał na to zbyt piękną prezencję. Jego samotna postać o wielkiej białej brodzie  
jak u pielgrzyma dążyła widać do jakiegoś określonego celu; w ręku trzymał grubą laskę  
podobną do maczugi. Z jednej strony ulicy stał nowy gmach sądu o niskim portyku bez  
ozdób, zaopatrzony w przysadziste kolumny na wpół ukryte za kilku starymi drzewami,  
które tam pozostawiono. Z drugiej strony boczne skrzydła nowego gmachu skarbowego  
kolonii dochodziły aż do chodnika. Kapitan Whalley, który nie miał teraz ani okrętu, ani  
domu, przypominał sobie przechodząc, że na tym samym miejscu — kiedy pierwszy raz  
przyjechał z Anglii — była wieś rybacka: kilka szałasów zbudowanych z mat wznosiło się  
na palach między błotnistą zatoką o poziomie wody zależnym od przypływu i odpływu  
a bagnistą ścieżką, która biegła dalej, wijąc się wśród splątanego gąszczu, gdzie nie było  
żadnych doków ani też wodociągów.

Kapitan Whalley nie posiadał już statku — a zatem i domu. A biedna jego Ivy tam  
daleko również domu nie posiadała. Pensjonat nie jest domem, choć może być środkiem  
utrzymania. Uczucia kapitana były dotkliwie urażone projektem pensjonatu. Stanowisko  
społeczne Whalleya dało mu to usposobienie prawdziwie arystokratyczne, nacechowane  
pogardą dla snobizmu i uprzedzeniem do niektórych zajęć jakoby uwłaczających ludzkiej  
godności. Osobiście wołał zawsze służbę na statku handlowym (gdyż jest to zajęcie uczci-  
we) niż kupno i sprzedaż towarów, zawód polegający w gruncie rzeczy na tym, aby kogoś  
nabrać przy targu — co w najlepszym razie jest próbą sprytu pozbawioną godności. Ojciec  
kapitana, emerytowany pułkownik ze Wschodnio-Indyjskiej Kompanii, posiadał bardzo  
małe środki poza swoją pensją, ale bardzo wysokie stosunki. Kapitan pamiętał z chło-  
pięcych lat, jak często kelnerzy w gospodach, wiejscy przekupnie i różni inni ludzie tej  
kategorii mówili do starego żołnierza „panie hrabio”, sądząc z jego wyglądu.

Sam kapitan Whalley (byłby wstąpił do marynarki wojennej, gdyby ojciec go nie od-  
umarł jako trzynastoletniego chłopca) wyglądał imponująco, niby stary admirał okryty  
sławą. Mimo to zgubił się — jak słomka w wirze strumienia — wśród roju brunatnych  
i żółtych ludzi zapelniających przecznicę, która przez kontrast z opuszczoną przez kapitana

Duma



szeroką i pustą aleją wydawała się wąska jak ścieżka i kipiąca życiem. Ściany domów były niebieskie; chińskie sklepy rozwierały się niby jaskinie; stopy nieokreślonych towarów wysypywały się z mroku pod długim rzędem arkad, a ognisty, pogodny zachód słońca przesycił żarem środek ulicy przez całą jej długość niby odbłask pożogi. Ten odbłask padał na jasne ubiory i ciemne twarze bosego tłumu, na bladożółte plecy półnagich przepychających się kulisów<sup>8</sup>, na strój wysokiego kawalerzysty Sikha<sup>9</sup> o rozdzielonej brodzie i zabójczych wąsach, stojącego na straży przed bramą policyjnego budynku. Przepelniony tramwaj górował wysoko nad tłumem w czerwonej mgłę pyłu, płynąc ostrożnie wśród ludzkiego potoku, i trąbił bez przerwy, niby parowiec szukający drogi wśród mgły.

Kapitan Whalley wyłonił się jak nurek po drugiej stronie ulicy i w zacienionej pustce między ścianami zamkniętych składów zdjął kapelusz, aby ochłodzić czoło. Ze stanowiskiem gospodyni pensjonatu łączyła się pewnego rodzaju niesława. Mówiono o kobietach tego zawodu, że są chciwe, niesumienne, niegodne zaufania; kapitan ani myślał potępiać jakkolwiek kategorię bliźnich — uchowaj Boże! — ale uważał, iż nie godzi się, aby ktoś z rodu Whalleyów był narażony na tego rodzaju podejrzania. Lecz nie odmawiał córki od jej projektu. Wierzył, że Ivy podziela jego uczucia, i było mu jej żal; polegał na jej zdaniu, a przy tym uważał za łaskawe zrządzenie losu, że raz jeszcze może jej pomóc; ale w głębi arystokratycznego ducha czuł, iż łatwiej by mu przyszło pogodzić się z tym, że jego córka zostanie szwaczką. Przypominał sobie coś niecoś z przeczytanego przed laty wzruszającego wiersza pod tytułem *Piosenka o koszuli*. Dobrze to komu pisać wiersze o ubogich kobietach. Wnuczka pułkownika Whalleya właścicielką pensjonatu! Brr! Włożył z powrotem kapelusz, przeszukał kieszenie i zatrzymawszy się, aby przytknąć zapalną do końca taniego cygara, dmuchnął z goryczą obłokiem dymu na świat zawierający takie niespodzianki.

Jednego był kapitan pewien, mianowicie tego, że Ivy jest nieodrodnym dzieckiem mądrej matki. Teraz, kiedy już miał poza sobą rozdzierające pożegnanie ze statkiem, widział jasno, iż sprzedaż barku była krokiem nieuniknionym. Może poczucie konieczności od dawna już wzrastało w nim nieświadomie. Ale ona, hen tam daleko, odczuła widać intuicją ową konieczność i miała odwagę nie tylko stawić czoło prawdzie, lecz ją wypowiedzieć; dzięki tym samym zaletom matka jej dawała tak doskonałe rady.

Do tego dojść w końcu musiało. Całe szczęście, że Ivy przynagliła ojca do decyzji. Jeszcze parę lat i sprzedaż na nic by się już nie przydała. Z roku na rok kapitan wpadał w coraz gorsze tarapaty chcąc się przy statku utrzymać. Czuł się bezbronny wobec podstępów złego losu, którego jawnym atakom umiałby się przeciwstawić; podobny był do skały opierającej się niewzruszenie otwartym napadom morza, a jednocześnie ignorującej wyniośle fakt, że fale ją podmywają zdradliwie od podstaw. Teraz zaś, po uregulowaniu wszystkich zobowiązań i po zadosyćuczynieniu prośbie córki, została kapitanowi z tej transakcji suma pięćset funtów, ulokowana bezpiecznie. Prócz tego miał przy sobie czterdzieści kilka dolarów — dość, aby zapłacić hotelowy rachunek, jeśli nie będzie mieszkał zbyt długo w skromnym pokoju, który zajmował.

Ów pokój o woskowej posadzce, skąpo umeblowany, otwierał się na jedną z bocznych werand. Niesymetryczny budynek z cegły, przewiewny jak klatka, rozbrzmiewał łopotem zasłon z rotanu<sup>10</sup>, targanych przez wiatr bez ustanku. Zasłony te wisiały między bielonymi kwadratowymi filarami frontu zwróconego do morza. Pokoje były wysokie, po sufitach pomykały błyski słońca odbitego w wodzie. Tłumy turystów z pasażerskich statków zawijających do portu przebiegały raz po raz mroczne, omiatane wiatrem pokoje, napelniając je zgiełkiem obcych głosów; zaludniały hotel na krótko jak gromady wędrownych cieniów, skazanych na krążenie z zawrotną szybkością naokoło ziemi bez zostawiania po sobie śladów. Gwar tych najazdów ulatniał się równie szybko, jak powstawał; turyści znikali z leżaków na werandach i z przewiewnych korytarzy, po których biegali gorączkowo w pogoni za widokami; a kapitan Whalley, krzepki, majestatyczny, zostawał prawie sam w wielkim hotelu po każdym z tych beztroskich najazdów i czuł się

<sup>8</sup>kulis — niskopłatny robotnik azjatycki. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Sikh — wyznawca sikhizmu, religii indyjskiej łączącej elementy islamu i hinduizmu. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>rotan — także rotang bądź rattan, palma wykorzystywana m. in. do wyplatania mebli. [przypis edytorski]

coraz bardziej jak rozbitek-turysta nie mający przed sobą celu — jak zbłąkany, bezdomny podróżnik.

W samotności swego pokoju palił zamyślony, patrząc na dwie marynarskie skrzynki, zawierające wszystko, co na tym świecie mógł nazwać swoją własnością. Gruby zwój map okrytych pokrowcem z żaglowego płótna stał w kącie pokoju, a płaska paka z olejnym portretem i trzema matowymi fotografiami znajdowała się pod łóżkiem.

Kapitan Whalley czuł się znużony omawianiem warunków, asystowaniem przy oglądaniu statku, całym zwykłym przebiegiem takiej transakcji. To, co dla jego kontrahentów było po prostu sprzedażą statku, stanowiło dla niego wielkie wydarzenie, pociągając za sobą radykalną zmianę życia. Wiedział, że po tym statku nie będzie już miał żadnego innego, a przecież wszystkie nadzieje jego młodości, możliwość wykonywania swego zawodu, wszystkie uczucia i czyny jego męskich lat były nierozdzielnie związane ze statkiem. Służył na statkach; bywał właścicielem statków; a nawet te lata, kiedy zerwał z morzem, osładzała mu jedynie myśl, że niech tylko wyciągnie rękę pełną pieniędzy, a będzie znowu miał statek. Mógł z łatwością się ludzić, że posiada wszystkie statki na świecie. Sprzedaż tego ostatniego przyszła mu bardzo ciężko, a gdy „Piękne Dziewczę” przestało już być jego własnością, kiedy podpisał ostatnie pokwitowanie, doznał wrażenia, że wszystkie okręty znikły naraz ze świata, zostawiając go na brzegu niedostępnych oceanów z siedmuset funtami w kieszeni.

Szedł nieśpiesznie bulwarem, stawiając duże, stanowcze kroki i odwracał wzrok od redy tak dobrze mu znanej. Dwa pokolenia marynarzy, urodziły się od czasu, gdy spędził pierwszy dzień na morzu; dwa pokolenia stały między nim a tymi zakotwiczonymi statkami. Jego statek był sprzedany. Kapitan zadał sobie pytanie: „Co dalej?”

Z tego uczucia samotności, wewnętrznej pustki i bólu — bo miał wrażenie, że wyrwano mu duszę z ciała — wynikało przede wszystkim pragnienie, aby jechać natychmiast do córki.

— Oto mój ostatni grosz — powie jej — weź go, kochanie. I oto twój stary ojciec: musisz go także wziąć.

Wzdrygnął się w duchu, jakby przerażony uczuciem kryjącym się na dnie tego popędu. Poddać się? Nigdy! Kiedy człowiek jest zmęczony bez granic, różne głupstwa przychodzą mu do głowy. Ładny byłby to dar dla biednej kobiety, te siedemset funtów obciążone czerstwym starcem, który według wszelkiego prawdopodobieństwa mógł jeszcze żyć długie lata. Przecież kapitan potrafi umrzeć na posterunku nie gorzej od któregoś z młodzików dowodzących tamtymi zakotwiczonymi statkami. Czuł się również silny jak dawniej.

Ale kto mu da pracę? To była zupełnie inna sprawa. Gdyby zaczął chodzić i szukać miejsca drugiego oficera — ze swym wyglądem i swą przeszłością — nie brałoby go ludzie poważnie; a gdyby zdołał ich przekonać, że potrzebuje zarobku, wzbudziłby może litość — co równałoby się zwłeczeniu ubrania, aby się dać obić. Nie miał ochoty podjąć się pracy za psie pieniądze. Nie chciał przyjmować niczyjej litości. Ale z drugiej strony trudno było oczekiwać, aby dowództwo — jedyne stanowisko, o jakie mógł się ubiegać nie naruszając zwykłej przyzwoitości — czyhało na niego za zakrętem najbliższej ulicy. W dzisiejszych czasach dowództwa nie sypią się jak z rękawa. Od chwili kiedy wysiadł na ląd, aby przeprowadzić transakcję sprzedaży, nadstawał wciąż ucha, ale nie doszła go żadna wiadomość o wakującym dowództwie. A nawet gdyby coś się znalazło, cała świetna przeszłość kapitana stałaby mu na przeszkodzie. Zbyt długo był swym własnym zwierzchnikiem. Jedyne zaświadczenie, jakie mógł przedstawić, było to świadectwo całego życia. Czy można wymagać lepszego polecenia? Ale czuł niejasno, że ten jedyne dokument będzie uważany za osobliwy archaizm wschodnich wód, za świstek zapisany przestarzałymi wyrazami — w na wpół zapomnianym języku.

## IV

Obracając w głowie te myśli, wałęsał się wzdłuż bariery bulwaru; szerokie jego plecy ani trochę nie były pochylone, jakby nie uczuły nigdy ciężarów, które człowiek musi dźwigać między kolebką a grobem. Spokojnych rysów kapitana nie szpeciła żadna zmarszczka, oznaka przebytych zgryzot. Twarz jego była okrągła i wcale nie opalona; górna jej część

Ojciec, Córka, Pieniądz

pełna spokoju wylaniała się ze spływającej srebrzystej brody. Cerę miał jasną, uderzająco delikatną i szerokie, potężne czoło. Pierwsze spojrzenie Whalleya padało na interlokutora niewinne i szybkie jak u chłopca, lecz dzięki nastrzępionej śnieżnobiałej strzesze brwi grzeczna jego uwaga nabierała cech bystrej badawczości. Z wiekiem trochę utył, powiększył swoją objętość jak stare drzewo, nie zdradzające żadnych oznak rozkładu; i nawet obfite fale białych włosów na jego piersi wydawały się oznaką niewyczerpanej żywotności i siły.

Był ongi dość dumny z wielkiej siły fizycznej i nawet ze swego wyglądu; świadom tego, co jest wart, nieugięty w prawości, zachował na zawsze, niby dziedzictwo po dawnych świetnych czasach, spokojny sposób bycia człowieka, który sprostał pod każdym względem wybranemu przez siebie życiu.

Szedł spokojnym i pewnym krokiem; jego stara szerokoskrzydła panama<sup>11</sup> o wąskiej czarnej wstążce miała niską główkę przeciętą głęboką fałdą od przodu aż do tyłu. Dzięki temu niezniszczalnemu, trochę spłowiałemu nakryciu głowy kapitan Whalley łatwo był dostrzegalny na zatłoczonych nabrzeżach i wśród ulicznego tłoku. Nie uznawał białych hełmów korkowych, które weszły w modę. Nie lubił ich kształtu i miał nadzieję, że do końca życia utrzyma się w formie bez pomocy tych wszystkich wynalazków ułatwiających higieniczną wentylację. Włosy strzygł krótko, bieliznę miał zawsze niepokalanej białości; ubranie z cienkiej popielatej flaneli, znoszone, lecz wyczyszczone starannie, spływało wzdłuż potężnych członków kapitana, powiększając luźnym krojem jego objętość. Wiek złagodził wesołą, spokojną śmiałość młodych jego lat, przeistaczając ją w beztruską pogodę; swobodny stuk okutej żelazem laski, uderzającej o płyty chodnika, towarzyszył jego krokom odgłosem zdradzającym pewność siebie. Niepodobna<sup>12</sup> było przypuszczać, aby człowiek o tak pięknej prezencji i niezmaconej pogodzie miał coś wspólnego z małostkowymi troskami, które wynikają z ubóstwa; zdawało się, iż całe życie Whalleya maluje się w jego postaci — życie łatwe, prowadzone na szeroką skalę, równie wygodne jak okrywające kapitana ubranie.

Nierozsądny lęk, aby nie naruszyć pięciuset funtów na osobiste wydatki w hotelu, mącił spokojną równowagę Whalleya. Nie było czasu do stracenia. Rachunek rósł coraz bardziej. Kapitan żywił nadzieję, że nawet gdyby go wszystko zawiodło, mógłby może z pomocą tych pięciuset funtów dostać jakąś pracę, a ta praca, dając mu środki utrzymania (niewiele by na nie wydawał), pozwoliłaby mu przyjść córce z pomocą. W swoim wyobrażeniu obracał jej, Ivy, pieniędzmi, nie zaś własnymi, i to wyłącznie dla jej korzyści. Kiedy dostanie pracę, będzie oddawał córce większą część zarobków; czuł się na siłach pracować jeszcze przez dobrych kilka lat, a cała ta historia z pensjonatem — rozważał — baz względu na to, jak się w przyszłości rozwinie, nie może być od razu kopalnią złota.

Ale jaką on pracę dostanie? Gotów był podjąć się każdego uczciwego zajęcia, byle tylko zacząć prędko zarabiać, albowiem owe pięćset funtów trzeba zachować nietknięte na wszelki wypadek. To było najważniejsze. Posiadając całe pięćset funtów czuł jakiś grunt pod nogami; lecz wydawało się kapitanowi, że jeśli pozwoli, aby jego kapitałik zmniejszył się do czterystu pięćdziesięciu, a nawet czterystu osiemdziesięciu funtów, pieniądze stracą całą skuteczność, jakby w okrągłości sumy była zawarta siła magiczna. Ale jakiego rodzaju pracę zdobędzie?

Pytanie to prześladowało go jak niespokojny duch, na którego nie ma egzorcyzmu. Kapitan Whalley zatrzymał się nagle na środku stromej mostka łączącego dwa granitowe brzegi uregulowanego potoku. Morskie prau<sup>13</sup> malajskie o spuszczonej rejach, zacumowane między kwadratowymi blokami kamienia, tkwiło na wodzie na wpół ukryte pod murem z łukami; na pokładzie, zasłoniętym od dziobu do rufy matami z liści palmowych, nie było śladu życia. Kapitan zostawił za sobą nagrzone chodniki obrzeżone kamiennymi barierami, które niby prostopadłe ściany skał wyginały się zależnie od linii bulwaru; rozległa przestrzeń starannie utrzymanego parku rozciągała przed nim wielkie płaty strzyżonej trawy jak gładkie zielone dywany rozpięte na gwoździach — oraz długie

<sup>11</sup>panama — rodzaj letniego kapelusza z szerokim rondem. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>prau — właśc. *proa*, łódka żaglowa z bocznym płuwakiem ułatwiającym jej utrzymanie równowagi. [przypis edytorski]

rzędy drzew, uszeregowanych w olbrzymie kolumnady ciemnych trzonów o sklepieniu z gałęzi.

Niektóre z tych alei ciągnęły się aż do morza. Wybrzeże opadało tarasami, a dalej, na gładkiej wodnej przestrzeni, głębokiej i połyskliwej jak spojrzenie ciemnobłękitnych oczu, ukośny pas nakrapiany purpurą ciągnął się w nieskończoność przez otwór dzielący dwie zielone bliżnie wysepki. Hen daleko, na zewnętrznej redzie, maszty i reje kilku statków o niewidocznych kadłubach wznosiły się prosto z wody delikatną płataniną różowych linii, rysujących się na cienistej smudze wschodniego brzegu. Kapitan Whalley ogarnął je długim spojrzeniem. Statek, który dawniej był jego własnym, stał tam również na kotwicy. Okropna była myśl, że nie mógł już teraz wsiąść z bulwaru do łódki i kazać się wieźć do niego, gdy wieczór zapadnie. Nie mógł już kazać się wieźć na żaden statek. I tak będzie pewno zawsze. Przed zakończeniem sprzedaży, póki nie odebrał jeszcze pieniędzy, spędzał co dzień kilka godzin na pokładzie „Pięknego Dziewczęcia”. Pieniądze wypłacono mu dziś rano i nagle poczuł, że nie ma na świecie statku, na którym by mógł znaleźć się każdej chwili; nie ma już statku, który by potrzebował jego obecności, żeby wykonywać swoją pracę — żeby żyć. Wydało mu się, iż taki stan rzeczy jest niewiarygodny, zbyt dziwny, aby mógł trwać. A morze pełne było statków wszelakiego rodzaju. Oto tutaj prau stoi bez ruchu, spowite w osłonę z plecionych liści palmowych — ono ma także swego człowieka, który jest dlań niezbędny. Żyją z siebie nawzajem, ten Malaj, którego kapitan Whalley nie widział nigdy na oczy, i ten stateczek o wysokiej rufie, zdający się wypoczywać po długiej podróży. A ze wszystkich statków na widnokręgu, i bliskich, i dalekich, każdy był zaopatrzony w człowieka, bez którego najpiękniejszy okręt jest rzeczą martwą, kłodą unoszącą się na wodzie bez celu.

Rzuciwszy na redę jedno jedyne spojrzenie, kapitan Whalley szedł dalej, ponieważ nie miał dokąd wracać, a trzeba było jakoś zabić czas. Aleje wielkich drzew biegnęły prosto przez Esplanadę, przecinając się pod różnymi kątami; pnie, wyglądające od dołu jak kolumny, rozrastały się bujnie. Splecione w górze gałęzie zdawały się drzemać; żaden liść nie drgnął nad głową; wysokie, smukłe latarnie z lanego żelaza, pozłacane jak berła i zmniejszające się w długiej perspektywie, stały na środku jezdni dźwigając kule z białej porcelany; wyglądało to niby prymitywna dekoracja ze strusich jaj ustawionych rzędem. Rozpłomienione niebo zapalało drobną purpurową iskrę w każdej z połyskliwych, szklanych kul.

Kapitan Whalley szedł z głową trochę schyloną; ręce jego splecione na plecach trzymały laskę, która złobiła cienki falisty ślad za jego stopami. Rozmyślał o tym, że jeżeli statek bez człowieka jest jak ciało pozbawione duszy, marynarz bez statku niewiele więcej znaczy na tym świecie niż zbędna kłoda rzucona morskimi falami na igraszkę. Taka kłoda może być zdrowa, krzepka, odporna na zniszczenie — ale cóż z tego! I nagle poczucie nieodwołalnej bezczynności zaciążyło stopom kapitana jak wielkie zmęczenie.

Rząd otwartych pojazdów toczył się nad morzem po świeżo zbudowanym bulwarze. Poprzez rozległe gazony widać było wibrujące dyski szprych. Jasne kopyta parasolek kołysały się lekko nad powozami jak rozkwitłe kwiaty wychylone z brzegów wazonu; na tle spokojnej, ciemnoniebieskiej tafli morza, przeciętej pasem purpury, wirowały koła i konie przebiebrały szybko nogami, a głowy służących Hindusów, wzniesione ponad linię horyzontu, sunęły po bledszym błękitnie nieba. Wśród otwartej przestrzeni w pobliżu małego mostka każdy z powozów, jadąc szybkim klusem, zataczał szeroki łuk i oddalał się od zachodzącego słońca, po czym stangret ściągał lejce i wjeżdżał w główną aleję. Pojazdy tworzyły długi rząd, który sunął powoli, zostawiając poza sobą rozległą, cichą czerwień nieba.

Pnie potężnych drzew miały czerwone piętna z jednej strony, powietrze zdawało się gorzeć pod wysokim listowiem, nawet ziemia deptana końskimi kopytami była czerwona. Koła toczyły się uroczyście; jedna po drugiej parasolki opadały, zwijając swe barwy jak wspaniałe kwiaty zamykające kielichy u schyłku dnia. W tym półmilowym korowodzie ludzkich istot nie rozległo się żadne wyraźne słowo wśród lekkiego, głuchego gwaru, który mieszał się ze słabym pobrzękiwaniem uprzęży, a nieruchome głowy i barki mężczyzn i kobiet siedzących parami wylaniały się obojętne, jakby drewniane, z opuszczonych bud pojazdów.



Jakiś spóźniony powóz parokonnny nie dołączył się do szeregu. Sunął szybko na bezszelestnych kołach, lecz u wjazdu do alei jeden z ciemnych gniadoszów parsknął, wygiął szyję i skoczył w bok, napierając na dyszel o stalowym końcu; płat piany padł z wędzidla na atlasową pierś konia, a ciemna twarz stangreta natychmiast pochyliła się nad cugłami, ściągając je mocniej. Było to długie, ciemnozielone lando<sup>14</sup> kołyszące się godnie i lekko na mocno wygiętych resorach; wyróżniało się pewnego rodzaju urzędowym majestatem i wyszukaną elegancją. Było jakby obszerniejsze niż zwykle lando, konie wyglądały na trochę większe, zaprząg zbliżał się o włos bardziej do doskonałości, służący siedzieli wyżej na koźle. Suknie trzech kobiet — dwóch młodych, ładnych oraz damy w wieku dojrzałym, pięknej i zażywej — rzekłbyś, wypełniały po brzegi płytkie pudło wehikułu. Czwartha twarz, męska, blada i dystygowana, o ciężkich powiekach, odznaczała się ciemnym, gęstym, stalowosiwym wąsem oraz bródką napoleońską, które dziwnym sposobem wyglądały jak dodatki wykonane z czegoś twardego. Jego ekscelencja gubernator...

Ten sunący szybko wehikul sprawił, że wszystkie inne wydały się czymś poślednim, jakby były przyćmione jego świetnością i skazane na mozolne pełzanie na kształt ślimaków. Lando wyprzedziło cały korowód, sunąc niby w pośpiechu, twarze siedzących w nim osób zatarły się, zostawiając wrażenie nieruchomych spojrzeń i obojętnej bezmyślności; a po zniknięciu landa, rzekłbyś, w pędzie ucieczki, choć długi szereg pojazdów objeżdżał zakręt stępa, perspektywa wysokiej alei wydała się pusta, bez życia, jakby pogrążona we wzniosłej samotności.

Kapitan Whalley podniósł głowę, aby spojrzeć na lando, i wyrwany z zadumy, zwrócił się myślą do spraw pozbawionych wagi (jak to często się zdarza), rozpamiętując je ze zdziwieniem. Uderzył go fakt, że do tego samego portu, w którym sprzedał ostatni swój statek, przybył na pierwszym własnym okręcie, z głową rojącą się od planów; chciał nawiązać nowe stosunki handlowe z odległą częścią archipelagu. Ówczesny gubernator zachęcał go do tego gorąco. Nie był ekscelencją ów pan Denham, dostojnik o zachowaniu pełnym prostoty, człowiek, który czuwał dzień i noc nad rozwijającą się pomyślnie osadą, oddany jej jak piastunka ukochanemu dziecku. Był to człowiek samotny, żył jakby w obozie z nieliczną służbą i trzema psami; mieszkał w tak zwanej wówczas willi rządowej — budowli o niskim dachu, stojącej wśród przetrzebionego lasu na pochyłości wzgórza; przed willą tkwił nowy maszt do chorągwi, a na werandzie przesiadywał dyżurny policjant.

Kapitan Whalley przypomniał sobie, jak szedł na audiencję, wspinając się mozolnie zboczem wzgórza pod piekącym słońcem; pamiętał pokój bardzo skąpo umeblowany, chłodny i zaciemiony; pamiętał długi stół, na którego jednym końcu znajdowały się stopy papierów, na drugim zaś dwie strzelby, mosiężny teleskop, buteleczka oliwy z wetkniętym w nią piórkiem; pamiętał także pochlebny szacunek, z jakim go przyjął człowiek dzierzący władzę. Kapitan Whalley przyszedł opowiedzieć o przedsięwzięciu bardzo ryzykownym, lecz dwudziestominutowa rozmowa w willi rządowej na wzgórzu ułatwiła mu wszystko od samego początku. A gdy kapitan odchodził, Denham, siedząc już nad papierami, zawołał do niego:

— W przyszłym tygodniu „Dido” wyruszy na objazd w tamte strony; polecę kapitanowi urzędowo, aby do pana zajrzał i zobaczył, jak się tam panu powodzi.

„Dido” była jedną z pięknych fregat krążących po morzach Chin. Tak, trzydzieści pięć lat to porządny szmat czasu; przed trzydziestu pięciu laty przedsięwzięcie takie jak kapitana Whalleya miało dla kolonii tyle znaczenia, że zasługiwało na opiekę ze strony fregaty jej królewskiej mości. Dawno to już, dawno. Jednostki coś wtedy znaczyły. Ludzie tacy jak on i jak na przykład biedny Evans o czerwonej twarzy, kruczych bokobrodach i niespokojnych oczach — Evans, który założył pierwszą stocznię do naprawy małych statków na skraju lasu, nad samotną zatoką, trzy mile za osadą. Denham zachęcał go również do tego przedsięwzięcia, a jednak skończyło się jakoś na tym, że biedny Evans umarł w kraju w ostatniej nędzy. Mówiono, że jego syn zarabia na życie tłocząc olej z orzechów kokosowych na jakiejś zatraconej wysepce Oceanu Spokojnego; ale z tej to właśnie stoczni nad samotną lesistą zatoką wywiodły się warsztaty Zjednoczonej Spółki Dokowej z trzema basenami do czyszczenia okrętów, wykutymi w szczyrej skale, z mola-

<sup>14</sup>lando — rodzaj powozu konnego. [przypis edytorski]

mi, bulwarami, elektrownią i olbrzymim dźwigiem. Ten dźwig mógł podnieść największe z ciężarów przewożonych wodą, a jego wierzchołek, podobny do szczytu dziwnego białego pomnika, sterczał zza porośniętych krzakami przylądków i piaszczystych cyplów, gdy się podchodziło do Nawago Portu od strony zachodniej.

W tamtych czasach liczono się z ludźmi; nie spotykało się wtedy tak wielu pojazdów w kolonii, choć zdaje się, że Denham miał kabriolet. I naraz wydało się kapitanowi, że z wielkiej alei porywa go w przeszłość wir duchowego odpływu. Wspomnił błotniste wybrzeże, port bez bulwarów, jedyne drewniane molo sterczące koślawo (zbudowane ze składek publicznych), pierwsze szopy na węgiel, wzniesione na Małpim Przylądku, szopy, które się zapaliły w jakiś tajemniczy sposób i tliły całymi dniami, tak że zdumione statki wchodziły na redę pełną siarczanego dymu, a słońce o południu było krwawoczerwone. Wspomnił różne rzeczy, różne twarze i jeszcze coś innego poza tym — jakby nikły smak czary do dna wychylonej, jakby musujące subtelnie powietrze, którego już dzisiaj nie znaleźć.

Podczas tej ewokacji, szybkiej i szczegółowej, wywołanej jakby błyskiem magnezowego światła rzuconego do mrocznej kaplicy wspomnień, kapitan Whalley oglądał rzeczy mające dawniej znaczenie — wysiłki maluczkich, rozrost wielkiego miasta — lecz teraz pozbawione wagi wobec wielkich osiągnięć i jeszcze większych nadziei; a wspomnienia te dały mu przez chwilę taki prawie fizyczny kontakt z czasem, takie zrozumienie niezmiennych ludzkich uczuć, że stanął jak wryty, uderzył łaską o ziemię i wykrzyknął w duchu:

— Co ja u diabła tu robię!

Zapadł jakby w oszołomienie; ale posłyszał czyjś zasapany głos, wołający go po nazwisku raz, drugi — i z wolna się odwrócił.

Spostrzegł, że staromodnie ubrany mężczyzna, wyglądający na reumatyka, sunął ku niemu z władczą miną, przewalając się z boku na bok; włosy miał równie białe jak kapitan, kwitnące jego policzki były wygolone; sztywne końce krawatki, prawie tak dużej jak szalik, wystawały z dwóch stron daleko poza szczęki; cała postać o okrągłych nogach, okrągłych rękach, okrągłym korpusie, okrągłej głowie, wyglądała, jakby ją wydęto za pomocą pompy ssąco-tłoczącej, tak że szwy ubrania naciągnęły się do ostateczności. Był to komendant portu. Komendant portu, wyższy rangą od kapitana portu, to na Wschodzie osobistość mająca w swojej sferze znaczenie; jako funkcjonariusz rządowy na obszarze wód portowych posiada rozległą, lecz ściślej nieokreśloną władzę dyscyplinarną nad marynarzami wszelkiego rodzaju. Mówiono, że ów właśnie komendant portu uważał swoją władzę za bardzo niedostateczną, ponieważ nie obejmowała prawa życia i śmierci. Była to jednak żartobliwa przesada. Kapitan Elliott czuł się zadowolony ze swego stanowiska i nie miał nadmiernego wyobrażenia o przysługującej mu władzy. Ale jego zarozumiałość i skłonność do tyranii nie pozwalały, aby ta władza marniała mu w rękach bezużytecznie. W gruncie rzeczy lękano się go wskutek hałaśliwej, wybuchowej szczerości jego komentarzy o charakterze i zachowaniu ludzi. W rozmowach niektórzy udawali, że nic przeciw niemu nie mają, inni uśmiechali się kwaśno, gdy wymieniano jego nazwisko, a byli nawet tacy, którzy śmieli go nazywać „starym wścibskim brutalem”. Lecz prawie dla wszystkich wybuchy złości kapitana Eliotta były niemal tak przykre do zniesienia jak poczucie zagrażającej zguby.

## V

Podszedłszy tuż do Whalleya, kapitan Elliott wygłosił burkliwie:

— Co ja słyszę, Whalley! Czy to prawda, że sprzedajesz swój bark?

Kapitan Whalley odwrócił wzrok od Eliotta i powiedział, że to się już stało — pieniądze zostały wypłacone dziś rano. Elliott pochwalił gorąco krok tak rozsądny. Wyjaśnił, że jedzie do domu na obiad; po drodze wysiadł z dwukółki, aby rozprostować nogi. Sir Fryderyk wygląda dobrze, choć kończy już swoją karierę. Prawda?

Kapitan Whalley nie miał o tym żadnego zdania; zauważył tylko, że wyminęło go lando.

Komendant portu, zagłębiwszy ręce w kieszeniach alpakowej kurtki, krótkiej i czarnej, nieodpowiedniej dla człowieka w jego wieku i o jego wyglądzie, kroczył godnie, z lekka utykając, przy czym głowa jego sięgała ledwie do ramienia kapitanowi Whalley-

owi, który szedł swobodnie, patrząc prosto przed siebie. Byli dawniej w zażyłych stosunkach koleżeńskich, prawie w przyjaźni. W czasach, kiedy Whalley dowodził odnowionym „Kondorem”, Eliott był kapitanem na „Gołębiu”, statku niemal równie sławnym, należącym do tych samych armatorów; a gdy powstał urząd komendanta portu, Whalleya uważano za jedyne poważnego kontrkandydata Eliotta. Ale kapitan Whalley, wówczas w pełni męskich lat, był zdecydowany służyć tylko własnej sprzyjającej mu fortunie. W dalekich stronach świata, gdzie nie zasypiał gruszek w popiele, ucieszył się z wiadomości o powodzeniu kolegi. Jego zdaniem szorstki Ned Eliott miał w sobie pewną światową giętkość, która mogła mu się przysłużyć na tego rodzaju urzędowym stanowisku. A w gruncie rzeczy tak się zawsze od siebie różnili, że gdy idąc z wolna znaleźli się przed katedrą u końca alei, kapitanowi Whalleyowi nie przeszło nawet przez głowę, iż mógłby zajmować miejsce tego człowieka i mieć byt zapewniony do końca swych dni.

Świątynia stała w uroczystym odosobnieniu, umieszczona wśród zbiegających się alei olbrzymich drzew, jakby po to, aby ludziom zażywającym odpoczynku nasuwać poważne myśli o niebie; jej gotycki portal o zamkniętych drzwiach zwrócony był do blasków i wspaniałości zachodu. Szła w rozecie nad łukiem żarzyły się jak palające węgle w głębokich wyżłobieniach kamiennego koła. Dwaj mężczyźni stanęli naprzeciw siebie.

— Powiem ci, co teraz powinni zrobić — burknął nagle kapitan Eliott.

— No?

— Powinni tu przysłać prawdziwego lorda z krwi i kości, kiedy sir Fryderyk ustąpi. Jak myślisz?

Kapitan Whalley rzekł obojętnie, że jego zdaniem lord z krwi i kości może być równie odpowiedni na tym stanowisku jak i ktokolwiek inny. Lecz Eliott był innego zdania.

— Nie, nie. Tutaj wszystko idzie jak w zegarku. Nikt nic popsuć nie może. Akurat dla lorda — burczał krótkimi zdaniami. — Popatrz na wszystkie zmiany, jakie zaszły w ciągu naszego życia. Potrzeba tu lorda. W Bombaju lorda już mają.

Raz albo dwa razy na rok bywał Eliott na obiedzie w pałacu rządowym — wielookienym gmachu z arkadami, zbudowanym na wzgórzu wśród ogrodów i alei. A niedawno obwoził księcia krwi swoją motorówką komendanta portu i pokazywał ulepszenia portowe. Przedtem zaś „pofatygował się” osobiście, aby wybrać dogodnie miejsce dla książęcego jachtu. Zaproszono go na jacht, na drugie śniadanie. Uczestniczyła w nim sama księżna — wysoka kobieta o czerwonej twarzy i skórze spalonej przez słońce; cera zupełnie zniszczona, dużo wdzięku i uprzejmości. Płynęli tędy do Japonii...

Wykrzykiwał te szczegóły ku zbudowaniu kapitana Whalleya, milknąc od czasu do czasu, aby wyduć policzki, jakby w poczuciu własnego znaczenia; wysuwał raz po raz grube wargi, przy czym tępy, purpurowy koniec jego nosa zdawał się nurzać w mleku wąsów. Tak, wszystko idzie jak w zegarku; byle jaki lord mógłby z tym sobie poradzić; żadnych kłopotów poza wydziałem marynarki — poza wydziałem marynarki, powtórzył i prychnął głośno; potem zaczął opowiadać, jak to przed paru dniami konsul generalny jej królewskiej mości we francuskiej Kochinchinie<sup>15</sup> telegrafował do niego urzędowo, prosząc, aby znalazł wykwalifikowanego człowieka na dowódcę okrętu z Glasgow, ponieważ kapitan tego okrętu umarł w Sajgonie.

— Posłałem o tym słówko do oficerskich kwater w Domu Marynarza — ciągnął dalej, kulejąc, rzekłbyś, coraz wyraźniej, w miarę jak irytacja wzrastała w jego głosie. — Pełno w tym Domu Marynarza, że ani szpilki wetknąć. Dwa razy więcej ludzi niż posad w tutejszej marynarce handlowej. A wszyscy ostrzą sobie zęby na jakąś łatwą pracę. Dwa razy więcej ludzi niż posad — i — co ty na to powiesz, Whalley...

Urwał; jego zaciśnięte pięści wyprężyły się tak silnie w kieszeniach, że, zdawało się, przebijają je lada chwila. Kapitan Whalley westchnął mimo woli.

— Co ty na to powiesz? Pomyślałby kto, że będą sobie tę posadę wydzierać. Otóż nic podobnego. Oni boją się wracać do kraju. Miło jest leżeć tu sobie w ciepłe na tarasie i wyglądać jakiejś pracy. A ja tymczasem siedzę i czekam w biurze. Pies z kulawą nogą nie przyszedł! Co oni sobie wyobrażali? Że w dalszym ciągu będę siedział jak jaki bałwan nad telegramem konsula? Jeszcze czego! Przejrzałem ich listę, wysłałem parę słów do Hamiltona — najgorszy walkoń z nich wszystkich — i po prostu kazałem mu jechać.

<sup>15</sup>Kochinchina — francuska kolonia na południu obecnego Wietnamu. [przypis edytorski]

Zagroziłem, że każę stewardowi z Domu Marynarza wyrzucić go na zbity łeb. I — proszę ja ciebie — oświadczył mi, że posada nie jest dla niego dość dobra. A ja mu na to: „Mam tu parę notatek o panu. Przybył pan przed osiemnastu miesiącami; przez ten czas nie pracował pan i sześciu miesięcy. Zadłużył się pan w Domu Marynarza i pewno liczy pan na to, że w końcu wydział marynarki rachunek zapłaci. Nieprawdaż? I tak się też stanie; ale jeśli pan nie skorzysta z tej okazji, odeślę pana do Anglii za bezpłatnym biletem na pierwszym lepszym parowcu, jaki się nawinie. Żebraw z pana po prostu. A my tu białych żebraków nie potrzebujemy”. Napędziłem mu strachu. Ale pomyśl tylko, ile musiałem się nakłopotać.

— Nie miałbyś żadnego kłopotu — rzekł Whalley prawie mimo woli — gdybyś był posłał po mnie.

Kapitana Eliotta ogromnie to ubawiło; szedł i trzął się po prostu od śmiechu. Lecz nagle spoważniał. Przemknęło mu przez myśl niejasne jakieś wspomnienie. Czy nie opowiadano podczas krachu Travancore and Deccan Comp., że biedny Whalley został do cna splukany? „Musi mu się kiepsko powodzić”, pomyślał i natychmiast rzucił spod oka spojrzenie na towarzysza.

Lecz Whalley patrzył prosto przed siebie, uśmiechając się powściągliwie z głową podniesioną wysoko, co jest niedopuszczalne u człowieka, który nie ma grosza przy duszy. Eliott uspokoił się. Bzdury. Nie mógł stracić wszystkiego. Ten statek był tylko jego namiętnością. I przyszło Eliottowi na myśl, że człowiek, który mówi, iż rano zainkasował znaczną chyba sumę pieniędzy, nie wyjedzie z prośbą o jakąś drobną pożyczkę. Kapitan Eliott do reszty się uspokoił. Zapadło jednak długie milczenie; nie wiedząc, jak nawiązać rozmowę, Eliott burknął półgłosem:

— My starzy powinniśmy już sobie odpocząć.

— Niejeden wolałby umrzeć na posterunku — rzekł niedbale kapitan Whalley.

— Tereferę! Czyżbyś nie miał dość tej całej parady? — wymruczał Eliott z kwaśną miną.

— A ty?

O tak. Kapitan Eliott ma już tego po uszy. Ale trzyma się tak długo swego urzędu, bo chciałby dostać możliwie wysoką emeryturę, nim wróci do kraju. Choć i tak będzie to wprost niedostatek — emerytura zaledwie uchroni go przed przytułkiem. I przecież on ma rodzinę. Trzy córki, Whalley wie o tym. Tu Eliott dał „kochanemu Harry’emu” do zrozumienia, że te trzy córki są dla niego źródłem największych trosk i kłopotów. Ledwie człowiek nie zwariuje.

— Dlaczego? Cóż one takiego robią? — zapytał z roztargnieniem trochę rozśmieszony Whalley.

— Robią? Właśnie, że nic nie robią. W tym cała rzecz. Ten i czytanie głupich romansów od rana do wieczora.

Gdybyż choć jedna była chłopcem! Ale same córki! I jakby na złość ma się wrażenie, że przyzwoici młodzi ludzie znikli z powierzchni ziemi. Kiedy rozejrzeć się w klubie, widzi się bandę zarozumiałych świszczypałów, egoistów, którym ani w głowie uszczęśliwić porządną dziewczynę. Skrajne ubóstwo zagląda Eliottowi w oczy z powodu całej tej bandy, którą będzie miał na karku. Rozkoszował się dawniej myślą, że wybuduje sobie na wsi mały domek — w hrabstwie Surrey — aby dożyć tam swoich dni, ale zdaje się, że nic z tego...

Wytrzeszczone oczy Eliotta spojrzały w górę na twarz kolegi z wyrazem takiego stroskania i niepokoju, że kapitan Whalley litościwie pokiwał nad nim głową raz po raz, powstrzymując jakąś niezdrową ochotę do śmiechu.

— Sam chyba wiesz, co to jest, Harry. Od tych córek głowa człowiekowi puchnie.

— Hm! A mojej córce powodzi się dobrze — wyrzekł powoli kapitan Whalley, wpatrzony w perspektywę alei.

Kapitan Eliott oświadczył, że miło mu to słyszeć. Ogromnie miło. Pamięta ją dobrze. Ładna była dziewczyna.

Kapitan Whalley, idąc niedbałym krokiem, potwierdził jakby we śnie:

— Tak. Była ładna.

Korowód pojazdów zaczął się rozpraszać.

Jeden po drugim opuszczały szereg i odjeżdżały klusa, wprowadzając do wspanialej alei ruch i ożywienie; lecz wkrótce majestatyczna samotność znów owładnęła prostą,



szeroką ulicą. Indyjski chłopak stajenny w białym ubraniu stał przy burmańskim kucu, zaprzężonym do lakierowanej dwukółki czekającej u zakrętu; a wszystko to razem nie wydawało się większe niż dziecinna zabawka zapomniana pod wyniosłymi drzewami. Kapitan Eliott pokuszył się w stronę tego zaprzęgu, jakby chciał wejść do dwukółki, ale się rozmyślił; trzymając lekko rękę na dyszlu, porzucił temat swej pensji, swych córek i swego niedostatku, przechodząc na drugi jedynie interesujący temat pod słońcem — na wydział marynarki, na ludzi i statki w porcie.

Wyliczał w dalszym ciągu wszystko, czego się od niego domagają; gruby jego głos brzmiał sennie w cichym powietrzu jak uporczywe brzęczenie olbrzymiego trzmiela. Kapitan Whalley nie wiedział, jaka siła czy też słabość powstrzymuje go od pożegnania się z Eliottem. Był jakby zanadto zmęczony, aby zdobyć się na ten wysiłek. Dziwne to. Dziwniejsze niż wszystkie wywody Neda. A może poczucie bezczynności tak Whalleya obezwładniło, że stoi i przysłuchuje się tym historiom? Rzeczy naprawdę istotne nie obchodziły nigdy Neda Eliotta; i stopniowo wydało się kapitanowi, że odkrywa w grubym, zasapanym, dudniącym basie coś z czystego, wesołego głosu młodego kapitana „Gołębia”. Whalley był ciekaw, czy on także zmienił się do tego stopnia, i nagle odniósł wrażenie, że głos jego dawnego kolegi nie zmienił się tak dalece — że i człowiek jest ten sam co dawniej.

Nie był złym chłopcem ten miły, wesoły, życzliwy Ned Eliott; znał dobrze swój fach i zawsze trochę błagował. Kapitan Whalley pamiętał, że Ned śmieszył bardzo jego żonę. Czytała w nim jak z nut. Gdy się zdarzyło, że „Kondor” i „Gołąb” znalazły się w tym samym porcie, mówiła często mężowi, aby przywiózł kapitana Eliotta na obiad. Od tamtych dawnych czasów rzadko się spotykali. Może najwyżej raz na pięć lat.

Kapitan Whalley patrzył spod białych brwi na tego człowieka i nie mógł się zdobyć na zwierzenie mu się w tej ciężkiej chwili, a tymczasem tamten wylewał wciąż przed nim najpoufniejsze uczucia, równie daleki od swego kolegi, jakby się znajdował na szczycie wzgórza odległego o milę.

Okazało się, że kapitan Eliott jest w sytuacji dość kłopotliwej z powodu parowca „Sofala”. W ostatnich czasach wszystkie trudności w porcie spadały mu na kark. Jak oni dadzą sobie radę, gdy kapitan Eliott odejdzie stąd po upływie półtora roku! Pewno dostaną na jego miejsce jakiegoś dymisjonowanego oficera marynarki, który nie będzie się na niczym znał i o nic nie zadba. „Sofala” jest statkiem przybrzeżnym utrzymującym handlowe stosunki z miejscowościami leżącymi na północ, aż do Tenasserim włącznie; ale cała trudność w tym, że nie można znaleźć kapitana, który by go poprowadził. Nikt nie chce się podjąć dowództwa. Kapitan Eliott nie może oczywiście rozkazać, aby ten czy ów człowiek podjął się jakiejś pracy. Można nadużyć raz swojej władzy na żądanie konsula generalnego, ale...

— Cóż temu statkowi brakuje? — przerwał kapitan Whalley spokojnym głosem.

— Ależ nic. To porządny stary parowiec. Jego właściciel był dziś u mnie w biurze i włosy sobie z głowy wrywał.

— To człowiek biały? — spytał Whalley z zainteresowaniem.

— Tak twierdzi — odrzekł kapitan Eliott z pogardą — ale nawet jeśli jest biały, to tylko po wierzchu. Powiedziałem mu to w żywe oczy.

— Więc kto to taki?

— On jest mechanikiem na tym swoim parowcu. Teraz widzisz, jak sprawa stoi!

— Tak — rzekł kapitan Whalley w zamyśleniu. — Mechanik. Rozumiem.

Jak się stało, że ów człowiek był jednocześnie właścicielem parowca, to cała historia. Przybył jako trzeci mechanik na statku angielskim przed niespełna piętnastu laty — kapitan Eliott pamiętał to dobrze — i został wydalony wskutek paskudnej kłótni ze swym szyprem i ze starszym mechanikiem. Na statku byli wprost zachwyceni, że się go pozbyli, bo pragnęli tego dopiąć za wszelką cenę. Typ buntownika. No i pozostał tutaj. Nudziarz straszliwy; ledwie się zaokrętował, już był znowu z powrotem w porcie, nie mógł nigdzie zagrać miejsca: przeszedł chyba przez maszynownie wszystkich statków należących do kolonii.

— No i zgadnij, co się w końcu stało, Harry! — rzekł nagle kapitan Eliott.

Kapitan Whalley, który był zatopiony w myślach, jakby coś w pamięci obliczał, drgnął z lekka. Nie, doprawdy, że zgadnąć nie może. Ochryply głos Eliotta zabrzmiał głucho

i dobitnie: człowiek ten wygrał drugi z rzędu wielki los na manilskiej loterii. Wszyscy mechanicy i oficerowie ze statków grali na tej loterii. Na tym punkcie mieli wprost bziaka.

Każdy się teraz spodziewał, że ten bałwan zabierze się do kraju ze swymi pieniędzmi i na koniec pójdzie do diabła. Ale gdzież tam. Zdarzyło się, iż parowiec „Sofala”, zbyt mały i nie dość nowoczesny na handel, którym się zajmował, został wystawiony na sprzedaż, a jego właściciele zamówili nowy statek w Europie. Wówczas ów mechanik zdecydował się w mig i kupił „Sofalę”. Dopiero gdy już miał własny statek, przewróciło mu się w głowie (bywa tak, jeśli na człowieka spadnie większa suma pieniędzy), choć dotychczas żadnych oznak tego rodzaju nie zdradzał. Oszał po prostu; wywijając laseczką wpadł w kapeluszu na bakier do wydziału marynarki w sprawie jakiegoś transportu i rozpovia- dał każdemu urzędnikowi z osobna, że nikt go już ze statku wyrzucić nie może. Teraz przyszła kolej na niego! Nie ma nad sobą żadnego zwierzchnika i nigdy już zwierzchnika mieć nie będzie. Puszył się, spacerował buńczucznie między biurkami i trzął się przy tym jak liść, a mówił tak głośno, że nikt nie mógł pracować i wszyscy w dużym pokoju patrzyli z otwartymi ustami na jego błazeństwa. Potem widywano go, jak biegł z rozognioną twarzą po bulwarach w ciągu najgorętszych godzin dnia, przypatrując się z różnych punktów swemu statkowi; zdawało się, iż będzie zatrzymywał wszystkich znajomych tylko po to, aby oznajmić, że nie ma już nad sobą nikogo; nabył statek i nikt na świecie nie wyrzuci go z jego własnej maszynowni.

Choć kupno „Sofali” było interesem korzystnym, pochłonęło prawie wszystkie pieniądze z wygranej. Massy nie zostawił sobie kapitału, którym by mógł obracać. Nie miało to jednak większego znaczenia, albowiem dobrze się wówczas działo przybrzeżnym parowcom handlowym; nie istniały jeszcze lokalne floty kolonialne, założone później przez kilka angielskich firm armatorskich dla obsługi głównych linii. Później owe floty wybierały oczywiście wszystkie rodzynki z ciasta, niebawem zaś banda obmierzłych statków niemieckich skierowała się na wschód od Kanału Sueskiego i zgarnęła wszystkie okruchy. Myszkowała, obniżając frachty<sup>16</sup>, wzdłuż wybrzeży i między wyspami jak stado rekinów czyhające, aby im coś spadło do paszcz.

Wówczas stare dobre czasy minęły bezpowrotnie; już od lat parowiec „Sofala” ledwie wiązał koniec z końcem. Kapitan Elliott uważał za swój święty obowiązek pomagać angielskiemu statkowi, by nie pracował ze stratą; ale było jasne, że jeśli z powodu braku kapitana „Sofala” zacznie opuszczać podróże, straci bardzo prędko swój handel. A cała trudność leżała w tym, że z Massym niepodobna było wytrzymać.

— Od razu przewróciło mu się we łbie — wyjaśnił Elliott. — Robił się coraz nieznośniejszy. Przez trzy ostatnie lata zmienił jedenastu szyprow; wypróbował ich tu wszystkich co do jednego, poza kapitanami regularnych linii. Przestrzegalem go, że sobie narwarzy piwa. A teraz, oczywiście, nikt nie chce nawet spojrzeć na „Sofalę”. Wezwałem paru szyprow do biura i mówiłem z nimi, ale odpowiedzieli, że nie ma celu zaciągać się na statek tylko po to, żeby przez miesiąc prowadzić psie życie i zostać wylanym u końca pierwszej podróży. Massy oświadczył mi naturalnie, że wszystko to bzdury, że już od lat intrygowano przeciwko niemu, a teraz spisek wybuchł. Ta wstrętna banda marynarzy z portu przysięgła się, żeby go upokorzyć, ponieważ jest mechanikiem

Kapitan Elliott zachichotał chrypliwie:

— I rzeczywiście, niech on opuści jeszcze parę podróży, a nie będzie miał już w ogóle po co się fatygować. Nie dostanie żadnego ładunku od dawnych klientów. W dzisiejszych czasach zbyt wielka jest konkurencja; ludzie nie pozwolą, aby ich towar poniewierał się dlatego, że jakiś statek nie przychodzi, kiedy go oczekują. Widoki są złe dla Massy’ego. Przysięga, że się zamknie w swojej kajucie i raczej umrze z głodu, niż sprzeda statek — nawet gdyby kupiec się trafił. A to wcale nie jest prawdopodobne. Nawet Japończycy nie daliby za ten parowiec sumy, na którą jest ubezpieczony. To zupełnie co innego niż sprzedaż żaglowca. Parowce nie tylko się niszczą, ale i starzeją się pod względem konstrukcji.

— Musiał sobie odłożyć dobry kawał grosza — zauważył spokojnie kapitan Whalley.

Dowódca portu wydał purpurowe policzki do zdumiewających rozmiarów:

— Ani szeląga, Harry. A-ni sze-lą-ga.

<sup>16</sup>fracht — opłata za transport towarów. [przypis edytorski]

Czekał; a gdy kapitan Whalley, przesuając z wolną ręką po brodzie, patrzył w ziemię bez słowa, Eliott klepnął go po ramieniu, podniósł się na czubki palców i rzekł ochryplym szeptem:

— Manilska loteria go wykończyła.

Zmarszczył się trochę i kiwał potakująco głową drobnymi, szybkimi ruchami. Wszyscy oni na to lecieli; jedna trzecia pensji wypłacanych oficerom marynarki „w moim porcie”, prychnął, szła do Manili. To była po prostu mania. Massy uległ jej od pierwszej chwili jak wszyscy inni; a kiedy już raz wygrał, wyobraził sobie, że niech tylko kupi bilet, na pewno wygra znów grubą sumę. Od tamtego czasu brał tuzinami bilety na każde ciągnięcie. Toteż wskutek tego nałogu i braku pojęcia o interesach brakowało mu ciągle pieniędzy, raz mniej, raz więcej — od chwili, gdy kupił parowiec.

Zdaniem kapitana Eliotta była to dobra sposobność, aby jakiś rozgarnięty marynarz z paru funtami w kieszeni wmieszał się do sprawy i ocalił tego głupca od skutków jego szaleństwa. Massy był wprost zwariowany na punkcie kłótni ze swymi kapitanami. Miewał na pokładzie naprawdę dzielnych ludzi, którym by ani w głowie postać go rzucać, gdyby im zostać pozwolił. Ale gdzież tam. Widać uważał, że nie jest właścicielem statku, jeśli nie wypędził rano jednego kapitana i nie pokłócił się wieczorem z jego następcą. Czego Massy’emu było potrzeba, to szypra z jakimś paruset funtami, który by przystąpił do spółki na odpowiednich warunkach. Nie odprawia się człowieka, który nic nie zawinił, tylko dla przyjemności powiedzenia mu, aby pakował manatki i wynosił się — gdy wiadomo, że trzeba będzie odkupić jego udział w interesie. Z drugiej strony jeśli ktoś włoży w statek pieniądze, to nie rzuci roboty wskutek kłótni o jakąś drobnostkę. Kapitan Eliott wyłożył to wszystko Massy’emu. Rzekł mu: „Panie Massy, tak postępować nie można. W wydziale marynarki mamy pana po uszy. Musi się pan teraz postarać, aby jakiś marynarz wszedł z panem w spółkę. Zdaje się, że to dla pana jedyna droga”.

— I wiesz co, Harry, to była dobra rada.

Kapitan Whalley, wsparty na lasce, stał jak wryty, a jego ręka, znieruchomiawszy podczas gładzenia brody, obejmowała ją pełną garścią. — I cóż on odpowiedział? Ten drab wybuchnął gniewem na kapitana Eliotta. Zareagował na jego radę z najwyższą czelnością.

— Nie przyszedłem tu na pośmiewisko — krzyknął. — Zwróciłem się do pana jako Anglik i właściciel statku, bo stoję nad przepaścią, i to przez pańskich podłych marynarzy, co przeciw mnie spiskują; a pan raczył mi tylko powiedzieć, żebym sobie szukał współnika!

I bałwan pozwolił sobie tupnąć z wściekłością w podłogę gabinetu Eliotta. — Gdzie mam szukać współnika? — zawołał. — Widać bierze mnie pan za idiotę! Z całej tej nędznej bandy w Domu Marynarza żaden nie ma i złamanego szeląga. Wiedzą o tym nawet psia ich mać krajowcy w bazarze...

— On miał rację, Harry — burknął świadom rzeczy kapitan Eliott. — Jestem pewien, że ci oficerowie są jeden w drugiego zadłużeni u Chińczyków z Denham Road na ubrania, które mają na grzbiecie. Więc ja mu na to: „No, panie Massy, moim zdaniem zanadto pan się rozbija. Żegnam pana”. A on trzasnął za sobą drzwiami; ośmielił się trzasnąć moimi drzwiami, ten bezczelny zuchwalec!

Naczelnik wydziału marynarki aż zatchnął się z oburzenia, ale wkrótce jakby się opamiętał.

— Ja tu z tobą gadu gadu i skończy się na tym, że się spóźnię na obiad. Moja żona tego nie lubi.

Wgramolił się z trudem do dwukółki i dopiero wtedy, wychyliwszy się bokiem, spytał, zasapany, co też w ostatnich czasach Harry porabiał. Już od długich lat nie widzieli się ani razu, dopiero tamtego dnia, kiedy kapitan Eliott spostrzegł go nagle w biurze...

Co też Harry...

Kapitan Whalley jakby uśmiechnął się do siebie pod białym zarostem.

— Świat jest szeroki — rzekł ogólnikowo.

Eliott, niby chcąc sprawdzić to twierdzenie, rozejrzał się z kozła. Na Esplanadzie panowała zupełna cisza: tylko z daleka — bardzo daleko od brzegu — zza trawników, zza długich rzędów drzew dochodził słaby odgłos elektrycznego tramwaju, który ruszył sprzed opustoszałej kolumnady Biblioteki Publicznej i miał się toczyć przez trzy mile aż do Nowych Doków Portowych.

— Robi się trochę ciasno na świecie — burknął kapitan Eliott — odkąd ci Niemcy wszędzie wchodzą nam w drogę. W naszych czasach było inaczej.

Popadł w głębokie zamyślenie, oddychając chrapliwie, jakby drzemał z otwartymi oczami. Może i on ze swej strony dopatrzył się w tym milczącym, podobnym do pielgrzyma człowieku — który stał obok dwukółki — ukrytych rysów młodego kapitana „Kondora”. Zaczynał chłop ten Harry Whalley, ale był zawsze milczący; nie wiedziało się nigdy, co ma na myśli. Przy tym nie ceremonizował się zbytnio z ludźmi zajmującymi wysokie stanowiska i często się mylił oceniając postęпки bliźnich. Właściwie to miał o sobie zbyt dobre wyobrażenie. Kapitan Eliott chętnie by go wziął i zawiózł do domu na obiad. Ale trudno przewidzieć... Żona nie byłaby z tego rada<sup>17</sup>.

— Jak to dziwnie pomyśleć, Harry — podjął znów jednostajnym, zgłuszonym basem — że ze wszystkich ludzi na świecie chyba tylko ja i ty pamiętamy, jak tu wyglądało dawniej w tej części świata...

Już, już zapadał w słodycz sentymentalnego nastroju, gdy nagle uderzyło go, że kapitan Whalley stoi bez ruchu i bez słowa, jakby na coś czekał; może się spodziewa, że... Kapitan Eliott zebrał natychmiast lejce i wybuchnął urywanym pomrukiem, szorstkim a serdecznym:

— Ha! Mój stary... Kogośmy nie znali — czegośmy nie dokazali — a te wszystkie statki, którymi dowodziliśmy...

Kucyk rzucił się naprzód — chłopiec stajenny odskoczył w bok. Kapitan Whalley podniósł rękę.

— Do widzenia.

## VI

Słońce zaszło. A gdy kapitan Whalley ruszył z miejsca, wywierciwszy laską głęboką dziurę w żwirze, noc zgromadziła już pod drzewami zastępy cieniów. Zapełniły wschodni kraniec alei, jakby oczekując tylko hasła do gromadnego ataku na otwarte przestrzenie świata; zbierały się także nad wodą głębokiego kanału o brzegach wyłożonych kamiennymi płytami.

Prau<sup>18</sup> malajskie na wpół ukryte pod arkadą mostka nie zmieniło pozycji nawet o ćwierć cala. Przez długi czas kapitan Whalley patrzył w dół znad balustrady, aż wreszcie spowity w maty stateczek, tkwiący na wodzie tak nieruchomo, zaczął mu się wydawać czymś zagadkowym i niepokojącym. Zmierzch zsunął się z zenitu; znikły odbijające się w dole przebłyski nieba i woda kanału obróciła się jakby w smołę. Kapitan Whalley przeszedł ponad nią.

Do hotelu skręcało się na prawo drogą biegnącą o kilka kroków dalej. Whalley przystanął znów (wszystkie domy zwrócone frontem do morza były zamknięte, a bulwary puste, ledwie paru krajowców przechodziło w oddali) i zaczął obliczać, ile wyniesie rachunek. Tyle a tyle dni w hotelu po tyle a tyle dolarów. Porachował dni na palcach i zatopił rękę w kieszeni, pobrzękując kilku srebrnymi pieniędzmi. Wystarczy jeszcze na trzy dni; a później, jeśli się nie znajdzie żadna posada, będzie zmuszony naruszyć owe pięćset funtów — pieniądze Ivy — ulokowane u jej ojca. Doznał wrażenia, że udławiłby się pierwszym posiłkiem kupionym za te pieniądze... tak, z pewnością. Rozsądek nie miał tu nic do powiedzenia. Była to kwestia uczucia. A uczucia kapitana Whalleya nie zawodziły go nigdy.

Nie zwrócił się na prawo. Szedł przed siebie, jakby tam, na redzie, znajdował się jeszcze wciąż okręt, do którego wieczorem mógł kazać się zawieźć. Daleko, hen za domami, na zboczu błękitnego przylądka zamykającego widok, wysmukły słup, komin jakiejś fabryki, dymił spokojnie prosto w górę w czystym powietrzu. Pół tuzina sampanów<sup>19</sup> unosiło się na wodzie przy końcu mola; Chińczyk, zwinięty w kłębek na rufie jednego z nich, dostrzegł kiwającą rękę. Porwał się na nogi, obwinął szybko warkocz dokoła głowy, dwoma szybkimi ruchami zakasał wysoko szerokie, ciemne spodnie na żółtych

<sup>17</sup>rad (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>prau — właśc. *proa*, łódka żaglowa z bocznym pływakiem ułatwiającym jej utrzymanie równowagi. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>sampan — rodzaj azjatyckiej łodzi wiosłowej. [przypis edytorski]



udach i bezszelestnym, jakby skrzelowym ruchem wiosł przesunął sampan pod schodki ze swobodą i precyzją płynącej ryby.

— „Sofala” — rzucił z góry kapitan Whalley, a Chińczyk, widać nowoprzybyły emigrant, spojrział w górę z wytężoną uwagą, rzekłbyś, chcąc zobaczyć dziwne słowa padające z ust białego. — „Sofala” — powtórzył kapitan Whalley i nagle zabrakło mu odwagi. Przystanął. Brzegi, wysepki, wyniosłości, niziny, wszystko było ciemne; widnokrag stał się też ciemny, a na tle wschodniego brzegu biały obelisk, znaczący przystań przy kablu telegraficznym, stał jak błądy duch przed dzielnicą krajowców — ciemną przestrzenią nierównych dachów pomieszanych z palmami.

— „Sofala”. Rozumieć? „So-fa-la”, John.

Tym razem Chińczyk rozróżnił tę dziwną nazwę i wymruczał potwierdzenie nieokrzyszonym dźwiękiem zrodzonym w głębi nagiej gardzieli.

Z pierwszym żółtym migotem gwiazdy, która ukazała się jak główka szpilki wbitej głęboko w gładką, bladą, migotliwą tkaninę nieba, ostrze dojmującego chłodu jak gdyby rozciąło ciepłe powietrze ziemi. Lekki dreszcz przebiegł kapitana Whalleya w chwili, gdy wstępował do sampana, aby kazać się wieźć na parowiec „Sofalę”, o którego dowództwo miał zabiegać.

Gdy po powrocie wysiadł znów na bulwarze, Wenus, niby drogocenny kamień osadzony nisko na rąbku nieba, rzuciła nikły ślad na redę gładką jak posadzka z jednolitej, czarnej płyty polerowanego granitu. Wyniosłe sklepienia alei były czarne — wszystko w górze było czarne — a porcelanowe klosze latarni przypominały perły kształtu jaj, olbrzymie i jaśniejące, ustawione w rząd, którego przeciwległy koniec opuszczał się hen daleko do poziomu kolan kapitana.

Whalley splótł dłonie na plecach. Teraz musiał rozpatrzyć spokojnie, czy decyzja, jaką powziął, jest właściwa, zanim da jutro ostateczną odpowiedź. Żwir zgrzytał głośno pod jego stopami... Czy postąpił właściwie? Łatwiej byłoby mu się zorientować, gdyby miał coś innego do wyboru. Uczciwość jego zamiarów była bezwzględna, miał najlepsze chęci w stosunku do tego Massy’ego. Cień kapitana to padał wyraźnie na bliskie pnie alei, to na trawnikach wydłużał się w nieskończoność, ukośny i mętny, powtarzając krok w krok jego ruchy.

Czy postąpił właściwie? Ależ on nie miał wyboru. Wydało mu się, że stracił już jakąś cząstkę samego siebie; że pod naciskiem zachłannego upiora poświęcił coś ze swej prawdy i godności — aby żyć. Lecz jego życie jest komuś potrzebne. Niech bieda znęca się nad kapitanem, niech pobiera okup poniżeń. Wiedział już teraz, że Ned Eliott oddał mu niechcący przysługę, o którą on, Whalley, prosić by nie mógł. Kapitan Whalley miał nadzieję, że Ned go nie posądzi o to, iż podstępnie ukrył swoje zamiary, że zrozumie go usłyszawszy, co się stało — a może tylko pomyśli, że Whalley jest głupim starym dziwakiem. Zwierzenie się Nedowi nie przydałoby się na nic, tak samo jak wyjechanie z całą sprawą przed Massym. Kapitan rozporządza pięciuset funtami — niech Massy użyje ich, jak będzie umiał najlepiej. I niech sobie myśli o tym, co chce. „Pan potrzebuje kapitana, ja potrzebuję statku. To wystarcza”. Brrr! Jakie przykre wrażenie zrobił na nim ten pusty, ciemny parowiec rozbrzmiewający głośnym echem.

Zacumowany statek parowy jest bezsprzecznie czymś martwym. Żaglowiec każdej chwili może się rzucić w wir życia za podmuchem nieśmiertelnych niebios; lecz statek parowy o zgaszonych paleniskach — rozmyślał kapitan Whalley — bez ciepłych kłębow powietrza wydostających się z dołu na pokład, bez syku pary i brzęków żelaza w swym wnętrzu — jest zimny i pozbawiony pulsu jak trup.

W samotnej alei, czarnej u góry i oświetlonej od dołu, kapitan Whalley, rozpamiętując swoją decyzję, natknął się jakby przypadkiem na myśl o śmierci. Odsunął ją z niechęcią i wzgardą. Powitał ją niemal śmiechem i w poczuciu niewyczerpanej swej żywotności pomyślał z pewnym tryumfem, jak mało mu do życia potrzeba. Krzepkie ciało ojca nie było dla córki złą lokatą. A poza tym — na wszelki wypadek — układ z Massym musiał być jasno sformułowany: w razie czego cała suma miała być wypłacona Ivy w przeciągu trzech miesięcy. W całości. Co do grosza. Kapitan nie myślał napocząć pieniędzy córki, choć gotów był wiele rzeczy poświęcić — trochę własnej godności, nieco szacunku dla samego siebie. Nie dopuszczał dotychczas nigdy, aby ktoś miał o nim fałszywe wyobrażenie. Ale niech już tak będzie — kapitan ścierpi to dla niej. Zresztą nic przecież nie „powiedział”, co

by nie było zgodne z prawdą; pomyślawszy to Whalley uznał się za na wskroś zepsutego. Uśmiechnął się pogardliwie ze swego wyrachowania. Oczywiście nie było wskazane zwierzać się ze wszystkiego człowiekowi w rodzaju Massy'ego i to człowiekowi, z którym miał pozostawać w osobliwym stosunku. Ten Massy nie podobał mu się. Nie podobały mu się i jego napady łaszczącej się gadatliwości, i wybuchy mściwego oburzenia. Koniec końców — biedak. Kapitan nie chciałby być w jego skórze. W gruncie rzeczy ludzie nie są źli. Nie podobały się również kapitanowi wylizane włosy Massy'ego, a także dziwny sposób, w jaki stawał do człowieka bokiem zadarłszy nos i patrzył przez ramię. Tak. Właściwie to ludzie nie są źli — są tylko głupi lub nieszczęśliwi.

Kapitan Whalley rozprawił się już z wątpliwościami co do swego postanowienia — i oto całą długą noc miał przed sobą. W pełnym świetle obfita jego broda połyskiwała jak srebrny napiersznik okrywający serce; w półmroku między latarniami wielka postać Whalleya wydawała się mniej wyraźna — olbrzymia, tułacza, pełna tajemniczości. Tak: niewiele jest prawdziwego zła w ludziach. A z lewej strony towarzyszył ciągle kapitanowi ukośny cień — co na Wschodzie uważa się za zły omen.

\*

— *Serangu*<sup>20</sup>, czy już dostrzegasz kępę palm? — zapytał kapitan Whalley z fotela na mostku „Sofali”, gdy statek zbliżał się do mielizny Batu Beru.

— Nie, tuanie<sup>21</sup>. Zobaczyć zaraz.

Stary Malaj, ubrany w granatowy garnitur z grubego indyjskiego perkalu<sup>22</sup>, stał mocno na kościstych ciemnych nogach pod płóciennym dachem mostka; założył ręce w tył i patrzył ku przodowi spomiędzy niezliczonych zmarszczek zbiegających się w kącikach oczu.

Kapitan Whalley siedział bez ruchu i nie podniósł oczu, by spojrzeć. Trzy lata; trzydzieści sześć razy. Przepłynął obok tych palm już trzydzieści sześć razy od południa. Teraz także ukażą się we właściwym czasie. Bogu dzięki, stary statek odbywał swoje podróże, jedną po drugiej, punktualny jak zegarek. W końcu kapitan mruknął znów:

— Już widać?

— Słońce rzuca bardzo wielki blask, tuanie.

— Pilnuj dobrze, *serangu*.

— *Ja*, tuanie.

Jakiś biały człowiek wspiał się bez szelestu po drabinie i wysłuchał spokojnie tej krótkiej rozmowy. Potem wszedł na mostek; zaczął chodzić po nim tam i na powrót, trzymając w podniesionej ręce cybuch długiej fajki z wiśniowego drzewa. Jego czarne, rzadkie włosy zaczesane na łysinę lepiły się do niej długimi kosmykami; czoło miał poradłone, cerę żółtą i gruby, bezkształtny nos. Rzadkie bokobrody nie zasłaniały konturów szczęk. Ponura troska malowała się na twarzy tego człowieka. Ssał czarny wygięty ustnik, a profil jego, o grubych, wydatnych rysach, pobudzał czasem nawet seranga do refleksji na temat brzydoty niektórych białych ludzi.

Kapitan Whalley wcale na jago przyjście nie zareagował, choć jakby zebrał się w sobie na krzesło. Przybysz wypuszczał kłęby dymu i nagle rzekł:

— Nie mogę ani rusz zrozumieć nowej pana manii — nie rozstaje się pan z tym Malajem, jakby był pana cieniem.

Kapitan Whalley dźwignął z krzesła imponującą swą postać i skierował się w poprzek mostka w stronę kompasu, krocząc naprzód tak nieugięcie, że biały musiał cofnąć się śpiesznie i stał jakby onieśmielony z fajką w drżącej ręce. — Teraz znów włazi prosto na mnie — mruknął w zdziwieniu i pomieszaniu. Potem rzekł powoli i wyraźnie:

— Ja — nie — jestem — błotem. — I dodał wyzywająco: — Jak pan zdaje się myśleć.

*Serang* wykrztusił:

— Palmy widzieć teraz, tuanie.

<sup>20</sup>*serang* (z hind.) — tubylczy bosman albo kapitan statku dowodzący załogą krajowców. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*tuan* (mal.) — pan. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*perkal* — rodzaj cienkiego płótna bawełnianego. [przypis edytorski]

Kapitan podszedł wielkimi krokami do poręczy, lecz jego oczy, zamiast spojrzeć tam, gdzie należało, pewnym siebie, byстрым wzrokiem marynarza, błędziły niepewnie w przestrzeni; zdawało się, że Harry Whalley, odkrywca nowych szlaków, zagubił się na tym ciasnym morzu.

Drugi biały, oficer, wspiął się na mostek. Był wysoki, młody, chudy; wąsy miał jak u kawalerzysty i coś złośliwego w spojrzeniu. Stał obok mechanika. Kapitan Whalley, zwrócony do nich tyłem, zapytał:

— Ile na logu?

— Osiemdziesiąt pięć — odrzekł szybko oficer trąciwszy łokciem mechanika.

Muskularne dłonie Whalleya ścisnęły żelazną poręcz z niesłychaną siłą; patrzył przed siebie, wyciągając wzrok do ostateczności; brwi jego były ściągnięte, pot ciekł spod kapełusza. Szepnął słabym głosem:

— Trzymaj kierunek, *serangu*, kiedy statek znajdzie się na kursie.

Milczący Malaj odstał w tył, chwilę poczekał i wznosił rękę, ostrzegając sternika. Koło obróciło się szybko odpowiednio do ruchu parowca. Oficer trącił znów mechanika. Ale Massy obruszył się na niego.

— Panie Sterne — rzekł gwałtownie — jako właściciel statku muszę panu powiedzieć, że dureń z pana skończony.

## VII

Sterne zszedł na pokład, butny i widać wcale nie zbity z tropu, ale mechanik Massy został i krążył po mostku, pewny siebie, choć niespokojny. Wszyscy na statku byli jego podwładnymi — wszyscy bez wyjątku. Płacił im pensje i żywił ich. Jedli więcej jego chleba i brali od niego więcej pieniędzy, niż byli warci; przy tym nie mieli żadnych kłopotów, podczas gdy on, Massy, musiał się porać<sup>23</sup> ze wszystkimi trudnościami wynikającymi z posiadania statku. Gdy rozpatrywał położenie w całej jego grozie, wydawało mu się, że już od lat jest pastwą bandy pasożytów: toteż już od lat patrzył krzywo na wszystkich, co mieli jakiś związek z „Sofalą” — wyjąwszy może chińskich palaczy, za których sprawą statek posuwał się naprzód. Pożytek z nich był oczywisty; stanowili niezbędną część mechanizmu, którego Massy był władcą.

Chodząc po pokładzie, potraçał brutalnie tych, których mijał, ale Malaje umieli już usuwać mu się z drogi. Był zmuszony ich tolerować z powodu nieuniknionej pracy fizycznej na statku, pracy, którą należało wykonać. On sam musiał także borykać się i głowiąć, i szukać różnych sposobów, aby dostarczyć parowcowi roboty — i co miał za to? Nie okazali mu nawet należytego szacunku. Ale pod tym względem nigdy by nie potrafili go zaspokoić, nawet gdyby wszystkie ich myśli i wszystkie czyny zmierzały do tego jednego celu. Próżność wynikająca z posiadania statku, chętnie się własną potęgą opuściły już wówczas Massy’ego; pozostały tylko kłopoty materialne, lęk przed utraceniem pozycji — jak się okazało nie zasługującej na tyle zachodów — i niepokój myśli, którego żadne, choćby najbardziej nikczemne płaszczenie się podwładnych nie mogło ukoić.

Chodził po mostku tam i na powrót. Przecież mostek był jego własnością. Zapłacił za niego. Od czasu do czasu z cybuchem fajki w ręku stawał, aby przysłuchiwać się z głęboką, skupioną uwagą głuchemu rytmowi maszyn (jego własnych maszyn) i lekkim zgrzytaniu łańcuchów sterowych na tle cichego, nieustannego szumu wody wzdłuż burt parowca. Ale pomimo tych dźwięków statek wydawał się zupełnie nieruchomy, rzekłbyś, przycumowany do brzegu i taki cichy, jakby żywej duszy na nim nie było; tylko brzeg, niski, błotnisty, porośnięty zaroślami mangrowymi<sup>24</sup>, z grupą trzech palm w głębi, występował powoli coraz wyraźniej długą, prostą linią pozbawioną wszelkich cech, które mogłyby przyciągnąć uwagę.

Pasażerowie „Sofali”, krajowcy, leżeli porozkładani na matach pod płóciennym dachem; dym z komina wydawał się jedyną oznaką życia statku i łączył się w jakiś tajemniczy sposób z gładkim jego ruchem.

<sup>23</sup>porać się (daw.) — zмагаć się. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>zarośla mangrowe — namorzyny, przybrzeżne zarośla słonowodne. [przypis edytorski]

Kapitan Whalley stał, trzymając lornetkę, w asyście małego malajskiego seranga — niby starzec-olbrzym z pomarszczonym pigmejem u boku — i prowadził statek przez płytką wodę mielizny.

Trudna była do przebycia ta podwodna ławica błota, wydarta przez prąd z miękkiego dna rzeki i rzucona daleko od ujścia na otwarte dno morza. Aluwialny<sup>25</sup> brzeg nie miał żadnych cech odrębnych; sunąc nad ławicą, trzeba było się orientować według kształtu gór w głębi łądu. O kierunku wnioskowało się z dwóch szczytów: jeden był spłaszczony i nierówny z wierzchu jak ząb trzonowy, drugi gładki, podobny w konturze do siodła — a trzeba było ich szukać wśród rozjarzonego, bezchmurnego blasku, który zdawał się falować i płynąć jak suchy, płomienny opar przepelniający powietrze; wznosił się z wody, przesłaniał dal, palił oczy. W tej świetlistej mgłę tylko bliski skraj brzegu odcinał się, czarny niemal jak sadza, matowy, masywny, nieruchomy. Ząbkowany łańcuch gór w głębi łądu, oddalony o trzydzieści mil od wybrzeża, ciągnął się wzdłuż horyzontu błękitnym cieniowanym konturem, nikłym i drżącym jak tło malowane na powiewnym paśmie pajęczyn, na zaslonie rozedrganej i nieuchwytniej, która sięgała płaskiego napływowego gruntu; jaśniejsze bielą otwory ujścia wyglądały jak płyty srebra, wpuszczone w czworokąty wycięte ostrym narzędziem z ciała łądu obrzeżonego mangrowiami<sup>26</sup>.

Na przedniej części mostka olbrzym i pigmej pomrukiwali do siebie raz po raz spokojnym głosem. Za nimi stał bokiem Massy z wyrazem twarzy pełnym napięcia i lekceważenia. Jego wypukłe oczy były zupełnie nieruchome; zdawało się, że zapomniał o długiej fajce, którą trzymał w ręku.

Poniżej mostka, na przednim pokładzie przesłoniętym stromymi białymi zboczami płóciennego dachu, młody marynarz krajowiec przelazł przez barierę. Wsunął szybko pod pachy szeroki pas żaglowego płótna, oparł się o niego piersiami i wychylił tors nad wodę. Jego cienka bawełniana koszula, o rękawach odciętych wysoko, odkrywała brązowe krągłe ramiona obciążone skórą atlasową jak u kobiety. Rozkołysał wyprężone ramię groźnym ruchem procarza i czternastofuntowy ciężar śmignął, kołując, w powietrze, potem nagle poleciał naprzód aż do wygięcia dziobu. Mokra linka szeleściła jak rozdzierany jedwab, sunąc przez ciemne palce marynarza, a nurkująca tuż przy burcie sonda utworzyła niksą srebrzystą bliznę na złotym blasku. Po chwili głos młodzieńca, wysoki i przeciągły, oznajmił głębokość wody w malajskim języku.

— *Tiga stengah* — wołał Malaj raz po raz, w chwilę po każdym plusku i przyciągał szybko linkę przed następnym rzutem. *Tiga stengah* znaczy trzy sążnie<sup>27</sup> i pół. Przez jakąś milę mniej więcej głębokość wody nad ławicą była jednakowa. „Trzy i pół! Trzy i pół! Trzy i pół!” — powtarzał się przeciągły okrzyk Malaja, powolny i jednostajny niby krzyk ptaka; zdawał się odpływać w dal wśród blasku słońca, niksąc w cichej przestrzeni pustego morza i martwego brzegu, widocznych na północ i południe, na wschód i zachód, bez cienia najmniejszej chmurki, bez dźwięku innych głosów poza głosem Malaja.

Właściciel i mechanik „Sofali” stał nieruchomo za dwoma marynarzami różnej rasy, wiary i koloru; za Europejczykiem, starcem o krzepkiej budowie urągającej czasowi, i za drobnym Malajem, również starym, lecz szczupłym i pomarszczonym jak zwiędły liść zagnany wichrem w potężny cień kapitana. Zajęci rozpatrywaniem łądu, nie mieli oczu dla niczego innego; a tymczasem Massy, świdrując ich z tyłu wzrokiem, zdawał się brać ich skupienie w pracy za pogardę dla swojej osoby. Nie miało to żadnego sensu, ale Massy żył już od lat w stworzonym przez siebie świecie urojonych żalów.

Przyglądał wilgotną dłonią rzadkie kosmyki szorstkich, skąpych włosów na wierzchu żółtej łysiny i zaczął z wolna mówić:

— Sonda panu potrzebna! Chyba po to, żeby naśladować duże parowce. Czy pan rozum stracił, przecież i powinien pan rozeznac według brzegu, gdzie się pan znajduje! No, ja to nie pływałem i roku, a już umiałem sobie z tym radzić, choć jestem tylko mechanikiem. Ja stąd mogę panu pokazać, gdzie jest mielizna, i powiedziałbym panu w dodatku, że jak nic zaryje się pan w błoto za jakie pięć minut — ale tego nie powiem, bo pan by powiedział, że się wtrącam. A to byłoby sprzeczne z naszą spisaną umową; stoi tam przecież wyraźnie, że wtrącać mi się nie wolno.

<sup>25</sup> *aluwialny* — powstały z osadów naniesionych przez rzekę. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *mangrowia* — namorzyny, przybrzeżne zarośla słonowodne. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *sążeń* — daw. jednostka długości. [przypis edytorski]

Głos jego ucichł. Kapitan Whalley, nie zmieniając surowego spokoju twarzy, poruszył wargami, aby mruknąć szybko:

— Jak blisko jesteście, *serangu*?

— Już bardzo blisko, tuanie — odszepnął prędko Malaj.

— Wolno naprzód — wydał rozkaz kapitan głośnie, stanowczym tonem.

*Serang* chwycił rękę od telegrafu. W dole zabrzmiał gong. Massy odszedł z pogardliwym chichotem i wetknął głowę w luk od maszynowni.

— Jack — wrzasnął — możesz się spodziewać takiej hecy z maszynami, że aż ha.

Maszynownia, do której zaglądał, leżała głęboko, pełna mroku; siwe błyski stali tam w dole wydawały się chłodne po oślepiającym blasku morza. Lecz powietrze, co wionęło stamtąd na twarz mechanika, było lepkie i gorące. Z dna podniósł się głucho krótki okrzyk, ale nic nie można było z niego wymiarkować<sup>28</sup>: to drugi mechanik odpowiedział swemu szefowi.

Był to mężczyzna lat średnich, roztargniony i tak zaprzątnięty milczącą troską o swe maszyny, że poniekąd zapomniał mówić. Gdy zwracano się do niego bezpośrednio, odpowiadał tylko pomrukiem lub okrzykiem, stosownie do odległości. Przez lata całe, które przebył na „Sofali”, nie powiedział ani razu dzień dobry żadnemu z kolegów. Zdawał się nie spostrzegać krzątania się ludzi po świecie; zdawał się ich wcale nie widzieć. I rzeczywiście nigdy na lądzie kolegów nie poznawał. Przy stole (czterej biali na statku jadali razem) siedział i patrzył obojętnie w talerz, ale przy końcu posiłku zrywał się i pędził na dół, jakby jakaś nagła myśl kazała mu biec i przekonać się, czy ktoś nie ukradł maszyn podczas obiadu. W porcie u końca podróży dzień w dzień chodził na ląd, ale nikt nie wiedział ani gdzie, ani w jaki sposób spędza wieczory. Wśród miejscowej floty nadbrzeżnej krążyła nieprawdopodobna i beżładna opowieść o jego zadurzeniu się w żonie sierżanta służącego w oddziale irlandzkiej piechoty. Ale ów oddział stał garnizonem w porcie już przed wiekami; został przeniesiony gdzieś na drugi koniec świata i słuch o nim zaginął.

Dwa lub może trzy razy na rok drugi mechanik upijał się. Wracał wówczas na statek wcześniej niż zwykle i przebiegał przez pokład, chwiejąc się z rozpostartymi ramionami jak tancerz na linie; zamknąwszy drzwi swej kajuty, rozprawiał i spierał się z sobą przez calusieńką noc w tonach dziwnie różnorodnych: wymyślał, szydził, narzekał płaczliwie z niewyczerpaną wytrzymałością. Massy, leżąc w sąsiedniej kajucie, słuchał wsparty na łokciu; przekonywał się, że jego drugi mechanik pamięta nazwiska wszystkich białych, jacy przesunęli się przez „Sofalę” od długiego szeregu lat. Pamiętał nazwiska tych, co umarli, co wrócili do kraju, co udali się do Ameryki; pamiętał po pijanemu nazwiska ludzi, których związek ze statkiem był tak krótki, że Massy zapomniał prawie, w jakich to się działo okolicznościach, i ledwie mógł sobie uprzytomnić ich twarze. Pijacki głos po drugiej stronie grodzi obgadywał tych marynarzy z niezwykle pomysłową jadowitością. Wszyscy jakoby obrazili go w taki lub inny sposób, a on w zamian przeniknął ich co do jednego. Pomrukiwał niewyraźnie, śmiał się szydlerczo, ścierał ich w proch jednego za drugim; tylko o swym szefie, Massym, plótł z zazdrosnym i naiwnym podziwem. Sprytny łajdak, bo sprytny! Takich jak on ze świecą szukać. Dość na niego popatrzeć. Ha! Człowiek potężny! Posiada własny statek. Ten szelma żadnego byka nie strzeli — nie ma strachu.

Massy przysłuchiwał się z uśmiechem zadowolenia tym prostodusznym hołdom składanym jego wielkości, a w końcu zaczynał krzyczeć, wałąc w gródz obu pięściami:

— Milczcie tam, durniu! Ty wariacie, spać przez ciebie nie mogę!

Lecz półuśmiech dumy błąkał się po jego ustach. Na pokładzie samotny malajski marynarz, wyznaczony do trzymania wachty podczas postoju w porcie — może młodzik przybyły świeżo z leśnej osady — stał nieruchomo w mroku, słuchając niekończącej się pijackiej paplaniny. Serce mu waliło, strach wobec białych zapierał dech w piersiach — strach wobec tych upartych despotów, którzy dążą nieugięcie do swych niezrozumiałych celów, wobec tych istot o dziwnych głosach, istot które doznają niepojętych uczuć i kierują się niezbadanymi przyczynami.

<sup>28</sup>wymiarkować (daw.) — zrozumieć. [przypis edytorski]

## VIII

Chwilę jeszcze po odzwie drugiego mechanika Massy błąkał się ponuro nad maszynownią. Kapitan Whalley — który dzięki pięciuset funtom utrzymał się przy dowództwie w ciągu trzech lat — zachowywał się tak, jakby nigdy przedtem nie widział tego wybrzeża. Zdawało się, iż nie jest w stanie oderwać od oczu lornetki, rzekłbyś, przyklepionej pod ściągniętymi brwiami. Zmarszczone czoło nadawało twarzy Whalleya surowy wyraz nieugiętej sprawiedliwości, ale jego podniesiony łokieć drżał lekko i pot spływał mu spod kapelusza, jakby drugie słońce zajaśniało nagle w zenicie obok tkwiącej tam nieruchomej, rozjarzonej kuli, w której oślepiająco białym żarze ziemia wirowała i świeciła jak pyłek.

Od czasu do czasu kapitan Whalley, trzymając wciąż lornetkę przy oczach, podnosił drugą rękę, aby obetrzeć twarz zalaną kroplami potu, które toczyły się po policzkach i spadały niby deszcz na białą brodę. Nagle kapitan, jakby wiedziony podświadomym, niespokojnym impulsem, wyciągnął dłoń i ujął rękojeść telegrafu do maszynowni.

W dole zabrzmiał gong. Ustała równomierna wibracja statku płynącego najmniejszą szybkością i wszelki dźwięk na parowcu zamarł wraz z jego drganiem, jakby wielka cisza panująca na wybrzeżu wkradła się poprzez żelazne burty statku do jego wnętrza i zawładnęła najgłębszymi zakamarkami. Złudzenie absolutnego bezruchu spłynęło na „Sofalę” ze świetlistej, nieskazitelnej kopuły błękitu sklepionego nad płaskim morzem zastygłym w martwocie. Leciutka bryza wywołana ruchem statku zamarła, jakby powietrze stało się nagle zbyt gęste, aby drgnąć; ustał nawet lekki syk wody u dziobu. Wąski, długi kadłub sunął, nie wzniecając zmarszczek na wodzie i zdawał się zbliżać ukradkiem do płytkiej wody nad mielizną. Plusk sondy i towarzyszący mu ponury, machinalny okrzyk laskara<sup>29</sup> rozlegał się coraz rzadziej, a ludzie na mostku jak gdyby wstrzymali oddech. Malaj przy sterze nie odwracał oczu od kompasu; kapitan i serang wpatrywali się w wybrzeże.

Massy odszedł od luku na swych płaskich stopach i wrócił po cichu na mostek do tego samego miejsca, gdzie stał poprzednio. Głupawy uśmiech obnażył jego wielkie i równe białe zęby, połyskujące w cieniu płóciennego dachu jak klawiatura pianina w mrocznym pokoju.

W końcu rzekł niezbyt głośno niby to do siebie, udając wielkie zdumienie:

— Teraz znów zatrzymał maszyny. Ciekawym, co będzie dalej?

Czekał, zgarbiony, ze spuszczoną głową i patrzył spod oka. Potem rzekł odrobinę głośniejsze:

— Gdybym się ośmielił zrobić głupią uwagę, powiedziałbym, że pan nie może się odważyć na...

Lecz duch wrzaskliwego podniecenia — niby oszalały upiór błakający się wśród rozległej ciszy wybrzeża — opanował ciało laskara<sup>30</sup> rzucającego sondę. Monotonia jego leniwego przyspiewu zmieniła się w szybki, ostry krzyk. Ciężar wylatywał po jednym obrocie ramienia, lina świszczła, plusk następował po plusku. Woda stawiała się coraz płytsza i laskar, zamiast snuć senną opowieść o sążniach, wykrzykiwał w stopach rezultaty sondowania:

— Piętnaście stóp! Piętnaście, piętnaście! Czternaście, czternaście...

Kapitan Whalley spuścił rękę trzymającą lornetkę. Opadła powoli niby pod wpływem własnego ciężaru, lecz wielka jego postać ani drgnęła, a żarliwe, ostrzegawcze krzyki następujące szybko po sobie zdawały się go nie dosięgać, jakby był głuchy.

Massy stał spokojnie, nadstawiając ucha, i wpatrywał się w srebrzystą głowę starca, krótko ostrzyżoną i nieruchomą. Mogło się wydawać, że statek jest też nieruchomy, gdyby nie to, że głębokość wody pod kilem<sup>31</sup> wciąż się zmniejszała.

— Trzyście stóp... Trzyście! Dwanaście! — krzyknął niespokojnie spod mostka Malaj rzucający sondę. I nagle bosy serang odstał w bok bezszelestnie, aby zerknąć ukradkiem za burtę.

Serang był odziany w garnitur z wyblakłego błękitnego perkalu oraz stary popielaty filcowy kapelusz wciśnięty na głowę; wąskie jego ramiona, chude członki i dołek w ciemnym karku sprawiały, że wyglądał z tyłu na czternastoletniego chłopca. Śledził

<sup>29</sup>laskar — indyjski marynarz. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>laskar — indyjski marynarz. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>kil — stopka, najniższa belka statku ciągnąca się od dzioba do rufy. [przypis edytorski]



z impulsywną ciekawością dziecka klębie się wielkich żółtawych zwojów, które wznosiły się z dna ku powierzchni niebieskiej wody na kształt masywnych chmur sunących z wolna w górę po niezgłębionym niebie. Serang wcale się tym nie przestraszył; zerkając za burtę wiedział z góry, że kil „Sofali” dotyka już błota. Badawcze oczy Malaja, osadzone ukośnie w twarzy o chińskim typie — drobnej starej twarzy, niewzruszonej, jakby wyrzeźbionej w wiekowym brunatnym dębie — stwierdziły już dawno, że statek przebywa ławicę w miejscu nieodpowiednim.

Odprawiony z pokładu „Pięknego Dziewczęcia” razem z resztą załogi po sprzedaży barku, serang wałęsał się u wejścia do kapitanatu portu w swym wyblakłym granatowym ubraniu i zniszczonym popielatym kapeluszu; wreszcie pewnego dnia spostrzegł kapitana Whalleya poszukującego załogi dla „Sofali” i stanął spokojnie na jego drodze, boso, z nogami zanurzonymi w pyle, patrząc mu w oczy bez słowa. Wzrok dawnego dowódcy padł na Malaja przychylnie — był to widać dzień szczęśliwy — i zanim minęło pół godziny, biali ludzie w biurze zapisali w jakimś dokumencie jego imię jako seranga na buchającym ogniu statku „Sofala”. Od owego czasu widział wiele razy ujście tej rzeki i jej wybrzeże z tego oto mostka i z tej strony mielizny. Szczegóły dostępne wzrokowi przenikały za pośrednictwem oczu do prostego umysłu Malaja, utrwalając się tam, jakby padały przez soczewkę na czulą kliszę. Serang znał swój fach doskonale, a jednak gdyby przyszło zasięgnąć jego rady, a szczególnie gdyby go o coś zapytano w sposób bezpośredni i niepokojący, jak to jest w zwyczaju u białych, okazałby wahanie i brak orientacji. Faktów był pewien — ale cóż taka pewność znaczy, gdy się nie wie, jaka odpowiedź zadowoli pytającego?

Przed pięćdziesięciu laty — we wsi ukrytej wśród dżungli — gdy *serang* liczył niespełna jeden dzień, ojciec jego (który umarł, nie zobaczywszy nigdy białej twarzy) kazał przepowiedzieć przyszłość syna mędrcomu biegłemu w astrologii; albowiem z rozmieszczenia gwiazd można wyczytać los człowieka aż do jego ostatnich chwil. Okazało się, że przeznaczeniem dziecka jest zdobyć powodzenie na morzu za sprawą łaski wielu białych ludzi. Młody Malaj zamiatał pokłady, trzymał ster, pilnował zapasów i w końcu wznosił się na stanowisko seranga; lecz jego ospały umysł pozostał równie niezdolny do przeniknięcia najprostszycy pobudek tych, którym służył, jak oni sami niezdolni byli przeniknąć przez skorupę ziemi tajemnicy jej wnętrza, które może jest ogniem, a może kamieniem.

Ale serang miał zupełną pewność, że statek „Sofala” zboczył z kursu przy mijaniu ławicy pod Batu Beru.

Błąd był nieznaczny. Parowiec posunął się zbyt daleko na północ, nie więcej niż o dwie własne długości; człowiek biały, zachodząc w głowę, dlaczego się tak stało (bo któż by mógł posądzić kapitana Whalleya o niezajomość rzeczy, brak umiejętności lub też nie dbalstwo), byłby skłonny nie dowierzać świadectwu własnych zmysłów. Massy znieruchomiał właśnie pod wpływem takich uczuć; grymas niepokoju wykrzywił mu twarz i obnażył zęby. Natomiast seranga nie nękały wcale intelektualne wątpliwości co do świadectwa jego zmysłów. Widać kapitan chciał dotknąć błota — i wszystko w porządku. Malaj widywał już nieraz białych ludzi pozwalających sobie na równie dziwaczne wybryki. Bardzo go tylko interesowało, co z tego wyniknie. W końcu zadowolił, widać, swoją ciekawość, bo odsunął się od poręczy.

Nie uczynił najłżejszego szmeru, ale snadź<sup>32</sup> kapitan Whalley śledził ruchy swego seranga. Trzymając wciąż sztywno głowę, zapytał samym poruszeniem warg:

— Posuwa się wciąż naprzód, *serangu*?

— Bardzo powoli, tuanie — odpowiedział Malaj. Potem dodał obojętnie:

— Przejechać już mieliznę.

Sonda potwierdziła jego słowa; głębokość wody zwiększała się za każdym rzutem i duch podniecenia opuścił nagle laskara kołyszącego się w płóciennej pętli nad burtą „Sofali”. Kapitan Whalley spokojnie kazał wciągnąć sondę, puścić w ruch maszyny i odwróciwszy oczy od brzegu, wydał rozkaz, aby wziąć kurs na środek ujścia.

Massy piasnął dłonią w udo.

— Pan dotknął mielizny. Niech pan spojrzy za rufę, to się pan przekona. Niech pan spojrzy na ślad zostawiony przez statek. Jaki wyraźny! Słowo daję, byłem pewien, że pan

<sup>32</sup>snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

dotknie mielizny. Dlaczego pan to zrobił? Po kiego licha pan to zrobił? Pan chce mnie chyba nastraszyć!

Mówił z wolna, jak gdyby ostrożnie, wlepiając wypukłe czarne oczy w kapitana. W rosnącym gniewie Massy'ego przebijająca nuta z lekka żalonna, bo przede wszystkim wyraźne poczucie krzywdy kazało mu nienawidzić tego człowieka, który za nędzne pięćset funtów żądał szóstej części zysków zgodnie z trzyletnim kontraktem. Gdy żal Massy'ego brał górę nad lękiem, jaki wzbudzał kapitan Whalley, mechanik po prostu skomlał z wściekłości:

— Pan nie wie, co wymyślić, żeby zatruć mi życie. Nigdy bym nie przypuścił, że taki człowiek jak pan poniży się do tego, aby...

Za każdym, choćby nieznacznym ruchem Whalleya siedzącego w fotelu Massy milkł, miotany na przemian nadzieją lub trwogą, jakby się spodziewał, że kapitan udobrucha go łagodnymi słowami lub rzuci się nań i spędzi go z mostka.

— Nic nie rozumiem — ciągnął dalej, szczerząc czujnie i ponuro wielkie zęby. — Nie mam pojęcia, co o tym myśleć. Pan chce mnie chyba nastraszyć. O mało co nie nadział pan statku na mieliznę co najmniej na dwanaście godzin — ładnie by wyglądały maszyny zapchane szlamem. W dzisiejszych czasach statek nie może sobie pozwolić na stratę dwunastu godzin w ciągu jednej podróży — co pan powinien wiedzieć i co pan z pewnością wie doskonale, tylko że pan...

Kapitan Whalley był nieczuły na tę gadatliwość mechanika, jego wykręcanie głowy i gniewne spojrzenia spode łba. Patrzył w pokład ze zmarszczonymi surowo brwiami. Massy czekał przez chwilę, a potem zaczął grozić mu żałośliwie:

— Pan myśli, że mam ręce i nogi związane tą umową. Pan myśli, że może mnie pan dręczyć, ile się panu żywnie podoba. Ale proszę pamiętać, że umowa wygasa dopiero za sześć tygodni. Mam czas odprawić pana, zanim te trzy lata się skończą. Jeszcze pan zmaluje coś, co pozwoli mi dać panu dymisję, a wtedy poczeka pan cały rok, zanim pan będzie mógł stąd się zabrać i wyciągnąć swoje pięćset funtów, i zostawić mnie bez grosza, bez możliwości kupienia nowych kotłów dla statku. Uśmiecha się to panu, co? Jestem pewien, że pan się rozkoszuje tą myślą. Mam wrażenie, że sprzedam duszę za pięćset funtów i będę w końcu potępiony na wieki wieków...

Umilkł, na pozór spokojny, i podjął znów równym głosem:

—...A kotły zniszczone na amen i inspekcja nastąpi lada dzień, kapitanie Whalley. Słyszysz pan, kapitanie Whalley? Co pan robi ze swymi pieniędzmi? Musi pan gdzieś mieć całe kupy pieniędzy — taki człowiek jak pan musi mieć na pewno mnóstwo pieniędzy. To jasne jak słońce. Ja, uważa pan, głupi nie jestem — panie kapitanie Whalley — mój wspólniku.

Umilkł znów, jakby był skończył na dobre. Przesunął językiem po wargach i rzucił w tył spojrzenie na seranga, który kierował statkiem za pomocą spokojnych szeptów oraz nieznaczących poruszeń ręki. Od wirującej śruby rozchodziły się po wodzie drobne falki o ciemnych, spienionych grzywach i wbiegały na długi, płaski cypel z czarnego mułu. Parowiec „Sofala” wszedł na rzekę; ślad wzniecony nad mielizną pozostał już o milę za rufą i znikł z oczu, a gładkie, puste morze wzdłuż wybrzeża leżało w roziskrzonym okrutnie blasku słońca. Nisko z obu stron statku gąszcz ciemnych poskręcanych mangrowi okrywał bagniste brzegi.

Nagle Massy zaczął znów mówić poprzednim tonem, niby pozytywka, z której dobywa się melodię za pomocą kręcenia korbą:

— Ale muszę powiedzieć, że tak jak pan to nigdy mnie nikt nie podszedł. Przyznaję się do tego. Słyszysz pan? Przyznaję się! Czego pan jeszcze chce? Czy zaspokoilo to pana dumę, panie kapitanie Whalley? Objechał mnie pan od samego początku. Widzę to jak na dłoni, kiedy sobie wszystko przypomnę. Pozwolił mi pan włączyć zastrzeżenie co do nietrzeźwości, ani słowa pan nie pisał; tylko zrobił pan minę pełną obrzydzenia, kiedy zażądałem, żeby wypisać to w kontrakcie czarno na białym. Skąd ja mogłem wiedzieć, jaka jest pana słaba strona? Bo każdy ma jakąś słabą stronę. I ot co się pokazało! Kiedy pan był już na statku, dowiedziałem się, że od lat pije pan tylko wodę.

Aroganckie, skomlaące wymówki Massy'ego ustały. Pogrążył się w ponurym zamyśleniu, charakterystycznym dla ludzi przebiegłych i ograniczonych. Jego tępą, żółtą twarz powlekl wyraz głębokiego wstrętu; trudno było zrozumieć, że kapitan Whalley nie ro-

ześmiał się na ten widok. Ale kapitan nie podniósł wcale oczu i siedział nieruchomo w fotelu, znieważony, lecz pełen godności.

— Wiele mi z tego przyszło — podjął znów monotonnym głosem Massy — że włączyłem zastrzeżenie o nietrzeźwości! Przecież zawierałem kontrakt z człowiekiem, który nie bierze do ust nic oprócz wody. A pan miał taką zmieszana minę wtedy rano u adwokata, kiedy czytałem swój projekt kontraktu — taki pan był zgnębiony! Byłbym przysiągł, że utrafiłem w pana słabą stronę. Właściciel statku nie może być nigdy zanadto ostrożny w stosunku do swego kapitana. A pan przez cały czas musiał kpić ze mnie w duchu... Co? Co pan mówi?

Kapitan Whalley tylko poruszył z lekka nogami. Tępa wrogość przejawiała się w ukosnym spojrzeniu Masnego.

— Ale proszę pamiętać, że są jeszcze inne powody do dymisji. Na przykład ciągłe niedbalstwo równające się w skutkach nieumiejętności — karygodne i uporczywe zaniedbywanie obowiązków. Nie taki znów ze mnie kiep, za jakiego pan by chciał mnie uważać. W ostatnich czasach zaniedbuje się pan — spycha pan wszystko na seranga. Przecież widziałem na własne oczy, że ten stary dureń brał za pana kurs, jakby pan był zbyt wielki, żeby wypełniać to, co do pana należy. A ta głupia lekkomyślność, z jaką pan przebył mieliznę? Myśli pan, że zniosę coś podobnego?

Oparty łokciem o drabinę tuż pod mostkiem, Sterne, pierwszy oficer, usiłował dosłyszeć, co mówią, mrugając z daleka do drugiego mechanika, który wspiął się na pokład i stał w wejściówce od maszynowni. Wycierał ręce wiązka bawełnianych pakul i rozglądał się obojętnie po obu brzegach rzeki sunących spokojnie w dal za rufą.

Massy zwrócił się wprost do fotela. W żałośliwej jego skardze zabrzmiała znów groźba:

— Niech się pan strzeże! Jeszcze mogę pana odprawić, a wtedy przez rok nie ujrzy pan ani grosza. Mogę.

Ale wobec surowego milczenia i bezruchu człowieka, którego pieniądze zjawily się w samą porę, aby ocalić Massy'ego od ruiny, głos uwiązł mu w gardle.

— Nie mówię, że chciałbym się pana pozbyć — podjął po chwili milczenia tonem łaszającym się idiotycznie. — Niczego więcej nie pragnę jak żyć z panem w przyjaźni i odnowić nasz kontrakt, jeśli pan, kapitanie Whalley, zgodzi się dać jeszcze paręset funtów na kupno nowych kotłów. Już panu o tym wspominałem. Statek musi mieć nowe kotły; pan wie o tym równie dobrze jak ja. Czy pan już się nad tym zastanowił?

Czekał na odpowiedź. Z jego wydatnych warg zwisała pękata fajka na cienkim cybuchu. Fajka była zgaszona. Nagle wyjął ją z zębów i załamał ręce.

— Pan mi nie wierzy? — Wcisnął fajkę do kieszeni czarnej wyświechtanej kurtki. — Zupełnie jakbym z diabłem miał do czynienia — rzekł. — Dlaczego pan nic nie mówi? Z początku tak pan nosa zadzierał, że ledwie śmiałem pokazać się na własnym pokładzie. Teraz znów nie mogę z pana ani słowa wydobyć. Zupełnie jakby pan mnie nie dostrzegał. Co to ma znaczyć? Słowo daję, pan mnie przeraża tym udawaniem głuchoniemego. Co panu w głowie świta? Co pan knuje przeciw mnie tak zawzięcie, że nie można z pana ani słowa wycisnąć? Nigdy w życiu nie uwierzę, aby pan nie mógł znaleźć paruset funtów! Z pana winy przeklinam dzień, kiedy się urodziłem...

— Panie Massy — rzekł nagle kapitan Whalley, nie poruszając się wcale.

Mechanik drgnął gwałtownie.

— Wobec tego mogę tylko prosić pana o przebaczenie.

— Ster w prawo — mruknął *serang* do sternika i parowiec zaczął objeżdżać kolano rzeki.

— Brr! — wstrząsnął się Massy. — Aż mnie ciarki przechodzą. Co pana tu sprowadziło? Skąd się pan wziął wtedy wieczorem na pokładzie? Dlaczego pan tak przemawiał do mnie i kusił mnie swymi pieniędzmi? Nie mogłem nigdy zrozumieć pana pobudek. Przypiął się pan do mnie, żeby sobie ułatwić życie i utuczyć się moją krwią. Może nie? Twierdzą, że pan jest największym skąpcem na świecie, bo gdyby tak nie było...

— Nie. Ja po prostu nie mam pieniędzy — przerwał kamiennym głosem kapitan Whalley.

— Tak trzymać — mruknął *serang*.

Massy odwrócił się z brodą wspartą o ramię.

Pieniądz

— Nie wierzę panu — rzekł apodyktycznie. Kapitan Whalley ani drgnął. — Siedzi pan tu jak obzarty sęp — zupełnie jak sęp.

Ogarnął bezmyślnym spojrzeniem środek rzeki i oba wybrzeża, po czym opuścił z wolna mostek.

## IX

Odwracając się, aby zejść, Massy spostrzegł głowę pierwszego oficera, Sterne'a, wałęsającego się u stóp drabiny. Był to człowiek o przebiegłym, zarozumiałym uśmiechu, rudych wąsach i mrugających oczach; przed zaciągnięciem się na „Sofalę” służył jako drugi oficer w jednej z większych spółek armatorskich. Porzucił posadę, jak twierdził, „dla względów zasadniczych”. Żalił się, że awansował bardzo wolno; najwyższy czas wziąć się za siebie i pomyśleć o karierze. Zdawało się, że nikt nigdy w tej firmie nie umrze i nikt jej nie opuści; wszyscy trzymali się swoich miejsc i porastali pleśnią; Sterne zmęczył się oczekiwaniem, a przy tym wcale nie był pewien, czy w razie wakansu najlepsi pracownicy dostaną to, co im się należy. W dodatku kapitan, pod którym służył — nazwiskiem Provost — był człowiekiem nieobliczalnym i znienawidził go dla tych czy innych powodów. Może po prostu dlatego, że Sterne pracował więcej niż był obowiązany. Jeśli się zdarzyło, że naprawdę zawinił, umiał znieść wymówki po męsku, ale chciał, żeby traktowano go jak człowieka, gdy tymczasem zwracano się do niego zawsze jak do psa. Raz zapytał prosto z mostu kapitana Provosta, w czym on, Sterne, zawinił; kapitan odrzekł na to ze zjadliwą pogardą, że uważa go za doskonałego oficera, a jeśli mu nie dogadza sposób, w jaki się do niego odnoszą, to ot tam jest schodnia — może wynieść się na brzeg choćby zaraz.

Ale każdy wie, jakiego to rodzaju człowiek ten kapitan Provost. Nie warto było chodzić ze skargą do biura. Kapitan Provost zbyt wielkie ma wpływy. Mimo to musieli dać Sterne'owi dobre świadectwo, bo nikt nie mógł mu nic zarzucić. Otóż Sterne posłyszał o wypadku z pierwszym oficerem „Sofali” (ów oficer musiał tego ranka pójść do szpitala z powodu słonecznego udaru) i przyszło mu na myśl, że trzeba się zgłosić; a nuż zostanie przyjęty?

Stawił się przed kapitanem Whalleyem, prostując chudą pierś, świeżo ogolony, czerwonołycy, szczupły; wyrecytował swoją opowieść z męską otwartością i pewnością siebie. Od czasu do czasu powieki mu drgały nieznacznie, a ręka podnosiła się ukradkiem do płomiennych wąsów; brwi miał proste, krzaczaste, koloru kasztana, śmiałość jego spojrzenia zatrącała czelnością.

Kapitan Whalley zaangażował go czasowo, gdy zaś poprzednik Sterne'a został wysłany do kraju przez doktorów, Sterne pozostał na następną podróż, a potem znów na jeszcze jedną. Miał więc już stałą posadę i wypełniał swe obowiązki z miną pełną szczerego przejęcia się i powagi. Kiedy się do niego zwracano, uśmiechał się natychmiast uprzejmie i wyrażając całą postawą wielki szacunek; ale w jego oczach mrugających szybko i nieustannie błyskało coś drwiącego, jakby był wtajemniczony w jakiś pyszny kawał wywodzący w pole cały wszechświat — kawał niedostępny dla reszty śmiertelników.

Uśmiechając się z godnością, śledził, jak Massy schodzi z mostka stopień za stopniem; gdy pierwszy mechanik stanął na pokładzie i odwrócił się, znaleźli się oko w oko. Dobrani wzrostem, lecz krańcowo różni, stali naprzeciw siebie, jakby ich dzielił nie tylko jasny pas słonecznego blasku, który padał przez szeroką szparę w płóciennym dachu, przecinał wąskie deski pokładu i kładł się między nimi jak strumień: dzieliło ich coś głębokiego i subtelnego, a nieuchwytnego, niby tajna wspólnota w złem, ukryta podejrzliwość lub nieokreślony lęk.

Wreszcie Sterne, mrugając osadzonymi głęboko oczami i wysuwając gładką, wygoloną brodę, równie czerwoną jak reszta twarzy, mruknął:

— Widział pan? Statek dotknął mielizny! Widział pan?

Massy odparł pogardliwie takim samym tonem, nie podnosząc żółtej, nalanej twarzy:

— Możliwe. Ale gdyby pan był na miejscu Whalleya, siedzielibyśmy teraz w błocie.

— Bardzo pana przepraszam, lecz pozwolę sobie zaprzeczyć. Naturalnie, że właściciel statku może mówić, co mu się żywnie podoba na swoim rodzonym pokładzie, i to jest w porządku; pozwolę sobie jednak...

— Proszę mi zejść z drogi.

Sterne drgnął z lekka — może był to odruch tłumionego gniewu — lecz nie odstąpił. Massy rozejrzał się w prawo i lewo po deskach pokładu, jakby wszędzie naokoło Sterne'a leżały jaja, których potłuc nie wolno, i jakby szukał niecierpliwie pustych miejsc, gdzie by mógł stawiać nogi w ucieczce. Ale i on się nie poruszył, choć swobodnie mógł przejść obok Sterne'a.

— Słyszałem, co pan tam mówił na górze — ciągnął dalej oficer — i ma pan zupełnie rację, zawsze coś jest nie w porządku...

— Na przykład, jeśli się podsłuchuje tak jak pan, panie Sterne.

— Gdyby pan mógł poświęcić mi łaskawie chwilę uwagi, to bym...

— Pan jest donosicielem — przerwał Massy gwałtownie i zdążył nawet powtórzyć: — zwykłym donosicielem — gdy Sterne wtrącił porozumiewawczym tonem:

— Więc, panie szefie, czego pan właściwie chce? Pan chce...

— Chcę — chcę — jękał się Massy, wściekły i zdziwiony — ja chcę? Skąd pan wie, że ja czegoś chcę? Jak pan śmie! Co pan sobie myśli? O co panu chodzi...

— O awans — przerwał mu Sterne z zuchwałą szczerością.

Okragłe, miękkie policzki mechanika wciąż jeszcze drżały, lecz odrzekł dość spokojnie:

— Pan tylko zawraca mi głowę.

Sterne odparł na to z zarozumiałym uśmiechem:

— Jeden mój znajomy handlowiec (zdobył sobie świetne stanowisko) twierdził zawsze, że to jest właśnie najlepszy sposób postępowania ze zwierzchnikami. „Trzeba chwycić byka za rogi” — mawiał. „Niech pan zawsze pcha się zwierzchnikowi przed oczy. Niech pan się wtrąca do rozmowy przy każdej sposobności. Niech pan pokazuje, co pan umie. Póty niech go pan nudzi, póki pan nie ściągnie jego uwagi”. Takie mi dawał rady. A ja poza panem nie uznaję żadnego zwierzchnika. Pan jest właścicielem statku i tylko z pana sobie coś robię. Rozumie pan? Ja chcę się wybić! Wcale nie ukrywam, że należę do tych, którzy postanowili się wybić; właśnie takimi ludźmi trzeba się posługiwać. Pan zna chyba dobrze te sprawy, bo przecież pan zrobił karierę.

— Nudzić zwierzchnika dla dostania awansu? — powtórzył Massy, jakby porażony zuchwałą oryginalnością tego pomysłu. — Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby się okazało, że zarząd Blue Anchor za to właśnie pana wylał. I pan to nazywa robieniem kariery? Taką samą karierę robi pan tutaj, jeśli się pan nie będzie pilnował — mogę pana zapewnić.

W odpowiedzi na to Sterne zwiesił głowę i zamyślił się, mrugając oczami utkwionymi w pokładzie. Wszystkie jego usiłowania, aby nawiązać poufne stosunki z właścicielem statku, prowadziły w ostatnich czasach tylko do niejasnych gróźb dymisji; a groźba dymisji przyprawiała Sterne'a natychmiast o niepewność i milczenie, jakby nie umiał rozstrzygnąć, czy nadszedł już czas, aby stawić czoło pogrożkom. Wobec tej ostatniej groźby zdawało się wprost, że zapomniał języka w gębie; Massy ruszył z miejsca i mijając Sterne'a ciężkim krokiem, na próżno usiłował go potrącić, bo Sterne w porę się usunął. Potem odwrócił się szybko za Massym i otworzył usta bardzo szeroko, jakby chciał coś za nim krzyknąć, lecz się widać rozmyślił.

Sterne węszył zawsze za jakąś okazją do awansu (jak się szczerze przyznawał) i stało się to w nim po prostu instynktowne, że śledził postępowanie swych bezpośrednich zwierzchników, starając się wykryć coś, „do czego by się można przyczepić”. Wierzył niezłomnie, że nie ma na świecie kapitana, który by choć jeden dzień utrzymał się przy dowództwie, gdyby właściciele statku wiedzieli, „co w trawie piszczy”. Ta fantastyczna i naiwna teoria przyprawiła go już o wiele kłopotów, lecz pozostał niepoprawny; a nielojalność była mu tak dalece wrodzona, że za każdym razem, gdy obejmował nowe obowiązki, miał w głębi ducha zamiar wyrugować z posady swego dowódcę i zająć jego miejsce. W wolnych chwilach marzył o tym na jawie, obmyślając starannie różne plany i odkrycia kompromitujące zwierzchników, a sny jego roily się od szczęśliwych zbiegów okoliczności i sprzyjających okazji. Przecież zdarzało się, iż kapitanowie chorowali i umierali na morzu; trudno sobie wyobrazić lepszą sposobność dla pierwszego oficera, który może wówczas pokazać w pełni wszystkie swe walory. Bywa też, że kapitanowie wpadają do morza; Sterne słyszał o jednym czy dwóch takich wypadkach. Inni znów... A przy tym Sterne wierzył instynktownie, że żaden kapitan nie wytrzymałby próby, gdyby go poddać czujnej obserwacji człowieka „do rzeczy”, człowieka, który potrafi „zwiąchać pismo nosem”.

Dochrapawszy się stałej posady na „Sofali”, Sterne pozwolił wybujać swym uporczym nadziejom. Więc najpierw okoliczność bardzo pomyślną stanowił poważny wiek kapitana; co więcej, z natury rzeczy można się było spodziewać, że człowiek tego rodzaju co Whalley porzuci niebawem swoje stanowisko dla tej lub innej przyczyny. Tymczasem Sterne bardzo się zmartwił spostrzegłszy, że kapitan wcale nie wygląda na człowieka, który wkrótce nie będzie mógł podolać swej pracy. Ale starzy ludzie załamują się często w jednej chwili. Drugą okoliczność pomyślną stanowiła ciągła obecność właściciela, na którym można było wyrzucić korzystne wrażenie gorliwością i zimną krwią. Sterne nie wątpił o swych oczywistych zaletach (był to naprawdę doskonały oficer), tylko że w dzisiejszych czasach bezbłędne wykonywanie obowiązków nie prowadzi szybko na szczyty. Człowiek musi umieć się pchać i być wciąż w pogotowiu, żeby się w odpowiedniej chwili wysunąć. Sterne postanowił, że w razie czego on odziedziczy dowództwo parowca; nie uważał wprawdzie, aby komenda „Sofali” była wielkim osiągnięciem, lecz niezmiernie ważną jest rzeczą, aby zrobić początek — szczególnie na Wschodzie — a jedno dowództwo prowadzi do drugiego.

Przed wszystkim Sterne obiecał sobie, że będzie postępował bardzo ostrożnie; ponure i kapryśne usposobienie Massy’ego onieśmiało go, ponieważ nigdy się z czymś podobnym na morzu nie spotkał; był jednak dość inteligentny na to, aby prawie od pierwszej chwili zrozumieć, iż ma przed sobą sytuację wyjątkową. Jego wścibska badawczość przeniknęła to szybko; poczucie, że jest w powietrzu coś, czego on nie może uchwycić, podnieciło jego żądzę awansu.

Tymczasem skończyła się jedna podróż, potem druga i zaczęła się trzecia, a Sterne wciąż jeszcze nie widział żadnej okazji do skutecznego wystąpienia. Wszystko to było bardzo dziwaczne i bardzo zawikłane; coś działo się tuż obok Sterne’a, coś jakby oddzielonego przepaścią od zwykłego życia na „Sofali” i od okrętowej rutyny, a to życie i ta rutyna były zupełnie takie same jak na wszystkich innych parowcach tej kategorii.

Aż tu pewnego dnia Sterne uczynił odkrycie.

Przyszło po długich tygodniach bacznych obserwacji i niepewnych domysłów, przyszło niby długo poszukiwane rozwiązanie zagadki, olśniewające jak błyskawica — nie narzuciło się jednak Sterne’owi z taką samą pewnością. Wielki Boże! Czyż to możliwe? Przez parę sekund Sterne był spiorunowany, ale potem starał się pozbyć tych myśli z uczuciem wzgardy dla samego siebie, jakby były wytworem niezdrowej skłonności do rzeczy niewiarogodnych, niewytłumaczonych, niesłychanych — do obłądu!

Ów błysk przenikliwości olśnił Sterne’a w ciągu poprzedniej podróży, podczas drogi powrotnej. Parowiec opuścił właśnie osadę Pangu na kontynencie i wychodził z zatoki. Na wschodzie masywny przylądek zamykał perspektywę; pochyłe krawędzie skalnych warstw wyzierały spod rzadkiej roślinności złożonej z wybujałych krzewów i kolczastych pnączy. Wiatr zaczął nucić w osprzęcie; morze wzdłuż wybrzeża, zielone i jakby trochę nabrzmiałe ponad linię horyzontu, zdawało się raz po raz przelewać leniwą, grzmącą falą w cień podwietrznego przylądka; przez szeroką cięciwę zatoki widać było grupę drobnych wysepek, z których najbliższa leżała skąpana w mglistej żółtości wietrznego wschodu słońca; jeszcze dalej okrągłe wierzchołki innych wysepek sterczały nieruchomo nad wodą dzielących je przesmyków, smaganych gwałtownie przez bryzę.

Zwykły szlak „Sofali” wiódł w jedną i w drugą stronę przez obszar usiany rafami na przestrzeni kilku mil. Statek płynął szerokim wodnym traktem, wymijając jeden po drugim okruchy lądu przypominające grupę hulków<sup>33</sup> pozbawionych osprzętu i rozrzuconych beładnie po zdradzieckim dnie, pełnym skał i mielizn. Niektóre z tych fragmentów ziemskiej skorupy wydawały się zaiste nie większe niż rozbity statek, inne, zupełnie płaskie, leżały na wodzie jak przycumowane tratwy, ciężkie, czarne tratwy z kamienia, a kilka okrągłych wysepek zarośniętych gęsto lasem wynurzało się z morza przysadzistymi kopułami ciemnozielonych liści. Owe liściaste kopuły drżały tajemniczo przy lotnych dotknięciach cieni rzucanych przez obłoki posłuszne nagłym podmuchom deszczowej pory. Przybrzeżne burze rozpętywały się często nad grupą wysepek i wówczas cień je powlekał w całości; stawały się jakby ciemniejsze i bardziej nieruchome wśród igrania błyskawic, jakby cichsze i bardziej tajemnicze wśród huku grzmotów; zatarte kontury całej grupy to

<sup>33</sup>*bulk* — statek na stałe przycumowany w porcie, wykorzystywany np. jako mieszkanie. [przypis edytorski]



nikły, rozpuszczając się chwilami doszczętnie w ulewnym deszczu, to znów przy burzliwym świetle odcinały się czarnymi, ostrymi sylwetami na szarym tle chmur, rozsypane po okrągłej lupkowej tablicy morza. Nie uszkodzone przez sztormy, opierające się działaniu czasu, obojętne na walkę świata, leżały oto, niezmiennie, jak owego dnia przed czterystu laty, kiedy oczy ludzi z Zachodu ujrzwały je po raz pierwszy z pokładu karaweli<sup>34</sup> o wysokiej rufie.

Było to jedno z tych zacisznych miejsc, jakie spotyka się na ruchliwym morzu, podobnie jak na lądzie spotyka się czasem zbite w gromadkę chaty wioski nie tkniętej przez ludzki niepokój, przez ludzkie potrzeby, myśli — i jakby przez sam czas zapomnianej. Niezliczone pokolenia miały obojętnie te wysepki, a chmary morskiego ptactwa śpieszyły ku nim ze wszystkich stron horyzontu, aby znaleźć nocleg na przybrzeżnych skałach grupy i zataczały kręgi w długich ciemnych wstęgach rozpostartych na gorejącym tle nieba. Rozedrgana chmura skrzydeł wznosiła się i opadała nad szczytami skał, nad skałami smukłymi jak dzwonnice i przysadzistymi jak okrągłe wieże obronne; nad trójkątnymi stosami podobnymi do ruin, nad szeregami łysych głazów wyglądających jak mur zburzony i osmalony przez błyskawice — mur pełen szczerb, w których połyskiwała senna, przejrzysta woda. Zgiełk nieustannych, gwałtownych ptasich krzyków wypełniał powietrze.

Parowiec „Sofala”, dążący z Batu Beru, napotykał w ciche wieczory ten wrzaskliwy zgiełk, tę bezlitosną, dziką wrzawę zgłuszoną przez oddalenie, wrzawę morskich ptaków sadowiących się na nocleg u schyłku dnia i walczących o miejsce. Nikt z załogi parowca nie zwracał na to szczególnej uwagi; był to odgłos towarzyszący przybiciu do brzegu, które następowało nieodwołalnie przy końcu stumilowego etapu podróży. Parowiec przebywał pomyślnie tę część drogi i we właściwej chwili punktualne wysepki — ostre szczyty skał, kopce ziemi — zaczynały wylaniać się jedna za drugą... a nad nimi unosiła się chmura ptaków — ruchliwa chmura wydająca dziki, okrutny wrzask nieodłączny od znanego widoku, stanowiący żywą część pokruszonej ziemi, rozpostartego szeroko morza i wyniosłych niebios bez skazy.

Ale gdy się zdarzyło, że statek przybijał do lądu po zachodzie słońca, wszędzie panowała już wielka cisza pod płaszczem nocy. Wszystko było nieruchome, nieme, prawie niewidzialne, tylko konstelacje osadzone nisko na niebie chowały się kolejno za niewyraźne masywy wysepek, których zarysy były dla oczu nieuchwytnie na tle ciemnych przestworów nieba; a trzy światła statku — jedno czerwone, drugie zielone, a nad nimi białe — podobne do trzech gwiazd-towarzyszek wędrujących po ziemi, dążyły prosto ku przesmykowi u południowego krańca grupy. Czasem ludzkie oczy śledziły stamtąd zbliżanie się trzech świateł, które sunęły gładko przez ciemną próżnię — oczy nagiego rybaka w czólnie unoszącym się nad rafą. Rybak rozmyślał sennie: „A! to ten buchający ogniem statek, który raz jeden w księżycu wchodzi do zatoki Pangu i wraca na morze”. Nic więcej o parowcu nie wiedział. I właśnie w chwili, gdy chwytal uchem nikły rytm śruby wzburzającej spokojną wodę w odległości półtorej mili, parowiec zmieniał kurs, światła odwracały od rybaka potrójny promień — i nikły.

Kilka nędznych, półnagich rodzin — coś w rodzaju plemienia wyrzutków złożonego z długowłosych i chudych ludzi o dzikim spojrzeniu — walczyło ciężko o byt wśród głuchej pustki tych wysepek, przypominających opuszczone szańce u wrót zatoki. Wśród krętych zaułków skał, na spokojnej wodzie przejrzystszej niż kryształ, tkwiły koślawe, przeciekające czółna rybaków, wyżłobione niezdarnie w pniach; kształty na dnie falowały lekko przy zanurzeniu wiosła, a ludzie zdawali się wisieć nad ziemią w ciemnym, nasiąkłym wodą pniu i łowili cierpliwie ryby jakby w przejrzysto-zielonym powietrzu nad mieliznami, powietrzu dziwacznym i niespokojnym.

Czatowali na zdobycz brunatni i wychudli, rzekłbyś wysuszeni przez słońce; życie upływało im w milczeniu; chaty, gdzie się urodzili, gdzie wypoczywali i umierali — marne szalasy z trzciny i szorstkiej trawy, uzupełnione podartymi matami, były niewidoczne z pełnego morza. Gdy ślepa noc otoczyła wysepki, żar domowych ognisk nie rozniecał nigdy czerwonych światełek dla wzroku marynarza, a cisza, która często ogarniała wybrzeże, płomienna, długa cisza właściwa okolicom równika, kamienna, skupiona cisza, podob-

<sup>34</sup>karawela — typ jednopokładowego żaglowca z XV–XVI w. [przypis edytorski]

na do głębokiego zamyślenia namiętnej przyrody, ciążyła okrutnie przez długie tygodnie nad niezmiennym dziedzictwem tych wyspiarzy; aż w końcu kamienie, rozplamione jak żar, parzyły nagie podeszwy, aż woda — ciepła, mdląca i jakby zgęstniała — lepiała się do nóg chudych ludzi z przepaskami wokół bioder, ludzi brodzących po uda w blasku płytkiego morza. Niekiedy zdarzało się, że parowiec „Sofala”, przetrzymany z jakiegoś powodu w jednym z portów, ukazywał się w pobliżu wysepek dopiero około południa, dążąc ku zatoce Pangu.

Najpierw pojawiał się niewyraźny obłoczek, a potem przejrzysta mgła dymu zaczynała wznosić się tajemniczo z jakiegoś punktu na czystej linii morza i nieba. Milczący rybacy wśród skał wyciągali chude ramiona ku pełnemu morzu, a brunatne postacie schylone na malutkich plażach, brunatne postacie mężczyzn, kobiet i dzieci rozgrzebujących piasek w poszukiwaniu żółtych jaj, prostowały się i podnosiły zgięte łokcie, ocieniając oczy rękami, aby śledzić to comiesięczne zjawisko, które sunęło prosto na wyspy, obchodziło je łukiem i oddalało się. Uszy rybaków chwytaly szybki oddech statku, oczy ich szły za nim śledząc, jak przechodził największym pędem między dwoma cypelkami lądu, jakby się spodziewał, że dotrze bez przeszkód do samego jądra ziemi.

W takie świetliste dni morze nie zdradzało wcale niebezpieczeństw czyhających z obu stron okrętowego szlaku. Wszystko tkwiło w bezruchu, zmiażdżone przytłaczającą siłą światła; a cała grupa wysepek, ciemna wśród blasku słońca — skały podobne do wieżyczek, skały podobne do dzwonnicy, skały podobne do ruin; wysepki podobne do uli lub do kretowisk; wysepki przypominające stogi lub pokryte bluszczem wieże — wszystko to odbijało się na odwrót w gładkiej wodzie jak wyrzeżane z hebanu zabawki, ustawione na srebrzystej płycie zwierciadła.

Pierwsze uderzenie wiatru spowijało całą grupę w pianę nawietrznych bałwanów jak w obłok pary, a przejrzysta woda zaczynała się po prostu gotować we wszystkich przesmykach. Wzburzone morze obrysowywało dokładnie gniewną pianą szeroką podstawę grupy: podmorską płaszczyznę zasłaną gruzem i odpadkami z budowy pobliskiego wybrzeża, płaszczyznę wysuwającą daleko w głąb cieśniny niebezpieczne podwodne rafy, najeżoną mnóstwem złośliwych cyplów, długich nieraz na milę — śmiertelnych pułapek z piany i głazów.

A nawet choćby to była tylko ostra bryza — jak owego ranka w ciągu poprzedniej podróży, kiedy parowiec opuścił zatokę Pangu o wczesnej godzinie i kiedy odkrycie Sterne'a miało się rozwinąć z drobnego nasionka instynktownych podejrzeń jak złowrogi, niewiarogodny kwiat — nawet taka bryza miała dość siły, aby zedrzyć spokojną maskę z lic morza. Dla Sterne'a, który patrzył przed siebie obojętnie, było rewelacją, gdy ujrzął po raz pierwszy niebezpieczeństwa oznaczone tak wyraźnie syczącymi białymi płatami, jakby je kto wyrysował na mapie. Przyszło mu na myśl, iż tego rodzaju dzień sprzyja najbardziej marynarzowi nie obznajmionemu z okolicą — dzień pogodny, lecz dosyć wietrzny, kiedy morze rozbija się o każdą rafę i jakby rozmieszcza boje wzdłuż całego szlaku; natomiast podczas ciszy nie można polegać na niczym prócz kompasu i doświadczanego oka. A przecież kapitanowie zmieniający się na statku musieli nieraz prowadzić go tędy nocą. W dzisiejszych czasach nie można sobie pozwolić na zmarnowanie sześciu lub siedmiu godzin czasu parowca. Nie ma o tym mowy. Ale przyzwyczajenie jest drugą naturą i przy należytej uwadze... Szlak był szeroki i dość bezpieczny; chodziło przede wszystkim o to, aby znaleźć go od razu w ciemności — bo gdyby się człowiek dostał w ten labirynt spienionych wód, nie wypłatałyby się zeń z nietkniętym statkiem — o ile by się w ogóle wypłatał.

Takie oto myśli snuł Sterne bezpośrednio przed swym wielkim odkryciem. Dopilnował właśnie zamocowania kotwicy i ociągał się jeszcze na dziobie. Kapitan znajdował się na mostku. Ogarnąwszy wzrokiem morze, Sterne odwrócił się ziewając z lekka i oparł się plecami o barierę.

Właściwie mówiąc, były to jego ostatnie chwile spokoju na pokładzie „Sofali”. Cały okres, który potem nastąpił, był brzemienno różnymi projektami i pełen napięcia trudnego do wytrzymania. Leniwe rozmyślenia bez celu należały do przeszłości, odkrycie Sterne'a stało się dla niego torturą; czasem po prostu żałował, że nie był na tyle głupi, aby nic nie zauważyć. A przecież, jeśli możliwości jego awansu zależały od odkrycia czegoś, co „nie było w porządku”, nie mógł się spodziewać szczęśliwszego zbiegu okoliczności.

Niebezpieczeństwo

## X

Odkrycie przedstawiało się naprawdę zbyt niepokojąco. Było tam istotnie coś „nie w porządku” — i to jeszcze jak — a ta pewność wydała się Sterne’owi przerażająca. Spoglądał ku rufie w nastroju tak leniwym, że wyjątkowo o nikim źle nie myślał. Kapitan na mostku znajdował się oczywiście w obrębie jego wzroku. Jakże błaha, jak przypadkowa myśl doprowadziła do odkrycia — niby przygodna iskra, która zapala nabój strasliwej miny!

Wydęty przez bryzę dach płócienny na przednim pokładzie z wolna opadał, a nad ciężkim łopotem płótna popielata luźna marynarka Whalleya trzepotała bez przerwy wkoło jego ramion i tułowia. Kapitan był zwrócony twarzą do wiatru i słońca; potężny wichler rozpląszczył wielką brodę o jego piersi. Gęste brwi Whalleya zwisały znad ciemnych zagłębień oczu, które zdawały się spoglądać bystro ku przodowi. Sterne ledwie dostrzegł podwójny błysk białek poruszających się pod łukami krzaczastych brwi. Mimo całej uprzejmości kapitana oczy jego zdawały się przenikać człowieka na wskroś, gdy patrzył z bliska. Sterne nie mógł się obronić przed tym wrażeniem, kiedy wypadło mu z kapitanem rozmawiać. Nie było to wrażenie przyjemne. Whalley wydawał się wielki i tęgi w zestawieniu z tym małym pokurczem serangiem, który go nie odstępował — co było rzeczą zwykłą na tym dziwnym parowcu. Idioteyczny zwyczaj. Irytowało to Sterne’a. Przecież stary mógłby doglądać statku bez pomocy malajskiego wাল্কonia. Sterne wzruszył ramionami z niesmakiem. Co to jest właściwie? Opieszałość czy co?

Stary szyper na pewno rozleniwił się z wiekiem. Wszyscy się rozleniwiają na Wschodzie (Sterne zdawał sobie sprawę bardzo dokładnie ze swej nieźrównanej pracowitości), wszyscy stają się opieszali. Ale wielka postać tkwiła bardzo prosto na mostku, a niziutko u jej boku — jakby małe dziecko wyglądało zza stołu — sterczała nad białym płótnem bariery brunatna twarz *seranga* pod starym filcowym kapeluszem.

Malaj znajdował się oczywiście bardziej w głębi, bliżej koła, lecz wielka różnica we wzroście tych postaci tak blisko siebie stojących bawiła Sterne’a, jak gdyby obserwował jakiś dziwaczny fakt w przyrodzie. Nie tylko w głębi morza spotyka się dziwne stwory.

Spostrzegł, że kapitan Whalley odwrócił szybko głowę, aby powiedzieć coś *serangowi*; wiatr targnął w bok białym gąszczem jego brody. Kapitan na pewno kazał serangowi spojrzeć na kompas. Oczywiście! Za wielka to fatyga zrobić krok i popatrzeć. Pogarda Sterne’a dla rozleniwienia, które ogarnia białych na Wschodzie, zwiększyła się po chwili namysłu. Niektórzy z białych byłiby zupełnie bezradni, gdyby nie mieli krajowców na zawołanie; robią się po prostu bezwstydni. On, Sterne, Bogu dzięki jest zupełnie inny. Ani mu w głowie uzależniać się w pracy od jakiegoś malajskiego wyskrobka. Jakby można było w czymkolwiek zaufać tym głupim krajowcom! Ale chytry starzec jest widać innego zdania. Zawsze są blisko siebie, nigdy się nie rozstają; ta para przywodzi na myśl starego wieloryba w towarzystwie małej rybki zwanej pilotem.

Dziwaczność tego porównania rozśmieszyła Sterne’a. Wieloryb z nieodstępną rybką pilotem! Otóż to właśnie; nie można bowiem powiedzieć, aby stary przypominał rekina, choć pan Massy tak go nazywa. Ale pan Massy wygaduje Bóg wie co, kiedy wpadnie we wściekłość. Sterne uśmiechnął się do siebie i stopniowo opanowały nim myśli pobudzone wyobrażeniem rybki pilota i dźwiękiem tego słowa, myśli o pomocy, o wskazówkach upragnionych i otrzymanych; słowo pilot wzbudziło w Sternie uczucie zaufania, zależności, wywołało obraz bystrookiej pomocy udzielonej marynarzowi, który dąży po omacku w stronę lądu, który wymacuje drogę wśród mgły, który wymacuje drogę wśród burz, co napełniają powietrze słonym oparem zdmuchniętym z morza, zmniejszając ze wszystkich stron widoczność i przybliżając horyzont jak gdyby na odległość ramienia.

Pilot widzi lepiej niż człowiek nie obeznany z okolicą, ponieważ jego wiedza lokalna — jak bystrzejszy wzrok — dopełnia zarysów rzeczy dostrzeganych na chwilę, przenika zasłony oparów rozpostartych nad lądem przez morskie sztormy, określa z niezawodną pewnością kontury wybrzeża leżącego pod całunem mgły oraz kształty znaków nawigacyjnych, na wpół ukrytych w bezgwiazdnej nocy jak w płytkim grobie. Pilot widzi, bo zna okolicę. Żąda pewności nie tyle od swego przenikliwego wzroku, co od swej gruntowniejszej wiedzy; żąda pewności, gdzie się statek znajduje, tej pewności, od której może zależeć dobre imię człowieka, spokój jego ducha, usprawiedliwienie okazanego mu zaufania, a także i jego życie, którym rzadko ma prawo rozporządzać jako swoją własnością —

obok jego życia zaś także skromne żywoty innych ludzi, może związane dalekimi uczuciami i wobec ciężaru oczekującej wszystkich tajemnicy równie ważne jak życia królów.

Wiedza pilota przynosi dowódcy statku ulgę i pewność; natomiast *serang* — w wyobrażeniu Sterne'a rybka-pilot towarzysząca wielorybowi — nie mógł być w żaden sposób pomawiany o gruntowniejszą wiedzę. Skąd żeby ją nabył? Ci dwaj ludzie, biały i brunatny, zaczęli podróżę na „Sofali” jednocześnie, w tym samym dniu; a każdy biały oczywiście nauczył się więcej w tydzień niż najzdolniejszy z krajowców w przeciągu miesiąca. *Serang* został przyuczony do pętania się obok szypra, jakby mu był na coś potrzebny — mówią, że i rybka-pilot potrzebna jest wielorybowi. Ale na czym polega pomoc *seranga* — bardzo wyraźna — na czym może polegać? Rybka-pilot... pilot... Ponieważ nie chodzi tu o żadną gruntowniejszą wiedzę, więc chyba o...

Odkrycie Sterne'a stało się rzeczą dokonaną. Przejęło wstrętem jego wyobraźnię, uraziło jego poczucie uczciwości, wstrząsnęło jego opinią o ludzkim rodzaju. Potworność tego odkrycia podważała zapatrywania Sterne'a na możliwości naszego świata; było to tak, jakby na przykład słońce się stało niebieskie i rzuciło nieznaną, złowieszcze światło na ludzi i przyrodę. W pierwszej chwili zrobiło się Sterne'owi naprawdę słabo, niby od ciosu wymierzonego w brzuch; nawet barwa morza wydała się jego błędnym oczom dziwna i zmieniona; we wszystkich członkach poczuł przelotny brak równowagi, jak gdyby ziemia zaczęła się kręcić w stronę przeciwną.

Po tym wstrząsie ogarnęły Sterne'a bardzo zrozumiałe wątpliwości, co mu przyniosło pewną ulgę. Odetchnął głęboko, uczucie zgrozy minęło. Ale w ciągu całego dnia nachodziło go wśród zajęć zdumienie. Zatrzymywał się i potrzasał głową. Bunt przeciw ogarniającym go podejrzeniom minął prawie równie szybko jak pierwszy wstrząs odkrycia i przez następne dwadzieścia cztery godziny Sterne nawet oka nie zmrużył.

Było to niepożądane. W czasie posiłków (siedział u końca stołu, który ustawiano dla białych na pomoście) nie mógł się powstrzymać od wpatrywania się w kapitana siedzącego naprzeciwko i zupełnie się w tym zapamiętywał. Śledził jego ręce, które podnosiły się z wolna; starzec kładł pożywienie do ust w taki sposób, jakby wcale się nie spodziewał, że chleb powszedni będzie mu smakował, jakby wcale nie czuł, że się pożywia. Jadł jak lunatyk.

„Straszny widok” — pomyślał Sterne i tak długo nie odwracał oczu od kapitana, siedzącego w ponurym, milczącym bezruchu, z wielką, brunatną, na wpół zamkniętą dłońią leżącą obok talerza, póki nie spostrzegł, że obaj mechanicy po prawej i lewej stronie patrzą na niego zdziwieni. Zamykał wówczas usta w pośpiechu i spuszczał wzrok na talerz, szybko mrugając. Okropnie było patrzeć, jak stary kapitan tam siedzi; okropnie było pomyśleć, że Sterne mógł jak nic trzema słowami wysadzić kapitana w powietrze. Gdyby zabrał głos i wymówił jedno krótkie zdanie... ale ta zwykła czynność wydawała mu się tak niemożliwa do wykonania jak wysadzenie z posad słońca na niebie. Starzec jadł w sposób przerażająco machinalny, ale Sterne nie mógł nic jeść z podniecenia, a w każdym razie nie mógł jeść owego wieczoru.

Upłynęło sporo czasu i Sterne przyzwyczaił się do napięcia panującego w ciągu posiłków. Nie byłby w to nigdy uwierzył. Ale można się ze wszystkim oswoić i tylko wielkość sukcesu powstrzymywała Sterne'a od uczuć pokrewnych uniesieniu. Czuł się jak człowiek, który poszukując nabitej strzelby, potrzebnej mu w wędrówce przez świat, natknął się na torpedę z druzgocącym ładunkiem w jednym końcu i ciśnieniem wielu atmosfer w drugim. Jest to broń, która może istotnie przyprawić właściciela o troskę i zdenerwowanie. Sterne nie miał ochoty wylecieć w powietrze; a nie mógł pozbyć się myśli, że w pewnej mierze musiałby także uciepieć od wybuchu.

Ta niejasna obawa powstrzymywała go z początku. Mógł teraz jeść i spać z tą strasliwą bronią u boku, z nieustanną świadomością jej potęgi. Nie za pomocą rozmyślań dokonał swego odkrycia, olśniło go nagle, a potem upewnił się o jego trafności, obserwując mnóstwo drobnych faktów, na które nie zwracał przedtem należytej uwagi. Niepewne tony w głębokim głosie kapitana; milczenie, które przywdziewał jak zbroję; powolne, rzekłbyś, ostrożne gesty; długie okresy bezruchu, które wyglądały jakby człowiek śledzony przez Sterne'a lękał się zakłócić spokój powietrza; każdy ruch znany Sterne'owi, każde słowo

Wzrok

dochodzące jego uszu, każde usłyszane westchnienie nabierały szczególnej doniosłości, potwierdzając jego domysły.

Dnie przeżywane na „Sofali” wydawały mu się teraz przepelnione dowodami — i to niezbitymi. W nocy, kiedy Sterne nie trzymał wachty, wykradał się w pidżamie ze swej kajuty (w poszukiwaniu nowych dowodów) i nieraz stał boso pod mostkiem chyba z godzinę, równie nieruchomy jak najbliższy stojak podtrzymujący dach płócienny. W okolicach, gdzie nawigacja jest łatwa, kapitan nie przebywa zwykle na pokładzie przez cały czas swojej wachty. Utarło się, że zastępuje go serang; na otwartym morzu przy prostym kursie powierza się zazwyczaj *serangowi* pieczę nad statkiem. Ale wyglądało na to, że ten starzec nie mógł spokojnie usiedzieć w swojej kajucie. Widocznie nie mógł spać. Nic dziwnego. To było również dowodem. Wśród ciszy statku, dyszącego na nieruchomym, ciemnym morzu, Sterne słyszał nieraz nad sobą cichy, nerwowy okrzyk:

— *Serangu!*

— Tuanie!

— Pilnujesz dobrze kompasu?

— Pilnuję, tuanie.

— Statek jest na właściwym kursie?

— Tak, tuanie. Idzie bardzo prosto.

— Dobrze. I pamiętaj, serangu, jaki wydałem rozkaz: masz pilnować sternika i trzymać wachtę bardzo starannie, tak jakby mnie nie było na pokładzie.

Po odpowiedzi seranga zniżone głosy na mostku milkły i wszystko wokół Sterne’a wydawało się jeszcze bardziej nieruchome i ciche. Sterne, trochę zziębnięty, z plecami zdrętwiałymi od długiego bezruchu, skradał się z powrotem do swego pokoju umieszczonego po lewej stronie pokładu.

Od dawna już nie miał żadnych wątpliwości; z pierwotnych jego uczuć, wywołanych wstrząsem odkrycia, pozostały tylko ślady lęku. Nie był to lęk przed kapitanem — wystarczyłoby kilka słów Sterne’a, aby Whalley wyleciał — było to raczej pełne zgrozy oburzenie na bezwzględne, wynaturzone skąpstwo (bo cóż by to mogło być innego?), na obłądną i ponurą determinację, z którą ten człowiek dla kilku dolarów więcej zdawał się przekreślać prawa sumienia i walczyć przeciw wyrokom opatrności.

Drugiego takiego człowieka nie znalazłoby się Bogu dzięki na całym świecie. Była jakaś piekielna odwaga w tego rodzaju oszustwie, coś, co człowieka obezwładniało.

Inne jeszcze względy — dyktowane przezornością — skłaniały z dnia na dzień Sterne’a do trzymania języka za zębami. Zdawało mu się teraz, że byłby mógł łatwiej wyjawić wszystko w pierwszych chwilach po dokonaniu odkrycia. Żałował prawie, że nie podniósł gwałtu od razu. Ale ta potworność ujawnionej prawdy... Przecież sam ledwie ją śmiało stwierdzić, a cóż dopiero wyjawiać komuś innemu! Przy tym z desperatem tego rodzaju nie można nigdy nic wiedzieć. Sterne nie zamierzał wysadzić kapitana z posady (to było już tak jak zrobione), tylko chciał dostać się na jego miejsce. Choć takie przypuszczenie wyglądało dziwnie, kto wie, czy by się kapitan nie opierał. Człowiek zdolny do podobnego oszustwa mógł się zdobyć na wszelką bezczelność — taki człowiek przeciwstawiał się niejako samemu Bogu. Potwór wręcz niebywały; mógł jak nic wywołać skandal i wyszczać Sterne’a ze statku, uniemożliwiając mu na zawsze karierę w tej części Wschodu. Ale jeśli się chce coś osiągnąć, trzeba ryzykować. Czasem przychodziło Sterne’owi na myśl, że zawinił przez brak odwagi, odkładając działanie na później; a co gorzej, doszło do tego, że i teraz zdawał się nie wiedzieć, jaką powziąć decyzję.

Wściekła ponurość Massy’ego była bardzo kłopotliwa. Stanowiła czynnik zupełnie nieobliczalny. Nie podobna było odgadnąć, co się kryje za tą obelżywą dzikością. Jak można zaufać człowiekowi o podobnym usposobieniu? Sterne Massy’ego się nie bał, ale truchlał na myśl, że mechanik zwicnie mu karierę.

Sterne oczywiście przypisywał sobie niezwykle zdolności obserwacyjne, lecz obcował już zbyt długo ze swym odkryciem. Nie dostrzegał nic innego poza tym i wreszcie pewnego dnia przyszło mu na myśl, że zauważony przez niego fakt bije w oczy i każdy musi go widzieć.

Na pokładzie „Sofali” znajdowało się wszystkiego czterech białych. Jack, drugi mechanik, był zbyt tępy, aby zauważyć coś, co się działo poza obrębem jego maszynowni.

Strach

Pozostawał Massy, osoba najbardziej zainteresowana, właściciel, którego różne troski doprowadzały niemal do obłądzenia. Sterne widział i słyszał na statku wiele rzeczy; wiedział, co trapi zwierzchnika, lecz rozjątrzenie Massy'ego zdawało się czynić go głuchym na ostrożne napomnienia. Gdyby Massy wiedział, co się święci! Przecież to woda na jego młyn. Ale jak się układać z człowiekiem tego rodzaju? Groziłoby to tym samym, co wejście do jaskini tygrysa z kawałem surowego mięsa w ręku. Jedynym podziękowaniem za fatygę byłoby rozszarpanie ofiarodawcy. I rzeczywiście Massy nie szczędził swemu oficerowi pogroźek, a konieczność szybkiego działania połączona z nieuniknionym ryzykiem sprawiały, że Sterne, leżąc bezsennie w swoim pokoju, przewracał się na koi i mruczał coś godzinami, jakby go paliła gorączka.

Fakty w rodzaju przebycia owej mielizny pod Batu Beru były bardzo niebezpieczne dla jego planów. Nie chciał, aby wszystko przepadło z powodu jakiejś nagłej katastrofy. Przypuszczał, że wskutek obecności Massy'ego na mostku Whalley zrobił wszystko, co mógł, aby się popisać. Ale z kapitanem było już bardzo źle, coraz gorzej — tak dalece, że nawet Massy ośmielił się tym razem robić mu wymówki. Sterne, stojąc u stóp drabiny, słyszał jego płaczące i naiwne oskarżenia. Na szczęście ten hycel bardzo jest tępy i nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Trudno mu to wziąć za złe, tylko człowiek zręczny mógł odgadnąć właściwą przyczynę. Ale najwyższy czas na coś się zdecydować. Stary nie potrafi długo prowadzić swojej gry.

— Mogę jak nic przyplącić życiem to zwlekanie — nie mówiąc już o karierze — mruknął Sterne gniewnie pod nosem, gdy zgarbione plecy pierwszego mechanika znikły za rogami luku świetlnego. — Tak, z pewnością — rozmyślał. Ale wyrwanie się ze swoim odkryciem nie zwiększyłyby możliwości awansu, nawet przekreśliłyby go całkowicie. Bał się nowych niepowodzeń. Miał niejasne poczucie, że nie cieszy się sympatią kolegów w tej części świata; to doprawdy niepojęte, bo nikomu nic złego nie zrobił. Na pewno wchodzi tu w grę zazdrość. Ludzie napadają zawsze na człowieka zdolnego, który nie kryje się z tym, że postanowił zająć wysoko. Byłoby istnym szaleństwem, gdyby Sterne spełnił swój obowiązek, licząc na wdzięczność tego bydlęcia Massy'ego. To człowiek podły. I tchórz! Złośliwa bestia. Bydle! Bydle pozbawione ludzkich uczuć, pozbawione nawet zwykłej ciekawości, bo w przeciwnym razie byłby przecież jakoś zareagował na wszystkie te napomnienia swego oficera... Tak wielka obojętność była wprost tajemnicza. Zdaniem Sterne'a nieustanne rozjątrzenie Massy'ego obalwało go do tego stopnia, że przerastał głupotą przeciętnych armatorów.

Sterne, rozmyślając nad troskami wynikającymi z tępoty Massy'ego, zapamiętał się zupełnie. Utkwił nieruchomy, kamienny wzrok w deskach pokładu.

Lekkie drganie przenikające cały statek było bardziej uchwytnie na cichej rzece, ocienionej i spokojnej jak leśna ścieżka. Parowiec, sunąc równo naprzód, minął już dawno pas wybrzeża z mułu i mangrowii. Brzegi wznosiły się coraz wyżej pochyłymi stokami, a wielki las schodził aż na skraj wody. Tam, gdzie powódz podmyła brzegi, widać było strome brunatne wyrwy, obnażające gąszcz korzeni skłębionych jakby w zacieklej walce podziemnej; a nad ziemią powikłane konary, związane i obciążone pnączami, walczyły w dalszym ciągu o byt, splatając się gałęzmi w masywną ścianę z listowia. Z tej ściany wystrzelał gdzieś olbrzymi kształt ciemnego wyniosłego słupa lub też otwierały się w niej strzępiaste wyrwy jakby od kuli armatniej, odsłaniając nieprzenikniony mrok w głębi kniei, odwieczny, nienaruszony cień dziewiczego lasu. Huk maszyn odbijał się miarowo od brzegów jak uderzenia metronomu wystukującego rytm głębokiej ciszy; cień zachodniej ściany padał w poprzek na rzekę, a dym buchający z komina płynął wstecz i rozsnuwał wiotki ciemny welon nad mroczną wodą, która jak gdyby zastygła na całym tym obszarze, osadzona w miejscu przez przypyły.

Ciało Sterne'a, niby wrośnięte w pokład, drgało leciutko od stóp do głów na skutek wewnętrznej vibracji statku; spod nóg oficera dochodził niekiedy nagły brzęk żelaza lub hałaśliwy okrzyk. Na prawym brzegu liście wierzchołków chwytaly promienie zachodzącego słońca; zdawały się jaśnieć własnym złotozielonym światłem mieniącym się wokół najwyższych gałęzi, które odcinały się czarno na gładkim błękitnym niebie, opadającym ku łożysku rzeki niby dach namiotu.

Pasażerowie jadący do Batu Beru klęczeli na deskach, zwiżając pracowicie swe posłania z mat; okręcali sznurami tłumoki, zatraskiwali zamki drewnianych skrzynek. Dziobaty



przekupień norymberskich towarów przechylił głowę w tył, aby wlać do gardła ostatnie krople z glinianej butelki, którą miał zapakować w zwój kolder. Podróżujący kupcy stali grupkami na pokładzie i rozmawiali po cichu; dworzanie jakiegoś pomniejszego radży<sup>35</sup> znad morza, prostoduszni szerokolicy młodzieńcy w białych spodniach, w okrągłych białych bawełnianych czapkach, z barwnymi sarongami<sup>36</sup> zwiniętymi i przerzuconymi przez brązowe plecy, siedzieli w kucki na luku żując betel<sup>37</sup>, który barwił im usta czerwienią, jakby pokosztowali krwi. Włócznie, złożone na stos wewnątrz kręgu utworzonego przez ich boscie nogi, wyglądały jak wiązka suchych bambusów. Chudy, wybladły Chińczyk włożył zawczasu pod pachę pękniętą paczkę zawiniętą w liście i spoglądał niecierpliwie ku przodowi; wędrowiec z plemienia Klingów płukał zęby i tarł je kawałeczkiem drzewa, przy czym woda lała mu się z ust za burtę jasnym strumieniem; tłusty radża drzemał w obszarpanym pokładowym leżaku — a przy każdym zakręcie ukazywały się znów obie ściany z liści, biegnące równolegle wzdłuż brzegów; nieprzenikniony ich maszyn rozpyływał się u szczytu w mglisty opar z niezliczonych cieniutkich witek, które rosły swobodnie — z młodych kruchych odrośli, które strzelały w górę od najwyższych konarów sędziwych pni — i ze spiczastych pędów lian, sterczących w górę bez ruchu jak delikatne srebrzyste gałązki. Nigdzie nie było śladu polanki lub też ludzkiej osady, tylko raz ukazały się na pustym końcu niskiego przylądka, pod samotną grupką smukłych drzewiastych paproci, potrzaskane, skłębione szczątki starego szałas na palach; szczątki te wyglądały, jakby je kto rozwalil pałką, co jest charakterystyczne dla zniszczonych ścian bambusowych.

Nieco dalej ukazało się czółno na wpół ukryte pod zwisającymi krzakami; siedzieli w nim mężczyzna i kobieta obok tuzina orzechów kokosowych złożonych na kupkę; czółno kołysało się bezradnie po przejściu „Sofali”, niby pływacki sprzęt jakichś przedsiębiorczych owadów — na przykład podróżujących mrówek, a dwie szkliste fałdy, rozchodzące się od obu stron rufy w poprzek całej rzeki, biegły gładko za „Sofalą”, wzniesając brunatną, szemrzącą pianę u błotnistego podnóża obu brzegów.

„Muszę zrobić porządek z tym bydłkiem Massym — rozważał Sterne. — Sytuacja staje się niemożliwa. Tam na mostku siedzi w głębi fotela kapitan — mógłby równie dobrze leżeć w grobie, taki sam byłby z niego pożytek — a serang dowodzi statkiem. Bo tak jest naprawdę; statkiem dowodzi serang. Zajmuje miejsce, które według prawa mnie się należy. Muszę zrobić porządek z tym wściekłym bydłkiem. I to zaraz...”

Sterne poruszył się gwałtownie; wzbudziło to paniczny strach w brązowym, półnagim chłopczyku o wielkich czarnych oczach i szyjce opasanej amuletami nawleczonymi na sznurek. Malec zjadał banan; upuścił go i rzucił się do kolan ciemnoskórego, poważnego Araba w luźnych szatach, iście biblijnej postaci, wyglądającej jak anachronizm na żółtym blaszanym kufrze obwiązany kręconą liną z rotanu<sup>38</sup>. Ojciec wyciągnął rękę z niewzruszonym spokojem i poklepał opiekuńczo chłopczyka po ogolonej głowce.

## XI

Sterne poszedł w ślad za Massym na przeciwległą stronę pokładu. Jack, drugi mechanik, schodząc tyłem po drabinie do maszynowni i wciąż wycierając ręce, uśmiechnął się krzywo do Sterne'a z niezrozumiałego powodu, błysnąwszy białymi zębami w brudnej, zaciętej twarzy. Massy'ego nigdzie nie było widać. Sterne zastukał leciutko w drzwi i rzekł, przykładając usta do rozety wentylatora:

— Muszę z panem pomówić. Niech pan poświęci mi parę minut.

— Jestem zajęty. Proszę odejść od moich drzwi.

— Ja bardzo pana proszę, ja...

— Proszę odejść! Słyszysz pan? Proszę się wynieść na drugi koniec statku, byle daleko — głos wewnątrz kajuty przycichł — do diabła.

Sterne milczał przez chwilę i rzekł bardzo spokojnie:

— Tu chodzi o coś pilnego. Jak pan myśli, kiedy będzie pan miał trochę czasu?

— Nigdy — zabrzmiała rozwścieczona odpowiedź. Na to Sterne prędko nacisnął klamkę, przybierając wyraz twarzy bardzo stanowczy.

<sup>35</sup>radża — lokalny władca w Indiach. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>sarong — długi pas materiału owijany wokół bioder, by uformować z niego spódnicę. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>betel — liście krzewu o tej samej nazwie, stosowane jako używka. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>rotan — także rotang bądź rattan, palma wykorzystywana m. in. do wyplatania mebli. [przypis edytorski]

Kajuta Massy'ego, wąska, o jednej koi, pachniała mocno mydłem; zamieciona czyściutko, okurzona, była obrazem schludności nie tyle ubogiej, co bezdusznej, nie tyle surowej, co martwej i pozbawionej indywidualnego charakteru, niby sala szpitalna lub raczej (ze względu na mały rozmiar) czyste schronienie osoby rozpaczliwie biednej, lecz wzorowej. Ani jedna fotografia nie zdobiła grodzi; żadna część ubrania — nawet zapasowa czapka — nie wisiała na mosiężnych haczykach. Całe wnętrze było pomalowane na pospolity kolor bladoniebieski; dwie duże skrzynie marynarskie w pokrowcach z żaglowego płótna, zaopatrzone w żelazne kłódki, wypełniały dokładnie puste miejsce pod koją. Jednym spojrzeniem można było ogarnąć wyszorowane deski podłogi o czterech kątach niczym nie zasłoniętych. Uderzał brak kanapki; umywalnia z tekowego<sup>39</sup> drzewa wydawała się hermetycznie zamknięta, zarówno jak wieko biurka, które sterczało z przepierzenia u stóp koi; pościel składała się z materaca grubości naleśnika, wytartego koca ozdobionego wyblakłym czerwonym pasem i zwiniętej siatki od moskitów, używanej podczas nocy spędzanych w porcie. Nigdzie nie było widać ani trzewików na podłodze, ani najmniejszego skrawka papieru, ani w ogóle żadnych śmieci; nie dostrzegało się nawet śladu popiołu z fajki, co u nałogowego palacza było wręcz niemoralne, niby objaw krańcowej obłudy. Siedzenie starego drewnianego fotela (jedyne meble, na którym można było usiąść), wygładzone od długoletniej służby błyszczało, jakby je odpoliturowano. Zasłona z listowia sunęła przed okrągłym otworem iluminatora, rzekłbyś, odwijając się bez końca, i zasnuwała kajutę migotliwą siecią światła i cieni.

Sterne, trzymając jedną ręką klamkę, wsunął przez drzwi głowę i ramiona. Wobec tego zdumiewającego wtargnięcia Massy, który siedział i nic nie robił, zerwał się oniemiały.

— Tylko niech mi pan nie wymyśla — mruknął spiesźnie Sterne. — Wypraszam to sobie. Ja chcę tylko pana dobra.

Nastąpiła pauza, jakby wypełniona niezmiernym zdziwieniem. Obaj zapomnieli języka w gębie. Oficer odezwał się pierwszy dyskretnie i płynnie:

— Pan nie ma najłżejszego pojęcia, co się dzieje na pańskim statku. Nic podobnego nie przyszło panu do głowy. Pan jest za dobry, za... za prawy, aby kogoś podejrzewać o tego rodzaju... Po prostu włosy stają człowiekowi na głowie.

Obserwował, jakie to wywarło wrażenie: Massy wyglądał na oszołomionego, zdawał się nic nie rozumieć. Przesunął ręką po czarnych jak węgiel kosmykach przylepionych do ciemienia. Sterne mówił spiesźnie dalej przybrawszy ton poufny i śmiały:

— Niech pan nie zapomina, że już za sześć tygodni kończy się... — Massy patrzył w niego osłupiałym wzrokiem. — Więc tak czy owak będzie pan wkrótce potrzebował kapitana dla statku.

Dopiero wówczas Massy drgnął, jakby te słowa przypiekły go niczym rozpalone żelazo; zdawało się, że krzyknie. Opanował się z wielkim wysiłkiem.

— Będę... potrzebował... kapitana? — powtórzył z wolna i obelżywie. — Ja mam potrzebować kapitana? Pan śmie mi powiedzieć, że potrzebuję kogoś z was, kiepskich marynarzy, żeby prowadził mi statek? Tuczycie się moją krwią już od lat. Wolałbym rzucić pieniądze za burtę. Obżartuchy, nicponie, oszuści. Mój stary parowiec potrafi tyle, co najlepsi z was. — Kłapnął głośno zębami i warknął: — Że też to głupie prawo wymaga kapitana!

Tymczasem Sterne nabrał odwagi.

— Głupi agenci od ubezpieczeń wymagają także kapitana — rzekł lekkim tonem. — Ale mniejsza z tym. Chcę tylko zapytać o jedno: czy ja bym się panu nie nadał? Przecież wiem doskonale, że pan potrafiłby prowadzić statek równie dobrze jak każdy z nas, marynarzy. Nie będę udawał przed panem, że to jest wielka sztuka... — Parsknął poufale krótkim, głuchym śmiechem. — Nie ja stworzyłem to prawo, ale cóż robić, istnieje, i koniec; a ze mnie jest człowiek energiczny; zgadzam się z pana zapatrywaniami i znam już pana usposobienie. Ja bym nie przybierał takich min jak tamten stary próżniak na mostku.

<sup>39</sup>*drewno tekowe* — gatunek drzewa podzwrotnikowego używanego m. in. do budowy okrętów, ze względu na fakt, iż słabo wchłania wodę. [przypis edytorski]

Wypowiedział dobitnie ostatnie zdanie, aby zmylić ślad, w razie gdyby Massy... ale teraz już nie wątpił, że mu się uda. Pierwszy mechanik miał minę załapaną jak niedojda, któremu każą schwytać puszczonego w ruch bąka.

— Czego pan potrzebuje, to człowieka, który ma dobrze w głowie i który rad zostanie pańskim kapitanem. I słusznie. Umiem sobie radzić równie dobrze jak tamten serang. A właściwie o nic więcej nie chodzi. Bo czy pan wie, panie szefie, że to ta psiakrew małpa malajska dowodzi pana statkiem — a nie kto inny? Niech pan posłucha, jak jego nogi plaskają tam w górze po mostku — to on jest oficerem na służbie. To on prowadzi statek w górę rzeki, podczas gdy wielki człowiek wyleguje się w fotelu — może i śpi; a jeśli śpi, sytuacja niewiele przez to się zmienia, daję panu słowo.

Spróbował wsunąć się dalej do kajuty. Massy stał nieporuszony ze spuszczoną głową, ściskając w ręku oparcie fotela.

— Pan myśli, panie szefie, że ten człowiek trzyma pana w garści z powodu kontraktu. — Massy podniósł na te słowa rozszoszczoną, tępą twarz. — Przecież na statku niepodobna o tym nie słyszeć. To żaden sekret. Na łądzie mówią już o tym od lat; niektórzy porobili zakłady. A tymczasem, panie szefie, to pan go trzyma w garści, a nie on pana. Powie pan na to, że za gnuśność nie może go pan oddalić, że trudno dowieść tego w sądzie i tak dalej. To jest prawda. Ale jeśli pan na to się zgodzi, panie szefie, powiem panu coś takiego o jego gnuśności, że będzie pan miał prawo natychmiast go wyłączyć i powierzyć mnie dowództwo na resztę tej podróży — tak, panie szefie, jeszcze zanim opuścimy Batu Beru — i zmusić go do płacenia dolara dziennie za wikt aż do naszego powrotu, jeśli się panu spodoba. Cóż pan o tym myśli? No, panie szefie! Niechże pan się na to zgodzi. Doprawdy, że dobrze pan na tym wyjdzie, a mnie pana słowo wystarczy. Wyrażne oświadczenie z pana strony będzie miało dla mnie wagę kontraktu.

Oczy Sterne'a zaczęły błyszczeć. Nalegał w dalszym ciągu; wystarczy zwykle oświadczenie. A w duchu myślał sobie, że potrafi utrzymać się na statku tak długo, jak będzie mu to odpowiadało. Uczyni się na „Sofali” niezbędnym; a że parowiec miał w porcie złą opinię, łatwo będzie odstraszyć wszystkich kolegów. Massy będzie go musiał zatrzymać.

— Wyrażne oświadczenie z mojej strony panu wystarczy — powtórzył z wolna Massy.

— Tak, panie szefie. Wystarczy.

Sterne podniósł głowę wesoło i mrugając spojrział z bliska na mechanika z tą bezwiedną czelnością, która rozwścieczała Massy'ego najbardziej.

Mechanik rzekł dobitnie:

— Więc niech pan mnie słucha uważnie, panie Sterne: nie dałbym — słyszy pan? — nie dałbym złamanego szeląga za wszystko, co mi pan może powiedzieć.

Odrzucił z siłą ramię Sterne'a i złapawszy klamkę, zatrzasnął drzwi. Rozległ się ogłuszający huk; kajuta ściemniała w oczach Massy'ego, jakby po olśniewającym wybuchu. Opadł natychmiast na krzesło.

— Ani myślę! Nic z tego! — wyszeptał słabym głosem.

Statek musiał w tym miejscu otrzeć się tak blisko o brzeg, że olbrzymia ściana z liści przysunęła się do iluminatora jak okiennica; mrok dziewiczego lasu wpłynął do pustej kabiny wraz z zapachem butwiejących liści i rozmokłego gruntu — z silnym zapachem żywej ziemi parującej po ustąpieniu powodzi. Gąszcz ocierał się, chrzęszcząc, o burtę statku; w górze rozlegały się raz po raz trzaski i gęsty deszcz drobnych połamanych gałązek spadał na pomost; liana z głośnym szelestem zaczęła o szczyt żurawika, a długi, bujny zielony pęd wpadł przez otwarty iluminator i wypadł z powrotem, zostawiając kilka poszarpanych liści, które nagle osiadły na kołdrze Massy'ego. Potem parowiec skierował się ku środkowi rzeki; światło dnia wracało, ale przyćmione, bo słońce było już bardzo nisko i coraz gęstszy mrok, rączy poprzednik nocy, ogarniał rzekę snującą się krętym biegiem wśród mnóstwa odwiecznych drzew, jakby na dnie stromeego wąwozu.

— Ani myślę, nic z tego! — wyszeptał znowu mechanik.

Usta jego drżały prawie niezauważalnie, jak również i ręce; chcąc się uspokoić, otworzył biurko, rozpostarł arkusz cienkiego szarawego papieru pokrytego mnóstwem drukowanych cyfr i jał<sup>40</sup> pilnie im się przyglądać — przynajmniej po raz dwudziesty w ciągu tej podróży.

<sup>40</sup>jałć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

Rozstawiwszy łokcie i objąwszy głowę rękami, wyglądał jak zatopiony w zawiłym zadaniu matematycznym. Była to lista numerów, które wygrały podczas ostatniego ciągnięcia wielkiej loterii, tej samej, co przez tyle lat stanowiła jedyny elektryzujący fakt w życiu Massy'ego. Nie mógł już sobie wyobrazić egzystencji bez tego ukazującego się periodycznie arkusza, podobnie jak ktoś inny — zależnie od swego charakteru — nie byłby w stanie zrozumieć świata bez świeżego powietrza, bez pracy lub bez uczuć przywiązania. Stos cienkich arkuszy powiększał się z latami w biurku Massy'ego; parowiec „Sofala”, obsługiwany przez wiernego Jacka, zużywał swoje kotły, płynąc tam i na powrót przez cieśninę Malakka od przylądka do przylądka, od rzeki do rzeki, od zatoki do zatoki, a Massy, dzięki znojowi spracowanego, przemęczonego statku, gromadził te dokumenty pokryte czarnymi cyframi. Trzymał je pod kluczem, niby skarby. Był w nich — jak we wszystkim, co wiąże się z życiem — czar nadziei, było podniecenie płynące z na wpół odgadniętej tajemnicy, była tęsknota za na wpół ziszczonym pragnieniem.

W czasie podróży Massy zamykał się w kajucie i obcował całymi dniami z tą listą wygranych; głuche odgłosy pracujących maszyn pulsowały w jego uszach; wytężał mózg, ślęcząc nad rzędami cyfr uszeregowanych bez związku, oszalałymi swą przypadkowością podobną do przypadkowości samego losu. Miał przekonanie, że w wynikach trafu musi się kryć jakaś logika. Zdawało mu się, że ją dostrzeże. W głowie mu się kręciło; członki go bolały; pociągał machinalnie dym z fajki; drętwa kontemplacja łagodziła jego drażliwość jak bierny spokój ciała wywołany przez narkotyk, lecz mózg pracował dalej z nateżeniem. Dziewięć, dziewięć, zero, cztery, dwa. Zanotował coś. Następny wielki los padł na numer czterdzieści siedem tysięcy pięć. Te numery trzeba będzie w przyszłości omijać, pisząc do Manili po bilety. Mruczał z ołówkiem w rękę: „Czterdzieści siedem tysięcy pięć. No, no...” Zwilżał palec; arkusze szeleściły. Ach! Cóż to znowu ma znaczyć? Przed trzema laty we wrześniowym ciągnięciu wielki los padł na numer dziewięć zero, cztery, dwa. To nadzwyczajne. Jest w tym przebłysk pewnego określonego prawa. Massy obawiał się, aby mu nie uszła jakaś skomplikowana zasada ukryta wśród oszalałego bogactwa materiału, który posiadał. Na czym mogłaby ta zasada polegać? I przez pół godziny siedział w zupełnym bezruchu, schylony nisko nad biurkiem. Za jego plecami gęsty dym wypełniał kajutę, jakby wpadła tam bomba, której Massy nie zauważył i nie usłyszał.

W końcu zamykał biurko ze stanowczością płynącą z niewzruszonej wiary, zrywał się i wychodził. Spacerował szybko tam i na powrót po tej części przedniego pokładu, która nie była zajęta przez pasażerów krajowców i ich rupiecie. Owi pasażerowie przeszkadzali bardzo, ale stanowili źródło dochodu, którego nie można było lekceważyć. Każdy pens z zarobków „Sofali” potrzebny był Massy'emu na loterię. Bogiem a prawdą, dochody jego nie były znaczne. Niepewnością wygranej wcale się Massy nie martwił, ponieważ jakimś sposobem doszedł do przekonania, że z biegiem lat każdy numer wygrać musi. Była to po prostu kwestia czasu i nabycia możliwie największej ilości biletów — toteż Massy kupował ich na każde ciągnięcie, ile tylko mógł. Zwykle brał ich nawet więcej, niż mógł; wszystkie zarobki parowca szły na to, a także i pensja, którą wyznaczył sobie jako pierwszemu mechanikowi.

Pensji wypłacanych podwładnym zazdrościł z żalem wyrozumowanym, a przy tym namiętym. Patrzył krzywo na laskarów zamiatających pokład, na bosmanów trących mosiężne poręcze tłustymi gałganami, porywał się z pięścią i wykrzykiwał przekleństwa z kiepska po malajsku na cieślę nieboraka — nieśmiałego, chorowitego, otumanionego przez opium Chińczyka, który za całe ubranie miał granatowe spodnie; Chińczyk rzucał swoje narzędzia i uciekał z rozwianym warkoczem, trzęsąc się ze strachu przed gniewem tego „diabła”.

Ale Massy'emu robiło się po prostu słabo z wściekłości, gdy podniósł oczy na mostek; sterczał tam zawsze jeden z tych oszustów marynarzy, co z nakazu prawa prowadzili jego statek. Miał wstręt do nich wszystkich. Był to spór zastarzały, sięgający czasów, gdy Massy znalazł się po raz pierwszy w maszynowni — jako młody szczeniak z wielkim wyobrażeniem o sobie. Ileż przesładowań musiał znieść od tych wszystkich szyprów, od tych przekreślonych zer, które na parowcu nie mają właściwie nic do powiedzenia. A teraz, kiedy udało mu się zostać właścicielem statku, byli jeszcze wciąż plagą dla niego; musiał wypłacać mnóstwo pieniędzy bezużytecznym, zarozumiałym próżniakom — jak

gdyby wykwalifikowany mechanik, a przy tym właściciel statku, nie był w stanie wziąć na siebie pełnej odpowiedzialności za prowadzenie parowca. Wprawdzie umiał dać im się porządnie we znaki, ale niewielka to była pociecha. Doszło do tego, że zaczął nienawidzić także i „Sofali” — za reperacje, których statek potrzebował, za węgiel, który trzeba było kupować, za marne opłaty frachtowe, które parowiec zarabiał. Chodząc po pokładzie, Massy zaciskał pięść i raptem uderzał z wściekłością w barierę, jakby statkowi można było zadać ból. A jednak nie mógł bez niego się obejść; potrzebował go; musiał trzymać się go zębami i pazurami, aby nie pójść na dno — póki nie zjawi się upragniony przyływ fortuny i nie wyniesie go zdrowego i całego na wysoki brzeg jego ambicji.

A jego ambicją było teraz nic, ale to nic nie robić i mieć na to mnóstwo pieniędzy. Zakosztował władzy, i to w formie najwyższej, jaką ograniczona jego wyobraźnia zdolna mu była podsunąć — władzy przysługującej właścicielowi statku. Co za rozczarowanie zgotowała mu ta władza! Marność nad marnościami! Zdumiewał się nad swoim szaleństwem. Odrzucił rzecz istotną, goniąc za cieniem. O przyjemnościach płynących z bogactwa wiedział zbyt mało, aby podniecać się wizjami przepychu. I skądżeby miał o nich wiedzieć — on, dziecko pijaka kotlarza, on, który przeszedł prosto z warsztatu ojca do maszynowni węglowego statku z północy! Lecz pojęcie zupełnej bezczynności, jaką daje bogactwo, było mu najzupełniej dostępne. Rozkoszował się nim, aby zapomnieć o swych kłopotach; wystawiał sobie, że chodzi po ulicach Hull (będąc chłopcem znał dobrze ich rysztoki) z kieszeniami pełnymi funtów szterlingów w złocie. Kupi sobie dom; jego zamężne siostry, szwagrowie, jego dawni kompani z warsztatu będą mu składać czołobitne hołdy. Nie będzie kłopotał się o nic. Jego słowo będzie prawem. Nim wygrał na loterii, był długi czas bez pracy i pamiętał, jak Carlo Mariani (zwany grubym Charleyem), Maltańczyk — właściciel hotelu położonego przy tej części Denham Street, gdzie ulica przechodzi w nędzny zaułek — lasił się przed nim radośnie w ów wieczór, gdy nadeszła wiadomość o wygranej. Nieborak Charley zarabiał na życie pośrednicząc w zaspokajaniu różnych wstrętnych nalogów, ale żywił na kredyt niejednego białego wykolejeńca. Rozkoszował się naiwnie myślą, że jego dawne rachunki zostaną uregulowane, i liczył niezawodnie na szereg hulanków w swym podziemnym szynku podobnym do jaskini. Massy przypominał sobie zaciekawione, pełne szacunku spojrzenia różnych zgromadzonych tam białych rozbitków życiowych. Serce rosło mu w piersiach. Porzucił z wyniosłą miną ohydny norę Charleya, gdy spostrzegł, jakie możliwości otwierają się przed nim. Później wspomnienie tych służalczych pochlebstw stało się dla niego źródłem wielkiej goryczy.

Oto prawdziwa siła pieniędzy — przy tym człowiek nie ma żadnych trosk i nie potrzebuje myśleć o niczym. Myślenie szło Massy’emu opornie, ale czuł bardzo żywo; wyobrażał sobie w tępej mózgownicy, że zagadnienia wynikające z każdego regularnego trybu życia znalazły się na jego drodze, ciężkie i okrutne, tylko wskutek jawnej ludzkiej nieżyczliwości. Z chwilą gdy został armatorem, wszyscy sprzysięgli się przeciw niemu, aby mu nie dać się wybić. Jak mógł być takim skończonym idiotą, żeby kupić ten przeklęty statek? Nabrano go w sposób ohydny i nabierano go w dalszym ciągu; trudności wynikły z jego nieopatrznej ambicji napierały nań coraz silniej i zaczął naprawdę nienawidzić wszystkich, z którymi kiedykolwiek się zetknął. Usposobienie porywcze i zadziwiająca wrażliwość na własne prawa uczyniły w końcu z jego życia coś na kształt piekła, gdzie jak potępieniec wydany był na pastwę obłądnych rozmyślań.

Ale najbardziej ze wszystkich nienawidził tego starca, który zjawił się przed nim pewnego wieczoru, aby go uratować od ostatecznej zguby — od spisku nędznych marynarzy. Zdawało się, że spadł z nieba na pokład. Kroki jego rozlegały się echem po pustym parowcu, a dziwny głos o głębokim brzmieniu powtarzał raz po raz: „Czy zastałem pana Massy’ego?” Wstrząsnęło to Massym jak cud. Wspiął się na pokład z głębi wyziębłej maszynowni, gdzie błąkał się zgnębiony ze świecą w ręku wśród olbrzymich cieniów rzuconych na wszystkie strony przez szkielety maszyn — i oniemiał na widok tego wspańskiego starca o piersi okrytej brodą jak srebrnym pancerzem — na widok tej wyniosłej postaci stojącej wśród zmierzchu, który się rozpalil ponuro od gasnących promieni zachodu.

— Pan ma do mnie interes? Jaki interes? Ja żadnych interesów nie prowadzę. Czy pan nie widzi, że statek jest nieczynny?

Chciwość

Nienawiść

Ścigany przez szydery los Massy był w położeniu bez wyjścia. Nie chciał wierzyć własnym uszom, usłyszawszy, o co chodzi temu starcowi. Do czego on zmierza? Takie rzeczy się nie zdarzają. To sen. Massy obudzi się za chwilę i ów człowiek rozwieje się jak mgła. Powaga, dostojność, stanowczy i uprzejmy głos nieznanego atletycznego starca uczyniły na Massym wielkie wrażenie. Czuł się prawie załęczony. Ale to nie był sen. Pięćset funtów to nie jest sen. Nagle zaczął coś podejrzewać. Co ta propozycja właściwie ma znaczyć? Naturalnie, że trzeba jej się chwycić jak deski ratunku. Ale co się może pod tym kryć?

Postanowili, że nazajutrz wczesnym rankiem spotkają się u adwokata. Zanim jeszcze się pożegnali, Massy zadał sobie pytanie: „Co on w tym ma za cel?” Całą noc obmyślał w pocie czoła punkty umowy, która była czymś jedynym w swoim rodzaju; jej treść przeniknęła między ludzi, stając się w porcie tematem rozmów i budząc zdumienie.

Massy'emu chodziło o to, aby zapewnić sobie możliwie najwięcej sposobów pozbycia się współnika bez obowiązku spłacenia od razu jego kapitału. Natomiast kapitan Whalley skierował wszystkie wysiłki do tego, żeby zabezpieczyć swoje pieniądze. Czyż to nie były pieniądze Ivy — część jej majątku, którego drugim aktywem był stary ojciec, wyzywający czas odpornością potężnego organizmu? Whalley, pewien swej cierpliwości płynącej z przywiązania do córki, przyjął ze spokojem i pogodą idiotycznie chytne warunki Massy'ego — który chciał się zabezpieczyć przed brakiem kompetencji kapitana, przed jego nieuczciwością, przed jego pijaństwem — przyjął te warunki w zamian za inne surowe punkty obowiązujące Massy'ego. Po upływie trzech lat wolno było Whalleyowi wycofać się ze spółki i zabrać swoje pieniądze. Zrobiono odpowiednie zastrzeżenie, aby zabezpieczyć sumę potrzebną na tę spłatę. Ale gdyby Whalley opuścił „Sofalę” przed określonym terminem, i to z jakiegokolwiek powodu (wyjawszy śmierć), Massy mógł go spłacić dopiero po upływie roku.

— No a w razie choroby — podsunął adwokat, młody człowiek, przybyły świeżo z Europy i pracą nie przeciążony; bawiło go układanie tego kontraktu.

Massy zaczął skomleć przypoehlebie:

— Któż by mógł się po kapitanie Whalleyu spodziewać...

— A niech tam — rzekł Whalley z niewzruszonym zaufaniem do wytrzymałości swego ciała. — Wszystko w ręku Boga — dodał. Śmierć czyha na nas na każdym kroku, lecz Whalley pokładał niezłomną wiarę w swym Stwórcy, który znał jego myśli, jego ziemskie przywiązania i jego pobudki. Bóg wiedział, jaki użytek Whalley robi ze swego zdrowia i jak bardzo zdrowia potrzebuje... — Ufam, że moja pierwsza choroba będzie zarazem ostatnią. Nie przypominam sobie, abym kiedy chorował — zauważył. — Niech tak zostanie.

Ale Whalley wzbudził niechęć Massy'ego już w tym wczesnym okresie ich znajomości, ponieważ nie chciał wnieść do spółki sześciuset funtów zamiast pięciuset.

— Tęgo zrobić nie mogę — rzekł z prostotą, lecz zarazem z tak wielką stanowczością, że Massy przestał od razu nalegać, choć pomyślał w duchu:

— Nie może! Stary sknera. *Nie chce!* Ma z pewnością kupę pieniędzy, ale gdyby to było możliwe, wolałby dostać za darmo taką dogodną komendę i szóstą część dochodów w dodatku.

W ciągu tych lat niechęć Massy'ego wzrastała, powściągana czymś w rodzaju strachu. Prostota Whalleya wydawała mu się niebezpieczna. Ale kapitan zmienił się ostatnimi czasami, wydawał się mniej groźny i stracił wiele na żywotności, jakby mu dolegała jakaś ukryta rana. Pozostał jednak wciąż równie niezrozumiały w swej prostocie, w swej odwadze, w swej prawości. A gdy się Massy dowiedział, że z chwilą gdy kontrakt wygaśnie, Whalley zamierza opuścić „Sofalę” i zostawić go oko w oko z zagadnieniem zużytych kotłów — niechęć jego przemieniła się w ukrytą nienawiść.

Nienawiść ta uczyniła go tak przenikliwym, że już od dłuższego czasu Sterne nie mógł mu powiedzieć nic, czego by Massy nie wiedział. Mechanik zużywał wiele sił na terroryzowanie tego łaszącego się szelmy i zmuszanie go do milczenia; chciał uporać się sam z sytuacją i — choć to wydawało się Sterne'owi niepojęte — nie wyrzekał się jeszcze nadziei, iż skłoni znenawidzonego starca do pozostania. Uważał, że innego wyjścia nie ma, że to jedyny sposób, aby się wyratować.



Lecz teraz, od chwili przebycia mielizny pod Batu Beru, wszystko zdawało się zmierzać szybko ku końcowi. Massy do tego stopnia się niepokoił, że studia nad wygrywającymi numerami przestały koić jego wzburzenie.

Ponury mrok w kajucie pogłębiał się coraz bardziej. Massy odłożył listę, mruczając raz jeszcze pod nosem:

— Nic z tego, mój ptaszku. Już ja w tym, że nic nie wskórasz.

Ani myślał dopuścić, aby ten szpieg, ten blagier przyśpieszył jego działanie. Objął znów głowę rękami; jego bezruch i samotność w tej ciemnej zamkniętej komórce jakby wyodrębniały go z otoczenia i odcinały zupełnie od ruchu i dźwięków na pokładzie.

Słyszał je; pasażerowie zaczynali w podnieceniu szwargotać; ktoś włócił ciężką skrzynię obok jego drzwi. Z góry doszedł głos kapitana Whalleya:

— Stop, panie Sterne.

Gdzieś na przednim pokładzie rozległa się odpowiedź:

— Rozkaz, panie kapitanie.

— Zaczujemy się tym razem dziobem w górę rzeki; odpływ się zaczął.

— Tak, panie kapitanie.

— Dopilnuje pan tego, panie Sterne.

Odpowiedź zagłuszył władczy dźwięk gongu z maszynowni. Śruba kręciła się coraz wolniej: raz, dwa, trzy; raz, dwa, trzy — z przestankami, jakby się namyślała przy obrotach. Gong dźwięczał raz po raz, a woda, ubijana przez skrzydła śruby to w jedną, to w drugą stronę, burzyła się hałaśliwie wzdłuż burt. Massy ani drgnął. Na przeciwległym brzegu oddalonym o ćwierć mili światło latarni, nie większe od małej gwiazdki, przeciągnęło z wolna w poprzek iluminatora. Z nabrzeża Van Wyka odpowiedziały głosy na okrzyki z pokładu; rzucono liny, które chybiły i zostały rzucone ponownie; chwiejny płomień pochodni wiezionej w dużym sampanie, przybyłym uroczyście po radę znad morza, rzucił do kajuty Massy'ego nagły, rumiany blask, który oświetlił jego postać. Massy ani drgnął. Po kilku ostatnich ciężkich obrotach maszyny zatrzymały się i przeciągły dźwięk gongu oznajmił, że już swoje zrobiły. Mnóstwo łódek i członów wszelkich rozmiarów przybiło do zewnętrznej burty „Sofali”. Po jakimś czasie zgiełk, pluski, krzyki, szuranie stóp, łoskot rzucanych pakunków, gwar oddalających się pasażerów krajowców — wszystko to z wolna ucichło. Na wybrzeżu tuż obok parowca rozległ się kulturalny, z lekka nakazujący głos:

— A przywieźliście mi pocztę tym razem?

— Tak, panie Wyk — padła poprzez burtę odpowiedź wygłoszona przez Sterne'a z szacunkiem i serdecznością. — Czy mam ją panu przynieść?

Ale głos spytał znowu:

— Gdzie kapitan?

— Zdaje się, że jest jeszcze na mostku. Siedzi w fotelu. Czy mam...

Głos z brzegu przerwał niadbale:

— Przyjdę na pokład.

— Proszę pana — wybuchnął Sterne ze skwapliwością — czy pan zachce łaskawie...

Ruszył szybko ku schodom. Zapadło milczenie. Massy ani drgnął w ciemności.

Nie drgnął nawet wtedy, gdy posłyszał, że ktoś przechodzi leniwie, powłócząc nogami, koło drzwi jego kajuty, tylko wrzasnął przez zamknięte drzwi:

— Hej tam — Jack!

Kroki wróciły bez pośpiechu; klamka zgrzytnęła i drugi mechanik ukazał się w otwartych drzwiach, ciemny na tle jasności padającej przez luk za jego plecami; twarz jego wyglądała równie czarno jak reszta postaci.

— Podróż trwała bardzo długo tym razem — warknął Massy, nie zmieniając pozycji.

— A czegoż innego mógł się pan spodziewać? W rurach od kotła jest masa dziur i trzeba je uszczelniać — bronił się gadatliwie drugi mechanik.

— Stul pysk!

— Mam po uszy pana parszywych kotłów — odgryzł się wierny podwładny chrypliwie i obojętnie. — Niech pan zejdzie tam na dół i puści pełną parę, jeśli pan się ośmieli, bo ja nie.

— Więc jesteś do niczego — rzekł Massy. Mechanik parsknął z lekka śmiechem, który mógł być również warknięciem.

— Lepiej iść wolno niż stanąć w środku drogi — upomniał wielbionego zwierzchnika. Massy ruszył się wreszcie. Obrócił się na krześle i zazgrzytał zębami:

— Niech diabli wezmą i ciebie, i statek! Niech idzie na dno! A wówczas będziesz musiał umrzeć z głodu.

Zausznik szefa zamknął po cichu drzwi.

Massy nasłuchiwał. Zamiast udać się do łazienki, gdzie powinien był pójść się umyć, mechanik wszedł do swojej kajuty, która sąsiadowała z kajutą Massy'ego. Massy zerwał się z krzesła i czekał. Rozległ się zgrzyt zamykanej zasuwki. Massy wypadł na korytarz i kopnął gwałtownie drzwi mechanika.

— Zamykasz kajutę, żeby się strąbić — zawołał.

Po chwili doszła go stłumiona odpowiedź:

— Wolność Tomku w swoim domku.

— Wyleję cię na zбитy łeb, jeśli będziesz pił w czasie podróży — krzyknął Massy.

Po tej groźbie zapadło uporczywe milczenie. Massy oddalił się stroskany. Na brzegu ukazały się dwie postacie i podeszły do schodni. Massy usłyszał głos o pogardliwym odcieniu:

— Nie bardzo mi się chce temu wierzyć. Ale pomówię z nim na pewno.

Drugi głos, który należał do Sterne'a, odrzekł tonem grzecznego ubolewania:

— Dziękuję panu. O to mi właśnie chodzi. Muszę spełnić swój obowiązek.

Massy zdziwił się bardzo. Niska, zwinna postać skoczyła lekko na pokład i o mało co nie wpadła na niego, gdyż stał poza kołem światła latarni wiszącej u trapu. Gdy postać skierowała się ku mostkowi, mówiąc mu spiesźnie „Dobry wieczór”, Massy rzekł cierpko do Sterne'a, który szedł powoli za Van Wykiem:

— Cóż to znów za podlizywanie się Van Wykowi?

— Nic podobnego, panie szefie. Pan Van Wyk nie uważa mnie za równego sobie. Zresztą mam wrażenie, że i pana też. Do kapitana Whalleya odnosi się inaczej. Poszedł zaprosić go na obiad.

I mruknął złowrogo pod nosem:

— Mam nadzieję, że się kapitan dobrze zabawi.

## XII

Van Wyk, jedyny biały w Batu Beru, były oficer marynarki wojennej, który dla znanych sobie tylko powodów odrzucił zapowiedź wspaniałej kariery, aby krzewić uprawę tytoniu w tej odległej części wybrzeża, polubił bardzo Whalleya. Wygląd nowego kapitana przyciągnął jego uwagę. Nie można było sobie wyobrazić kogoś mniej podobnego do różnych typów, jakie za pamięci Van Wyka przesunęły się przez mostek „Sofali”.

W owym czasie Batu Beru nie było tym, czym stało się później: centrum kwitnącego okręgu poświęconego uprawie tytoniu, tropikalną, jakby podmiejską osadą o domkach położonych przy jedynej ulicy, długiej i ocienionej dwoma rzędami drzew. Ta osada, otoczona bujnie rozkwitym parkiem — przeciętym długą na trzy mile aleją dla popołudniowych spacerów — była siedzibą rezydenta pierwszej klasy i jego tłustej, wesołej żony, przewodzącej towarzystwu złożonemu z żonatych administratorów plantacji oraz młodych kawalerów zatrudnionych w wielkich spółkach.

Do owego rozkwitu było jeszcze daleko; pomyślny rozwój plantacji obchodził tylko Van Wyka, zagospodarowanego na lewym brzegu rzeki, na głębokiej polance wyciętej w lesie, który poniżej i powyżej uprawnych pól schodził na sam skraj wody. Samotna willa Van Wyka znajdowała się naprzeciw domków sułtana stojących z drugiej strony rzeki; ów sułtan był starym władcą niespokojnym i melancholijnym, który skończył już z miłością i wojną i dla którego życie straciło wszelki urok (zajmowały go tylko złe wróżby), a czas nie posiadał nigdy wartości. Sułtan bał się śmierci, ale miał nadzieję, że umrze, zanim biali zdążą zabrać mu kraj. Przeprowadzał się często przez rzekę (w orszaku przynajmniej dziesięciu łódek zatłoczonych ludźmi) pod wpływem tęsknej nadziei, że wyciągnie trochę informacji na temat polityki od swojego białego człowieka.

Sułtan zajmował na werandzie zawsze to samo krzesło, dworscy dygnitarze siadali w kucki na dywanach i skórach wśród mebli, pośledniejsi zaś członkowie orszaku ustawiali się na gazonie<sup>41</sup> między rzeką a domem, wzdłuż frontu, we trzy albo cztery rzędy.

Nierzadko wizyta zaczynała się o świcie. Van Wyk tolerował te najścia. Kiwał głową na powitanie, stojąc w oknie sypialni ze szczotką do zębów lub brzytwą w ręku, czasem w kąpielowym płaszczu przechodził przez tłum dworaków. Ukazywał się i zniknął, nucąc jakąś melodię, polerował z uwagą paznokcie, wycierał wodą kolońską ogolone policzki, pił ranną herbatę, wychodził, aby rzucić okiem na swych kulisów przy pracy; wracał, przeglądał papiery na biurku, czytał parę stron jakiejś książki lub siedział przed fortepianem z wyciągniętymi rękami i palcami na klawiszach, przechylając się lekko z boku na bok. Kiedy już musiał coś odpowiedzieć, dawał uspokajające, mętne wyjaśnienia po prostu przez litość; może to samo uczucie skłaniało go do tak hojnego częstowania gości napojami musującymi, że nieraz musiał obchodzić się z tydzień bez wody sodowej. Stary sułtan pozwolił mu swego czasu zająć tyle ziemi, ile Van Wykowi spodobało się wykarczować; wynosiło to ni mniej ni więcej tylko wielki majątek.

Może Van Wyk gonił za majątkiem, a może chciał tylko odciąć się od swoich bliznich, ale nie mógł lepiej trafić. Parowce subsydiowanego towarzystwa, odwiedzające nawet grupki lepiank o dachach z liści palmowych, omijały daleko na pełnym morzu ujście rzeki, nad którą leżało Batu Beru. Kontrakt owego towarzystwa dawno był sporządzony; za kilka lat, po wygaśnięciu kontraktu, Batu Beru miało pewnie zostać włączone do miejsc obsługiwanych przez parowiec, ale na razie cała poczta Van Wyka była adresowana do Malakki, a jego agent wysyłał ją na „Sofali” raz na miesiąc. Wynikało stąd, że gdy Massy znajdował się w pieniężnych tarapatkach (kupiwszy za wiele biletów na loterie) lub nie mógł znaleźć kapitana, Van Wyk był pozbawiony listów i dzienników. Dlatego właśnie obchodził go los „Sofali”. Chociaż Van Wyk uważał się za pustelnika (widać nie był to kaprys przemijający, skoro trwał już osiem lat), lubił wiedzieć, co się dzieje na świecie.

Na werandzie stała podręczna półka orzechowa (przybyła w zeszłym roku na „Sofali” — wszystko przybywało na „Sofali”), gdzie leżały pod brązowymi przyciskami różne tygodniki: stos dodatku tygodniowego „The Times”, wielkie arkusze „Rotterdam Courant”, „The Graphic” w znanych na całym świecie zielonych okładkach, jakaś nieoprawna książka holenderska z ilustracjami, kilka numerów niemieckiego przeglądu w okładkach koloru „Bismarck malade”. Leżały tam również zeszyty z najnowszymi nutami, choć fortepian (przyjechał przed laty na „Sofali”), był zwykle rozstrojony pod wpływem wilgotnego leśnego powietrza. Czasem przez sześćdziesiąt dni z rzędu Van Wyk bywał odcięty od świata bez możliwości dowiedzenia się, dlaczego „Sofala” tak się opóźnia, i to dokuczało mu srodze. A gdy parowiec ukazywał się znów, Van Wyk schodził ze stopni werandy i ze zmarszczką na białym czole szedł z wolna przez trawnik aż na brzeg wody.

— Widać zdarzył się jakiś wypadek i statek był niezdolny do użytku?

Zwracał się z tym pytaniem w stronę mostka, ale nim zdążył kto odpowiedzieć, Massy przelazł przez barierę i zbliżał się szybko ze splecionymi dłońmi, pochylając gładką głowę o łysym ciemieniu, jakby oklejonym czarnymi nićmi i tasiemkami. Konieczność usprawiedliwiania się tak go rozwścieczała, że zaczynał bełkotać w sposób po prostu żalony, a jednocześnie usiłował przywołać uśmiech na grube wargi.

— Nie, proszę pana. To jest wprost nie do wiary, ale nie mogłem skłonić żadnego z tych łotrów do objęcia dowództwa. Ani jeden próżniak nie chciał dać się namówić, a jak pan wie, prawo wymaga...

Żalił się długi czas i tłumaczył; z jego gadaniny wybijały się słowa: spiszek, sprzysiężenie, zawiść, wypowiedane bardziej dobitnie. Van Wyk, oglądając z lekkim skrzywieniem ust swoje wypielęgnowane paznokcie, mówił: „Hm, to bardzo przykre”, i odwracał się do Massy’ego plecami.

Wytworny, inteligentny, trochę sceptyk, przywykły do najlepszego towarzystwa (na rok przed porzuceniem swego zawodu i Europy zajmował w ministerstwie marynarki stanowisko bardzo pojętne), taił żar uczuć i wrażliwość na cudzą niedolę pod wyniosłą, z lekka arbitralną obojętnością, którą sobie przyswoił od bardzo młodych lat. W tym zatajaniu się pomagała Van Wykowi pewna cecha jego wyglądu, jakby wypaczone echo

<sup>41</sup>gazon — ozdobny trawnik z krzewami. [przypis edytorski]

dawnej elegancji, coś co by jego wróg określił mianem fircykowatości. Potrafił utrzymywać posłuch prawie wojskowy wśród pracujących u siebie kulisów, których powyciągał z gąszczów i mroku dżungli. Co wieczór ubierał się w białą koszulę o nakrochmalonym, błyszczącym gorsie i sztywnym kołnierzyku, jakby chcąc zachować ceremonialny obrządek wieczorowego stroju, lecz przepasywał biodra grubą czerwoną szarfą, robiąc tym ustępstwo dla dziczy, która była dawniej jego przeciwnikiem, obecnie zaś pokonanym towarzyszem. Przy tym szarfa stanowiła higieniczny środek ostrożności. Plecy i ramiona Van Wyka okrywała krótka kurtka z powiewnego jedwabiu, szeroko otwarta na przedzie. Jego puszyste, jasne włosy, przeredzone na ciemieniu, wiły się z lekka u skroni; wypielęgnowane wąsy, łysawe czoło, połysk lakierowanych pantofli wyglądających spod szerokich prostych spodni, skrojonych z tego samego co kurtka materiału o zwiewności pajęczej, dopełniały stroju Van Wyka. Przepasany szarfą, przypominał korsarskiego wodza z powieści, a także łysawego wytwornisia, który żyje w samotności, folgując<sup>42</sup> swemu upodobaniu do fantastycznych ubiorów.

Był to jego strój wieczorowy. Parowiec przybywał zwykle do Batu Beru godzinę przed zachodem; Van Wyk wyglądał malowniczo, a jednak bardzo poprawnie, chodząc po brzegu na tle zbocza pokrytego trawnikiem; u szczytu tego zbocza stała niska, długa willa o niezmiernie stromym dachu z liści palmowych, obrośnięta kwitnącymi pnączami aż do okapu. Czekając na zacamowanie „Sofali”, Van Wyk przechadzał się przed wejściem na pokład w cieniu kilku drzew pozostawionych obok przystani. Biali z parowca nie należeli do sfery Van Wyka. Stary sułtan odpowiadał już o wiele bardziej jego wybrednemu gustowi, choć wizyty władcy spragnionego informacji niezmiernie Van Wyka nudziły. Ale tamci byli jednak ludźmi białymi; przy tym regularne odwiedziny statku urozmaicały pracowitą jednostajność dnia, nie naruszając domowego zacisza Van Wyka. Co więcej, odwiedziny „Sofali” były pożądane z punktu widzenia interesów; a że w naturze Van Wyka leżała pewna dokładność, irytowało go, kiedy parowiec nie zjawiał się w oznaczonym czasie.

Powód tych opóźnień był wręcz idiotyczny; Van Wyk uważał Massy’ego za durnia i nicponia. Gdy po zawarciu układu z Whalleyem parowiec ukazał się na rzece, wyłaniając się spoza zakrętu, Van Wyk prawie już był stracił nadzieję zobaczenia kiedykolwiek „Sofali”. Ogarnął go taki gniew, że nie zszedł od razu do przystani. Służba przybiegła z wiadomością o przybyciu parowca; Van Wyk przysunął fotel do frontowej poręczy werandy, rozstawił łokcie, oparł brodę na rękach i ze złością patrzył nieruchomo w statek, który cumował się na wprost jego domu. Mógł rozróżnić z łatwością wszystkie białe twarze na pokładzie. Cóż to u diabła za patriarcha, który tam sterczy na mostku?

W końcu zerwał się i poszedł w dół zwirowaną ścieżką. Właściwie to nawet żwir na jego ścieżkach został sprowadzony na „Sofali”. Van Wyk taki był zły, że porzucił zwykły swój wyniosły spokój i nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, zwrócił się od razu do Massy’ego w sposób tak stanowczy, iż zaskoczony tym mechanik jął bąkać coś niezrozumiale. Słysząc tylko słowa:

— Proszę pana... ależ proszę pana... naprawdę że... na przyszość...

Krew uderzyła Massy’emu do głowy i jego wielka twarz o żółciowej cerze przybrała nienaturalny odcień pomarańczowy, na którego tle wystraszone, czarne jak węgiel oczy świeciły niezwykłym blaskiem.

— Tego już nadto. Mam pana po uszy... Cóż to za czelność! Przybija pan do mojej przystani, jakbym ją zbudował tylko dla pana.

Massy usiłował przeczyć żarliwie. Van Wyk bardzo był zły. Oświadczył, że ma wielką ochotę zaproponować tej niemieckiej farmie... tej z Malakki — jakże oni się nazywają? Statki ich mają zielone kominy. Będą zachwyceni, jeśli się im zaproponuje, aby puścili tędy który ze swych małych parowców. Ach prawda, ten Niemiec nazywa się Schnitzler, Jacob Schnitzler. On przyśle w mig parowiec. Van Wyk postanowił napisać do niego bez zwłoki.

Wzburzony Massy złapał fajkę, która wypadła mu z ust.

— Pan chyba nie mówi tego na serio! — zawołał.

— A pan nie powinien psuć sobie interesów w taki śmiesznie niezadarny sposób.

<sup>42</sup>folgować (daw.) — nie ograniczać się, pozwalać sobie na coś. [przypis edytorski]

Van Wyk zawrócił na pięcie. Trzej biali na mostku ani drgnęli. Massy zaczął chodzić szybko od burty do burty, wydymał policzki, po prostu się dusił.

— Nadęty Holender!

I wybelkotal gorączkowo cały szereg pretensji. Ileż on się przez tych kilka lat namozolił, aby temu człowiekowi dogodzić. I tak mu się za to odplaca. A to ananas! Grozi, że napisze do Schnitzlera — że wpuści na rzekę parowce o zielonych kominach — że zrujnuje Massy'ego za pośrednictwem starego Żyda z Hamburga. To po prostu śmieszne... Massy zaniósł się pół śmiechem, pół łkaniem... Ha-ha-ha! I prawdopodobnie Van Wyk każe Massy'emu zawieźć ten list na „Sofali”.

Potknął się o kratę i zaklął. Wyrzuci bez wahania za burtę korespondencję Holendra — całą tę, psiakrew, paczkę. Nie liczył mu nigdy ani grosza za przewóz poczty. Ale nowy wspólnik Massy'ego, kapitan Whalley, nie pozwoli pewno listów wyrzucić; zresztą to by tylko odwlokło fatalny dzień. Co się tyczy jego, Massy'ego, skoczy raczej do wody, niż ścierpi, aby zielone kominy zniweczyły jego handel.

Bredził wciąż głośno. Chińscy posługacze ociągali się z półmiskami u stóp drabiny. Wzrasnął z mostka, w dół ku pokładowi: „Czy dziś wcale żarcia nie dostaniemy?”, i zwrócił się z wściekłością do kapitana Whalleya, który czekał przy stole, poważny i cierpliwy, gładząc od czasu do czasu brodę spokojnym ruchem.

— Pana nic nie obchodzi, co się ze mną dzieje. Czy pan nie rozumie, że to równie dobrze pański interes, jak mój? Tu nie ma żartów.

Usiadł u końca stołu, pomrukując coś pod nosem.

— Chyba że pan ma kilka odłożonych tysięcy. Ja nie mam ani grosza.

Van Wyk jadł obiad w oświetlonej wspaniale willi jarzącej się wśród mroku polanki nad ciemnym wybrzeżem. Potem zasiadł do fortepianu. Podczas pauzy w grze usłyszał powolne kroki na ścieżce biegnącej wzdłuż frontu. Deski trzasnęły pod ciężkimi krokami; Van Wyk odwrócił się nieco na taburecie i nasłuchiwał nie odejmując palców od klawiatury. Mały jego foksterier zaszczekał gwałtownie, cofając się w głąb werandy. Rozległ się głęboki głos, przeprasający z powagą za „to najście”. Van Wyk podszedł szybko do brzegu werandy.

U szczytu schodów stała patriarchalna postać, wyniosła i nieruchoma; był to najwidoczniej nowy kapitan „Sofali”. Van Wyk widział okrągły tuzin owych kapitanów, ale żaden nie był podobny do tego ostatniego. Piesek szczekał wciąż; uskokzył w bok i uciął dopiero wówczas, gdy Van Wyk machnął na niego chustką. Kapitan Whalley nawiązał rozmowę, lecz zetknął się ze sprzeciwem bardzo stanowczym, choć ujawnionym z wyszukaną grzecznością.

Prowadzili dyskusję stojąc w tym samym miejscu, gdzie znaleźli się naprzeciw siebie. Van Wyk przyglądał się gościowi z uwagą. W końcu rzekł, jakby go coś zmusiło do wyzbycia się powściągliwości:

— Dziwi mnie, że pan się wstawia za takim skończonym idiotą.

Ten wybuch był prawie komplementem, jak gdyby Van Wyk chciał powiedzieć: „Że też taki człowiek jak pan wstawia się za nim.

Kapitan Whalley puścił to mimo uszu. Mogło się zdawać, że nic nie usłyszał. Mówił dalej, wyjaśniając, że załagodzenie sporu z Massym obchodzi go osobiście. Osobiście...

Ale Van Wyk, uniesiony prawdziwym wstrętem do Massy'ego, rzekł bardzo ostro:

— Jeśli mam być szczery, to nie uważam, aby jego charakter zasługiwał na szacunek lub zaufanie...

Kapitan Whalley, wyprostowany jak zawsze, stał się jakby o cal wyższy i szerszy; zdawało się, że objętość jego piersi powiększyła się pod rozpostartą brodą.

— Proszę pana, chyba pan nie przypuszcza, że przyszedłem tu dyskutować nad charakterem człowieka, który jest moim — moim — hm — wspólnikiem.

Przez chwilę trwało coś na kształt uroczystego milczenia. Wreszcie kapitan Whalley zaznaczył, że nie ma zwyczaju dopraszać się czyjejkolwiek łaski, ale waga, jaką przywiązuje do tej sprawy, skłoniła go do podjęcia usiłowań... Van Wyk, na którym kapitan zrobił

dotadnie wrażenie, zmiękł pod wpływem naglej ochoty do śmiechu i przerwał Whalleyowi:

— Niech już będzie, jak pan chce, ponieważ pan stawia to jako kwestię osobistą; ale musi pan usiąść choćby na chwilę i wypalić ze mną cygaro.

Po krótkim wahaniu kapitan Whalley wszedł ciężkim krokiem na werandę. Oświadczył, że w przyszłości bierze na siebie odpowiedzialność za regularną obsługę; nazywa się Whalley — może dla marynarza (bo przecież mówi do marynarza?) to nazwisko brzmi niezupełnie obco. Jest tam na wyspie morska latarnia... Może nawet Van Wyk osobiście...

— Ach, tak! Doprawdy! — podchwycił natychmiast Van Wyk. Wskazał Whalleyowi krzesło. Jakież to zajmujące. Van Wyk pełnił służbę podczas ostatniej wojny w Atjeh<sup>43</sup>, ale nigdy nie zapędził się aż tak daleko na Wschód. Wyspa Whalleya? Ależ naturalnie. To bardzo zajmujące. Iluż zmian kapitan musiał być świadkiem od tamtych czasów!

— Pamiętam nawet jeszcze dawniejsze dzieje — sprzed lat pięćdziesięciu.

Kapitan Whalley trochę się rozkrochmalił. Ujął go smak dobrego cygara (była to jego słabość), a uprzejmość młodego człowieka brała za serce. W przypadkowym ich spotkaniu było coś, za czym kapitan stęsknił się w ciągu tych lat walki.

Cofnięta w głąb frontowa ściana domu tworzyła kwadratową wnękę umeblowaną jak pokój. Lampa o mlecznym kloszu, zawieszona pod pochyłym, wysokim dachem u końca mosiężnego łańcucha, rzuciła jasne koło światła na stół i leżącą na nim otwartą książkę oraz nóż z kości słoniowej. Naokoło widać było w przejrzystym cieniu jeszcze inne stoliki, fotele różnych kształtów i mnóstwo skór dzikich zwierząt, rozrzuconych po tиковej podłodze werandy. W powietrzu unosił się zapach kwitnących pnączy. Ich liście wystrzyżone przy słupach werandy tworzyły jakby kilka ram z gęstego, nieruchomego listowia, w którym światło odbijało się zielonym blaskiem. Kapitan mógł widzieć przez otwór z boku trapową latarnię na „Sofali”, palącą się mętnie u brzegu, niewyraźny zarys miasta za połyskliwą, mroczną przestrzenią odsłoniętej rzeki i — jakby zawieszony wzdłuż wystającego okapu — wąski czarny pas nocnych niebios jarzących się gwiazdami. Whalley czuł się dobrze ze świetnym cygarem w ręku.

— Drobnostka. Ktoś musi utarować drogę — mówił. — Pokazałem tylko, że to jest możliwe; ale wy, młodzi, przyzwyczajeni do posługiwania się parą, nie możecie zrozumieć, jak ważna była odrobina mojej przedsiębiorczości dla ówczesnego handlu ze Wschodem. Przecież nowa droga zmniejszała przeciętny czas podróży na południe o jedenaście dni, a można było tej drogi używać więcej niż przez pół roku. O całych jedenaście dni! To jest zapisane w książkach. Ale ponieważ mam do czynienia z marynarzem, opowiem panu, co w tym najciekawsze. Otóż...

Mówił dobrze, fachowo, nie wysuwając na pierwszy plan własnej osoby. Potężny głos, którym władał bez najmniejszego wysiłku, napełniał willę, docierając do pustych pokojów głębokim, czystym dźwiękiem i jakby uciszał wszystko naokół; Van Wyk był zaskoczony pogodnym tonem tego głosu, który uosabiał męską łagodność. Holender założył na kolano swą małą stopę w jedwabnej skarpetce, w lakierku, i objął ją dłonią; bawił się znakomicie. Zdawało mu się, że nikt by już dziś tak mówić nie potrafił, a pogoda ducha Whalleya, ocienione brwiami jego oczy, sfalowana biała broda, potężna budowa — cały zespół cech tego człowieka był zadziwiającym przeżytkiem z czasów przedhistorycznych, przeżytkiem, który stanął przed Van Wykiem, wyloniwszy się z morza.

Kapitan Whalley był również swego czasu pionierem handlu w zatoce Pe-czi-li. Znalazł sposobność, aby nadmienić Van Wykowi, że pochował tam swoją „drogą żonę” przed dwudziestu sześciu laty. Van Wyk, słuchając z twarzą nieporuszoną, mimo woli zastanowił się szybko, jakiego rodzaju kobieta byłaby odpowiednia dla tego człowieka. Czy stanowili dobraną parę dwojga ludzi rozmiłowanych w przygodach? Chyba nie. Bardzo możliwe, że pani Whalley była drobna, szczupła, z pewnością bardzo kobieca — a najprawdopodobniej należała do typu kobiet przeciętnych, zupełnie nijakich kwoczek domowych. Lecz kapitan Whalley nie miał w sobie nic z gadatliwego nudziarza; potrząsnął głową, jakby chciał rozprościć przelotną chmurę, która osiadła na jego pięknej twarzy, i napomknął coś uprzejmie o samotności Van Wyka.

<sup>43</sup>wojna w Atjeh — podbój ostatniego niezależnego sultanatu w Indonezji, dokonany przez Holendrów w 1904 r. [przypis edytorski]

Van Wyk zapewnił, że miewa czasem więcej towarzystwa, niżby pragnął. Wspomnił z uśmiechem o stosunkach ze „swoim sułtanem”, podkreślając ich osobliwe strony. Sułtan składał mu wizyty wraz z liczną świtą. Ludzie z orszaku władcy niszczyli trawnik przed domem (pod tropikami nie łatwo utrzymać coś w rodzaju trawnika), a ostatnim razem połamali kilka rzadkich krzewów, które Van Wyk tam posadził. A kapitan Whalley przypomniał sobie natychmiast, że w roku czterdziestym siódmym ówczesny sułtan, „dziadek obecnego”, znany był jako gorliwy opiekun korsarskich flot lub pojedynczych prau z dalszego Wschodu; wszystkie miały bezpieczne schronienie na rzece pod Batu Beru. Sułtan popierał finansowo najwydatniej wodza plemienia Balinini imieniem hadzi Daman. Kapitan Whalley poruszył znacząco krzaczastymi białymi brwiami i powiedział, że miał sposobność odczuć to na własnej skórze. Świat zrobił postępy od tamtych czasów.

Van Wyk zaprzeczył z niespodzianą cierpkością.

Świat zrobił postępy? Ale w czym? Van Wyk chciałby to wiedzieć.

No przecież w poznaniu prawdy, w moralności, w sprawiedliwości, w porządku — a także i w uczciwości, bo jeśli ludzie szkodzą sobie nawzajem, to raczej przez nieświadomość. W końcu kapitan wypowiedział dziwaczną konkluzję, że przyjemniej teraz żyć na świecie.

Van Wyk oświadczył na to przekornie, że nie uważa, aby na przykład Massy miał charakter miłszy niż piraci z plemienia Balinini. Rzeka zyskała niewiele na zamianie. Piraci na swój sposób nie ustępowali w uczciwości Massy’emu. On jest na pewno mniej okrutny niż hadzi Daman, ale...

— No a pan, kochany panie? — zaśmiał się kapitan Whalley głębokim, cichym śmiechem. — Przecież obecność pana tutaj jest niewątpliwym postępem — ciągnął żartobliwie. Milej człowiekowi wypalić dobre cygaro niż dostać po łbie, a nic innego nie byłoby spotkało Whalleya, gdyby się tu zjawił na rzece przed czterdziestu lub pięćdziesięciu laty. Kapitan pochylił się trochę naprzód i spoważniał. Mówił dalej, że owi piraci, rzekłbyś, nienawidzili całej ludzkości — oprócz siebie i pokrewnych sobie plemion morskich cyganów — niepojętą, krwiożerczą nienawiścią. Rabunki ich zostały ukrócone i co z tego wynikło? Nowe pokolenie, nastrojone pokojowo i osiadłe w kwitnących wsiach, żyje w zgodzie z prawem. Kapitan mówi to z własnego doświadczenia. A nawet nieliczni przedstawiciele dawnych czasów, obecnie już ludzie starzy, zupełnie się zmienili i nie byłoby ładnie pamiętać, że kiedyś podrzynali gardła. Kapitan Whalley ma na myśli szczególnie jednego z nich; jest to majestatyczny, czcigodny naczelnik pewnej wielkiej nadbrzeżnej wsi, położonej jakie sześćdziesiąt mil na południe od Tampasaku. Widok owego naczelnika i jego słowa po prostu głaszczą człowieka po sercu. A swego czasu był może okrutnym dzikusiem. Ludzie potrzebują, aby ich trzymać w ryzach przewagą wyższej inteligencji, wyższej wiedzy, a także i wyższej siły — tak, siły danej od Boga i uświęconej przez posługiwanie się nią zgodnie z objawioną Jego wolą. Kapitan Whalley wierzył, że skłonność do dobrego istnieje w każdym człowieku, nawet choćby świat nie był na ogół przybytkiem szczęścia. Co się zaś tyczy ludzkiej mądrości, Whalley mniejsze miał do niej zaufanie.

Przyznawał, że skłonność do dobrego trzeba czasem podtrzymywać w ludziach bardzo energicznie. Ludzie są głupi, uparci, nieszczęśliwi, ale nie są z natury źli. W gruncie rzeczy są nieszkodliwi.

— Tak pan sądzi? — podchwycił cierpko Van Wyk.

Kapitan Whalley roześmiał się na to z humorem, jaki daje wyrozumiałość i przeświadczenie o własnej słuszności. Podkreślił, że spogląda wstecz na pół stulecia. Dym cygara sączył się spokojnie przez biały zarost osłaniający jego dobroduszne usta.

— Bądź co bądź — podjął po chwili — cieszę się, że ludzie nie mieli jeszcze czasu wyrządzić panu wiele złego.

Ta aluzja do względnej młodości Van Wyka nie obraziła go; wstał i wzruszył ramionami z zagadkowym półuśmiechem. Złączeni przyjaznym porozumieniem, wyszli razem w gwiazdzistą noc, zmierzając ku rzece. Kroki ich rozlegały się nierówno po ciemnej ścieżce. Przy końcu schodni, u brzegu, latarnia uczepiona nisko poręczy oświetlała jasno białe nogi i wielkie czarne stopy Massy’ego, który czekał miotany niepokojem. Od pa-

sa w górę tkwił w ciemności, tylko rząd guzików połyskiwał aż do niewyraźnego zarysu podbródka.

— Może pan kapitanowi Whalleyowi podziękować — rzekł sucho Van Wyk i ruszył z powrotem ku willi.

Lampy na werandzie rzuciły poprzez słupy trzy długie czworokątne światła daleko na trawę. Nietoperz pomykał przed twarzą Van Wyka jak kołujący płatek aksamitnej czerni. Wzdłuż jaśminowego szpaleru nocne powietrze było aż ciężkie od opadającej wonnej rosy; kwietne rabaty biegły brzegiem ścieżki, strzyżone krzewy występowały tu i ówdzie przed domem ciemnymi, zaokrąglonymi masywami; przez zwarte listowie pnączy, wzdłuż frontu, sączyło się światło lamp łagodnym blaskiem, a blisko i daleko wszystko trwało w bezruchu, w wielkiej słodyczy.

Van Wyk, który przed kilku laty został skrzywdzony przez kobietę (w jego pojęciu nikt nigdy tak wielkiej krzywdy nie doznał), czuł dla optymizmu kapitana Whalleya lekceważenie człowieka, co dawniej sam był łatwowierny. Jego wstręt do świata (przez pewien czas owa kobieta wypełniała mu świat całkowicie) przybrał formę pracy w odosobnieniu, bo mimo zdolności do wielkiej głębi uczuć Van Wyk miał wiele energii i odznaczał się praktycznością. Ale w tym niezwykłym starym marynarzu, który otarł się o pracowitą samotność Van Wyka, było coś, co przykuło sceptyczną uwagę Holendra. Nawet prostota Whalleya (dość zabawna) była jakby delikatnym wyrafinowaniem prawego charakteru. Uderzająca godność obejścia mogła być tylko wyrazem czegoś zasadniczo szlachetnego w człowieku zdegradowanym przez życie do tak skromnego stanowiska. Przy całej swej wierze w ludzkość nie był głupi; pogoda, której nie stracił po tak wielu przeżytych latach i która najoczywściej nie wypływała z powodzenia, robiła wrażenie głębokiej mądrości. Van Wyk bawił się nią czasami.

Nawet rysy fizyczne starego kapitana „Sofali”, potężna budowa, spokojny wyraz twarzy, inteligentna, piękna twarz, wielkie ręce i nogi, dobroduszna uprzejmość, odcień szorstkiej surowości w krzaczastych brwiach składały się na osobistość pełną uroku. Van Wyk nie znosił małostkowości wszelakiego gatunku, a w tym człowieku nie było jej ani śladu; w ciągu wielu podróży „Sofali” — wzorowo punktualnych — nawiązała się między nimi zażyłość, uczucie prawdziwie ciepłe, ukryte pod uprzejmymi, pełnymi godności formami, które odpowiadały wykwiutnym upodobaniom Van Wyka.

Zachowali obaj swoje odrębne zapatrywania na sprawy tego świata. Poza tym kapitan Whalley nie wtrącał się nigdy do poglądów Van Wyka. Różnica wieku była jakby jeszcze jednym łączącym ich węzłem. Raz, kiedy Whalley pomawiał Van Wyka o niewyrozumiałość właściwą młodemu wiekowi, Holender ogarnął wzrokiem potężne wymiary kapitana i odciął się przyjazną drwiną:

— Oho, jeszcze pan zmieni zdanie. Ma pan mnóstwo czasu. Proszę nie mówić o swojej starości: pan wygląda, jakby pan miał żyć okrągłych sto lat.

Ale nie umiał pohamować swej ostrej ciętości i dodał, łagodząc ją uśmiechem niemal serdecznym:

— A wówczas zapragnie pan śmierci po prostu ze wstrętu.

Kapitan Whalley uśmiechnął się również i potrząsnął głową:

— Niechże Bóg bronii!

Przyszło mu na myśl, że zasługuje może na coś lepszego niż na śmierć wśród uczuć tego rodzaju. Oczywiście śmierć nadejść musi, lecz wierzył, że Stwórca pozwoli mu umrzeć w sposób, którego Whalley nie będzie potrzebował się wstydić. Zresztą miał nadzieję, że dożyje i stu lat, jeśli zajdzie potrzeba; inni także stu lat dożywali, nie byłby to cud. Whalley cudów się nie spodziewał.

Stanowczy, przekonywający ton jego głosu sprawił, że Van Wyk podniósł głowę i spojrzał przeciągle na kapitana. Whalley patrzył przed siebie z wyrazem uniesienia, jakby widział pomyślny wyrok swego Stwórcy wypisany na ścianie tajemniczymi głoskami. Przez parę sekund siedział zupełnie bez ruchu, a potem tak gwałtownie dźwignął na nogi potężne swe ciało, że Van Wyk drgnął, zaskoczony.

Whalley uderzył się mocno w wyprężoną pierś i wyciągnął poziomo wielkie ramię, które sterczało nieruchomo jak konar drzewa w bezwietrzny dzień.

— Ani śladu choroby czy bólu. Widzi pan, moja ręka wcale nie drży!

Miłość niespełniona



Jego cichy, ufny głos był w zdumiewającym kontraście z wyrazistą gwałtownością ruchów. Nagle Whalley siadł z powrotem.

— Nie mówię tego dla przechwałki. Jestem niczym — rzekł swym potężnym głosem, który płynął bez wysiłku, naturalnie, jak płynie rzeka. Podjął niedopałek cygara, które odłożył, i dodał spokojnie, kiwnąwszy z lekka głową: — Tak się złożyło, że moje życie jest potrzebne; nie należy do mnie — o nie — i Bóg wie o tym.

Odzywał się już rzadko przez resztę wieczoru, lecz kilka razy Van Wyk dostrzegł nieznaczny, pewny siebie uśmiech przewijający się pod gęstym wąsem.

Przy dalszych spotkaniach kapitan Whalley przyjmował niekiedy zaproszenie na obiad „w willi”. Czasem nawet dawał się namówić na wypicie kieliszka wina.

— Kochany panie, niech pan nie myśli, że się wina boję — tłumaczył. — Przestałem je pić z pewnej ważnej przyczyny.

Przy innej sposobności zauważył, rozparłszy się wygodnie w fotelu:

— Pan zawsze odnosił się do mnie bardzo... bardzo po ludzku, drogi panie, i to od pierwszej chwili.

— Przyzna pan chyba, że mam w tym pewną zasługę — podsunął chytrze Van Wyk. — Wspólnik tego zacnego Massy’ego... No, no, drogi kapitanie, ani słowa już o nim nie powiem.

— To by się na nic nie przydało — stwierdził Whalley nieco markotnie. — Mówiłem już panu, że moje życie — moja praca — jest nie tylko dla mnie potrzebna. Nic innego mi nie pozostaje. — Urwał, obracając w dłoni kieliszek. — Mam jedyne dziecko — córkę.

Szeroki gest jego ręki, która opadła na stół, zdawał się odnosić do małej dziewczynki przebywającej gdzieś bardzo daleko.

— Ufam, że zobaczę ją jeszcze przed śmiercią. A tymczasem wystarcza mi świadomość, że ona mnie ma, zdrowego i całego — Bogu dzięki. Pan nie może zrozumieć, jakie to uczucie. Krew z mojej krwi, kość z mojej kości; istny obraz mojej nieboszczki żony. Otóż ona...

Umilkł znów i wyrzekł ze stoicyzmem:

— Ona walczy ciężko o byt.

Głowa opadła mu na piersi; trwał tak ze zmarszczoną brwią, jakby rozmyślając nad czymś z wysiłkiem. Lecz zwykle jego dusza promieniowała pogodą i wiarą bez granic w nadziemską potęgę. Van Wyk zadawał sobie czasem pytanie, ile z tej wiary Whalley zawdzięcza wspaniałej swej żywotności, sile ciała, która zdawała się i duszy udzielać. Polubił bardzo kapitana Whalleya.

### XIII

Z tej właśnie przyczyny poufna wiadomość, której Sterne udzielił Van Wykowi na brzegu, pod burtą ciemnego, cichego statku, zakłóciła spokój Holendra. Wiadomość ta była czymś tak niezrozumiałym, nieoczekiwanym i do tego stopnia wytrąciła z równowagi Van Wyka, że zapomniał zupełnie o swoich listach i wbiegł szybko po drabinie na statek.

Dwóch „boyów” z warkoczami ustawiało do obiadu przenośny stół na lewo od koła sterowego; jak zwykle walczyli na siebie przy tej robocie, a tymczasem trzeci Chińczyk, przypominający Massy’ego, smętny, tęgi i bardzo żółty, czekał apatycznie z serwetą pod pachą, trzymając przy piersiach stos grubych talerzy. Zwykła kajutowa lampa — ale bez klosza — przyniesiona z dołu, wisiała u drewnianej podpory podtrzymującej płócienny dach, a wszystkie boczne zasłony były spuszczone. Kapitan Whalley wypełniał swoją osobą głęboki fotel koszykowy; odnosiło się wrażenie, że siedzi otępiały w płóciennym, jaskrawo oświetlonym namiocie przeznaczonym na skład sprzętów okrętowych; było tam odrapane koło od steru, powyginany mosiężny kompas na ciężkiej mahoniowej podstawie, dwa brudne pasy ratunkowe, stary korkowy odbijacz leżący w kącie, roztrzęsione skrzynie pokładowe zaopatrzone w pętle z drutu zamiast rękojeści.

Kapitan otrząsnął się z pozornego odrętwienia, aby odwzajemnić niezwykle żywe powitanie Van Wyka, lecz zapadł znowu w apatię. Musiał ponownie zdobyć się na wysiłek — i to bardzo wyraźny — aby przyjąć serdeczne zaproszenie na obiad „w willi”. Zaniepokojony Van Wyk splótł ramiona na piersiach, oparł się plecami o poręcz i wysunąwszy drobne stopy w czarnych, lśniących trzewikach, przypatrywał się kapitanowi spod oka.

— Zauważyłem w ostatnich czasach, że pan jest jakiś nieswój, drogi mój przyjacielu. Nadał ostatnim słowom dźwięk serdecznej łagodności. Nigdy jeszcze istotna bliskość ich stosunku nie została zaznaczona tak wyraźnie.

— Ale cóż znowu!

Pleciony fotel skrzyknął głośno.

— Jest zdenerwowany — pomyślał Van Wyk i rzekł niedbale, odchodząc: — Więc będę pana oczekiwał za pół godziny.

— Za pół godziny — powtórzył za jego plecami Whalley jakby na wpół przytomnie; jego srebrzysta głowa ani drgnęła.

Poniżej na śródokręciu dwa głosy rozmawiały z sobą tuż przy maszynowni, jeden gniewny i powolny, drugi żwawy:

— Mówię panu, że to bydlę zamknęło się w kajucie, aby się spać.

— Nic się na to nie poradzi, panie szefie. Właściwie to człowiek ma pełne prawo zamknąć się u siebie w czasie wolnym od pracy.

— Ale nie po to, żeby się spać.

— Słyszałem, jak mówił, że ma okropne trudności z kotłami i że na jego miejscu każdy by szukał ucieczki w trunkach — rzekł Sterne złośliwie.

W odpowiedzi Massy wysyczał, iż weźmie i rozwali drzwi do kajuty drugiego mechanika. Van Wyk, chcąc ich wyminąć, przeszedł w ciemności na drugą stronę opustoszałego pokładu. Potem deski małego mola zaskrzypiały słabo pod jego spiesznymi krokami.

— Proszę pana! Proszę pana!

Van Wyk szedł dalej; ktoś biegł za nim ścieżką.

— Pan zapomniał wziąć swoją pocztę.

Sterne dopędził go z plikiem papierów w ręku.

— Ach prawda, dziękuję.

Ale gdy Sterne szedł wciąż u jego boku, Van Wyk przystanął. Zwisający okap opadał nisko na oświetlony front willi i rzucał czarny, wyraźnie zarysowany cień w głąb nocy. Wielka cisza panowała naokół. Słychać było pobrzękiwanie noży i lekki dźwięk szkła. Służba Van Wyka krzątała się po werandzie, nakrywając do stołu na dwie osoby.

— Zdaje się, że pan nie ufa wcale moim dobrym intencjom co do sprawy, o której panu mówiłem — rzekł Sterne.

— Ja po prostu nie mogę pojąć, o co panu chodzi.

— Kapitan Whalley jest człowiekiem bardzo śmiałym, ale musi zrozumieć, że przegrał sprawę. Z nikim więcej o tym mówić nie będę. Niech mi pan wierzy, że postępuję z wielką względnością<sup>44</sup>, lecz obowiązek jest obowiązkiem. Nie chcę robić z tego awantury. Ja tylko pana proszę jako jego przyjaciela: niech mu pan powie ode mnie, że musi dać za wygraną. To wystarczy.

Van Wyk poczuł lęk przed tym dziwnym i odrażającym przywilejem przyjaźni. Nie chciał się poniżyć żądaniem choćby najmniejszych wyjaśnień, a jednocześnie nie uważał za bezpieczne pozbyć się oficera w sposób obelżywy — na to zawsze jeszcze będzie czas. Pewność siebie tego Sterne'a była zdumiewająca. „Któż może powiedzieć, co się pod tym kryje?” pomyślał Holender. Czuł dla Whalleya szacunek — trwały jak wszystkie uczucia bezinteresowne — i nie zdradził się z pogardą, ulegając swemu zmysłowi praktycznemu.

— Domyślam się, że chodzi o jakąś ważną sprawę.

— Bardzo ważną — potwierdził uroczyście Sterne, zachwycony tym, że wywarł w końcu należyte wrażenie. Chciał jeszcze dodać z wylaniem<sup>45</sup>, jak bardzo nad tym boleje, iż „nieubłagana konieczność” itd., ale Van Wyk przerwał rozmowę, zresztą bardzo uprzejmie.

Znalazłszy się na werandzie, włożył ręce do kieszeni i rozstawił nogi szeroko, przyglądając się skórze czarnej pantery leżącej na podłodze przed fotelem.

„Coś mi się zdaje, że ten drab nie ma odwagi zagrać w otwarte karty” — pomyślał.

Była to prawda, Sterne, po ostatnim zwymyślaniu go przez mechanika, nie śmiał wyjawić swego odkrycia. Dążył po prostu do tego, żeby dostać komendę parowca i jakiś czas

<sup>44</sup>postępuję z wielką względnością — postępuję bardzo ostrożnie. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>z wylaniem — dziś popr.: wylewnie. [przypis edytorski]

ją zatrzymać. Massy nie przebaczyłyby mu nigdy, gdyby się Sterne narzucił, ale jeśli kapitan Whalley opuści statek z własnej woli, dowództwo siłą rzeczy przypadnie oficerowi na resztę podróży; dlatego to właśnie Sterne powziął świetną myśl, aby kapitana zastraszyć. Niejasna pogroźka lub zwykle napomknienie wystarczy, aby położyć kres jego bezczelności; z dziwną domieszką współczucia Sterne pomyślał, że wygodniej będzie Whalleyowi ponieść porażkę w Batu Beru. Kapitan wysiadł spokojnie na brzeg i zostanie z tym swoim Holendrem. Czyż się nie zwąchali od razu? I po zastanowieniu błysnęło Sterne'owi, że można by całą rzecz przeprowadzić za pośrednictwem tego przyjaciela Whalleya. To był drugi genialny pomysł. Sterne miał wrodzone zamiłowanie do metod okrężnych. W tym właśnie wypadku pragnął pozostać w cieniu, o ile się tylko da, by niepotrzebnie Massy'ego nie drażnić. Tylko żadnych awantur! Niech wszystko stanie się jakby samo przez się.

Van Wyk w ciągu całego obiadu miał poczucie osamotnienia, które nawiedza nas czasem podczas obcowania z bliskimi. Przykro było patrzeć, jak kapitan Whalley nie mógł nic przełknąć mimo wysiłków. Owładnęło nim dziwne roztargnienie. Ręka jego błądziła niepewnie pod stołem; zdawało się, że mózg, głęboko czymś zaprzątnięty, zostawił ją bez kierownictwa. Wśród wielkiej ciszy panującej na wybrzeżu Van Wyk słyszał z bardzo daleka idącego pod górę kapitana i zauważył chwiejność jego chodu. Doszedłszy do werandy Whalley uderzył czubkiem trzewika o najniższy stopień, jakby szedł głęboko zamysłony z podniesioną głową. Gdyby kapitan „Sofali” był innego rodzaju człowiekiem, Van Wyk mógłby sądzić, że wchodzi tu w grę starość Whalleya. Ale wystarczyło rzucić na niego wzrokiem. Czas istotnie naznaczył go swoim piętnem, lecz pozostawił mu całą jego sprawność, a prosta wiara Whalleya dopatrywała się w tym łaski zesłanej od Boga.

„Jakże ja zdołam go ostrzec? — zapytywał siebie Van Wyk, jakby kapitan Whalley znajdował się gdzieś daleko i był dla wszelkiego zła niedostępny. Na myśl o Sterne'ie wstręt ogarniał Van Wyka. Wspomnieć o pogroźkach Sterne'a człowiekowi takiemu jak Whalley byłoby wręcz nieprzyzwoicie. W tego rodzaju napomknieniach jest coś bardziej niecnego i obelżywego niż w wyraźnym zarzucie zbrodni, jest coś, co ma poniżające znamię szantażu.

— To człowiek czysty. Co mógłby mu kto zarzucić? I w jakim celu? — rozmyślał Van Wyk. Potęga, której Whalley zaufał, uznała za stosowne odebrać mu wszystko, czego by zawiść mogła się imać<sup>46</sup>, nie zostawiając kapitanowi nic poza suchym kawałkiem chleba.

— Może pan tego pozwoli — rzekł Van Wyk przysuwając Whalleyowi półmisek. Nagle przyszło mu do głowy, że kto wie, czy Sterne nie ostrzy sobie zębów na dowództwo „Sofali”. Van Wyka zaskoczyła ta myśl, mimo jego mizantropii<sup>47</sup>; zdawało się stąd wynikać, że nikt nie może się uznać za bezpiecznego wśród bliźnich, chyba jeśli znajdzie się na samym dnie nędzy. Van Wyk sądził, iż nie trzeba się właściwie przejmować intrygą tego rodzaju, ale ponieważ wchodził tu w grę człowiek tak niepomiernie głupi jak Massy, należało koniecznie przestrzec Whalleya.

W tej samej chwili kapitan Whalley, który siedział prosty jak struna, z głębokimi oczodołami zasłoniętymi przez krzaczaste brwi i dużymi, brunatnymi rękoma po obu stronach pustego talerza, rzekł nagle przez stół do Van Wyka:

— Proszę pana, pan odnosił się do mnie zawsze z serdeczną życzliwością i uznaniem.

— Drogi kapitanie, pan przywiązuje zbyt wiele wagi do tego, że po prostu nie jestem dzikusiem. — Van Wyk, wzburzony myślą o zdradzieckim posunięciu Sterne'a, ciągnął dalej głośno i dobitnie, jakby oficer „Sofali” ukrywał się gdzieś w pobliżu: — Uznaniem, jakie miałem sposobność panu okazać, należy się święcie charakterowi, który nauczyłem się cenić; mego szacunku dla pana nic naruszyć nie może.

Usłyszawszy lekki dźwięk szkła, Van Wyk oderwał oczy od kawałka ananasa, który krajał na talerzu w drobną kostkę. Kapitan Whalley poprawiając się na krześle przewrócił pustą szklankę.

Nie spojrzął w jej stronę; siedział bokiem i osłaniał dłonią czoło wspierając się na łokciu; drugą ręką szukał niepewnym ruchem przewróconej szklanki, lecz wkrótce tego zaniechał. Van Wyk otworzył szeroko oczy, jakby nagle wydarzyło się coś bardzo ważnego.

<sup>46</sup> *imać* (daw.) — chwytać. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> *mizantropia* (z gr.) — niechęć do ludzi. [przypis edytorski]

Nie wiedział, dlaczego czuł się taki wstrząśnięty, ale przez chwilę zapomniał zupełnie o Sternie.

— Co? Co się stało?

A kapitan Whalley, na wpół odwrócony, wyszeptał głucho z niepokojem:

— Szacunek!

— I jeszcze coś więcej niż szacunek — wyrzekł z wolna Van Wyk, nie odwracając wzroku od kapitana.

— Dość! Niech pan zamilknie! — rzekł Whalley nie zmieniając pozy i nie podnosząc głosu. — Ani słowa więcej! — Ja się panu odwdziżyć nie mogę. Nawet na to jestem teraz za biedny. A szacunek pana to coś bardzo cennego. Pan by się nie poniżył do oszukiwania najędzniejszego z biedaków, pan by nie narażał na niebezpieczeństwo statku przy każdym jego wyjściu na morze.

Van Wyk, pochylony naprzód z twarzą oblaną pąsem, z nakrochmaloną serwetą na kolanach, nie dowierzał uszom, świadectwu zmysłów, władzom umysłowym gościa.

— Jak to? Dlaczego? Na miłość boską, co to ma znaczyć? Jaki statek? Nie rozumiem, o kim...

— Więc świadczę się Bogiem, że mówię o sobie: statek jest w niebezpieczeństwie, gdy jego kapitan niedowidzi. Ja tracę wzrok.

Van Wyk drgnął lekko i przez parę sekund siedział bez ruchu; potem wspomniawszy słowa Sterne'a: „Będzie musiał dać za wygraną”, schylił się pod stół, aby podnieść serwetę, która zsunęła mu się z kolan. A więc o to chodziło! W tej samej chwili stłumiony głos kapitana Whalleya rozległ się nad nim:

— Oszukałem ich wszystkich. Nikt nie wie o niczym.

Van Wyk podniósł się z rozognioną twarzą. Kapitan Whalley, nieruchomy pod pełnym blaskiem lampy, ciągle osłaniał twarz ręką.

— Pan zdobył się na tę odwagę?

— Niech pan to nazwie, jak pan chce. Ale pan jest człowiekiem ludzkim, pan jest... dżentelmenem, panie Van Wyk. Mógłby się pan spytać, co się stało z moim sumieniem.

Zdawał się rozmyślać, pogrążony w milczącym, pośpym bezruchu.

— Uniesiony pychą, wdąłem się w machinacje z sumieniem. Kiedy człowiek traci wzrok, zaczyna dostrzegać wiele rzeczy. Nie umiałem być szczery nawet z dawnym swoim kolegą. I z Massym nie byłem szczery — byłem niezupełnie z nim szczery. Wiedziałem, że mnie bierze za pomyłonego marynarza, bogacza, i nie wyprowadziłem go z błędu. Chciałem podnieść swoje znaczenie — bo chodziło o moją biedną Ivy — moją córkę. Dlaczego spekulowałem na jego nieszczęściu? Spekulowałem na jego nieszczęściu przez wzgląd na swoją córkę. A teraz jakiej litości mógłbym się po nim spodziewać? Spekulowałby na mojej niedoli, gdyby o niej wiedział. Znając sprawki starego oszusta, nie wypuściłby pieniędzy przed upływem roku. Pieniądzy należących do Ivy. A ja ani pensa dla siebie nie zachowałem. Z czego bym żył przez rok? Przez cały rok! Za rok nie będzie już słońca na niebie dla ojca mojej Ivy.

Głęboki jego głos wydawał się straszliwie stłumiony, jakby zwały osuwającej się ziemi przygniotły Whalleya i jakby wypowiedział myśli nawiedzające w grobach umarłych. Zimny dreszcz przebiegł Van Wyka.

— A jak dawno pan już...? — zapytał.

— Minęło dużo czasu, nim zdołałem uwierzyć w ten... ten dopust.

Kapitan Whalley mówił ponuro i cierpliwie spod zakrywającej twarz dłoni. Uważał, że nie zasługuje na to nieszczęście. Z początku łudził się z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Miał przy sobie seranga — starego sługę. Przychodziło to stopniowo, a kiedy już nie mógł się łudzić...

Głos jego zamarł prawie zupełnie.

— Zamiast poświęcić córkę, zacząłem wszystkich was oszukiwać.

— To niewiarygodne — szepnął Van Wyk.

Okropny szepł Whalleya płynął dalej:

— Nawet znak bożego gniewu nie zdołał mnie zmusić do zapomnienia o Ivy. Jakże ją mogłem opuścić, kiedy czułem wciąż swoją żywotność — czułem gorącą krew w żyłach. Nie mniej gorącą niż u pana. Zdaje mi się, że — jak oślepiiony Samson — znalazłbym dość siły, aby zwalić na siebie świątynię. Ivy walczy ciężko o byt — to moje dziecko, nad

Sumienie

którym często modliliśmy się razem, moja nieboszczka żona i ja. Pamięta pan tamten dzień, kiedy mówiłem do pana mniej więcej w te słowa: wierzę, że Bóg pozwoli mi dożyć stu lat — ze względu na nią... Czy to jest grzech, jeśli się kocha swoje dziecko? Czy pan widzi w tym grzech? Dla niej byłem gotów żyć wiecznie. I wierzyłem prawie, że tak będzie. A teraz modlę się o śmierć. Ach, ty zarozumiałaś człowieku! Chciałaś żyć...

Potężne, gwałtowne targnięcie wielkiego ciała wstrząśniętego przez głośny szloch sprawiło, że wszystkie kieliszki i szklanki rozdzwięczyły się na stole, a cały dom, rzekłbyś, zadrżał aż po sam dach. Van Wyk znalazł ujście dla swej zawiedzionej miłości w walce z przyrodą i stąd rozumiał bardzo dobrze, że ten człowiek, którego całe życie było nieustannym działaniem, potrafi tylko czynem okazywać swoje uczucia; że gdyby Whalley przestał narażać się dobrowolnie, pracować, cierpieć dla swego dziecka, byłoby to dosłownie wydarcie z jego serca gorącej miłości do córki — potworność nie do pomyślenia.

Kapitan Whalley trwał w tej samej pozycji, która zdawała się wyrażać wstyd, żal i jakby wyzwanie.

— Oszukiwałem nawet pana. Gdyby pan nie wymówił słowa: szacunek... To słowo nie jest dla mnie stosowne. Byłbym kłamał dalej i przed panem. Przecież już przed panem kłamałem. Czyż pan nie miał powierzyć statkowi swojego towaru — właśnie w czasie tej podróży?

— Jestem stale ubezpieczony — rzekł Van Wyk prawie bezwiednie i zdumiał się tym nagłym wtargnięciem handlowego szczegółu.

— Mówię panu, że statek nie jest pewny pod moim dowództwem. Ubezpieczenie nie byłoby ważne, gdyby się o tym dowiedziano...

— Wina spadłaby wówczas na nas obu.

— Nic mojej winy zmniejszyć nie może — rzekł kapitan Whalley.

Nie śmiał pójść do doktora, który byłby go może zapytał, kim jest, czym się zajmuje, i mogłoby coś dojść do Massy'ego. Żył pozbawiony wszelkiej pomocy — i ludzkiej, i boskiej. Nawet modlitwy po prostu więzły mu w gardle. O co miał się modlić? A śmierć wydawała mu się dalsza niż kiedykolwiek. Kiedy wrócił do swej kajuty, nie śmiał z niej wyjść; kiedy zasiadł w fotelu, nie śmiał wstać; nie śmiał podnieść oczu na czyjąkolwiek twarz, nie chciało mu się spojrzeć ani na morze, ani na niebo. Wielka trwoga, aby się nie zdradzić, zasłaniała mu cały świat. Stary parowiec był jego ostatnim przyjacielem; tylko jego Whalley się nie bał, znał każdy cal pokładu; ale i na statek ledwie śmiał spojrzeć, gdyż bał się przekonać, że widzi mniej niż dnia poprzedniego. Otaczała go zewsząd niepewność. Widnokrąg znikł; niebo zlewało się tajemniczo z morzem. Kto to jest ta postać, która tam stoi? Co leży tu na pomoście? I straszna wątpliwość, czy to, co dostrzega, zgadza się z prawdą, czyniła nawet z reszty pozostałego mu wzroku narzędzie tortur, pułapkę czyhającą zawsze na jego nędzną symulację. Drżał, że się o coś fatalnie potknie, że błędnie użyte „tak” lub „nie” spowodzi fatalne skutki. Ręka Boga zaciążyła nad nim, ale nie mogła go oderwać od dziecka. I jak gdyby w koszmarze, będącym szeregiem ciągłych poniżeń, każdy człowiek pozbawiony rysów wydawał mu się wrogiem.

Dłoń Whalleya osunęła się ciężko na stół. Van Wyk siedział, zwiesiwszy ręce, z głową pochyloną na piersi i przygryzał dolną wargę białymi błyszczącymi zębami; rozmyślał nad tym, co mówił Sterne: „On musi dać za wygraną”.

— *Serang* czywiście nic nie wie?

— Nikt nic nie wie — rzekł z przekonaniem kapitan Whalley.

— Ach tak. Nikt nie wie. To doskonale. Czy pan potrafi utrzymać ten stan rzeczy do końca podróży? To już ostatnia podróż objęta umową z Massym.

Kapitan Whalley dźwignął się i stał, wyprostowany, wspaniały, z wielką białą brodą zakrywającą jak srebrny pancerz straszliwą tajemnicę jego serca. Tak; właśnie w tym pokładał jedyną nadzieję, jaka mu pozostała, nadzieję, że zobaczy córkę, że wycofa pieniądze; była to ostatnia rzecz, którą mógł dla niej zrobić; potem zaszyje się w pierwszą lepszą dziurę jako bezużyteczny ciężar, jako wyrzut dla samego siebie. Głos mu zadrżał:

— Niech pan tylko pomyśli! Nigdy już jej nie ujrzeć: tej jedynej poza mną istoty, która pamięta moją żonę. Ivy to żywy jej portret. Całe szczęście, że matka Ivy jest tam, gdzie się już nie wylewa łez nad tymi, których się kochało i którzy powinni się modlić, aby nie byli wodzeni na pokuszenie — bo chyba błogosławieni znają tajemnicę łaski, tajemnicę stosunku Boga do Jego stworzeń — Jego dzieci.

Zachwiał się z lekka i rzekł z surową godnością:

— Ja tej tajemnicy nie znam. Wiem tylko, że Bóg dał mi dziecko.

Ruszył z miejsca. Van Wyk, zerwawszy się, zrozumiał w pełni, co znaczyły wahające się kroki Whalleya, niepewnie wyciągnięta ręka, sztywność, z jaką trzymał głowę. Serce Van Wyka biło szybko; odsunął na bok krzesło i mimo woli postąpił naprzód, jakby chcąc Whalleyowi podać rękę. Ale kapitan minął go kierując się prosto ku schodom.

— Nie dostrzegł mnie, bo widzi tylko to, co jest na wprost niego — pomyślał Van Wyk z pewnego rodzaju zgrozą. Podszedł do brzegu werandy i spytał trochę nieśmiało:

— Jakie to jest... jak mgła, jak...

Kapitan Whalley przystanął w połowie schodów i odwrócił się nieulekły, aby odpowiedzieć:

— To jest tak, jakby światło odpływało ze świata. Czy pan kiedy śledził na otwartej piaszczystej plaży, jak morze cofa się coraz dalej i dalej? To jest zupełnie to samo — tylko że przyływ już nie nastąpi. Nigdy. To jest tak, jakby się słońce zmniejszało, jakby gwiazdy gasły jedna za drugą. Teraz pewno niewiele zostało gwiazd, które bym mógł dostrzec. Ale już od jakiegoś czasu nie miałem odwagi spojrzeć...

Widać dostrzegł jednak Van Wyka, bo zatrzymał go nakazującym ruchem ręki i rzekł ze stoicyzmem:

— Ja mogę jeszcze chodzić bez pomocy.

Zdawało się, że Whalley wytknął<sup>48</sup> już sobie drogę; wygnany ze swego rajy na kształt zarozumiałego tytana, nie chciał szukać żadnego oparcia w ludziach. Van Wyk, stojąc bez ruchu, rzekłbyś, liczył kroki, póki je mógł dosłyszeć. Potem przeszedł wśród stołów, stukając mocno obcasami o podłogę, podniósł nóż do przecinania kartek, spojrzął z roz-targnieniem na jego ostrze i upuścił go; otarłszy się o fortepian, uderzył kilka akordów, stojąc przed klawiaturą z przechyloną uważnie głową jak stroiciel; zamknął fortepian, obrócił się na pięcie, wyminął małego foksteriera śpiącego ufnie z łebkiem na skrzyżo-wanych przednich łapkach, zbliżył się do schodów i jakby straciwszy nagle równowagę na najwyższym stopniu, zbiegł gwałtownie na dół. Służący, którzy zaczęli sprzątać ze stołu, słyszeli, jak coś pomrukiwało (na pewno jakieś złe słowa), po chwili zaś ruszył niedbałym krokiem w stronę pomostu.

Nadburcie statku, zwróconego bokiem do wybrzeża, wyglądało jak niski, czarny mur na falistym zarysie brzegu. Dwa maszty i komin sterczały zza tego muru, mocno pochylone, jakby miały upaść; masywne, czworokątne wzniesienie w środku parowca dźwigało widmowe zarysy białych łodzi, wygięcia dźwigów, linie bariery i słupków, mętne i wtopione w ciemność, lecz nisko, w połowie kadłuba, jeden jedyny jasny iluminator wpatrywał się w noc, doskonale okrągły jak mały księżyc w pełni; żółty jego promień oświetlał płat mokrego błota, skraj podeptanej trawy i potężną linę, okręconą podwójnie u ziemi naokoło grubego drewnianego słupa wbitego w grunt.

Van Wyk, patrząc uważnie wzdłuż brzegu, usłyszał głupkowaty, chępliwy głos, szyszający z jakiegoś osobnika nazwiskiem Prendergast. Głos wykrzykiwał niewyraźne obelgi, zakrzuszył się, potem wymówił bardzo wyraźnie słowo „Murphy” i zaczął chichotać. Rozległ się drżący dźwięk szkła. Wszystkie te odgłosy płynęły z oświetlonego iluminatora. Van Wyk zawahał się, nachylił, ale niepodobna<sup>49</sup> było zajrzeć przez iluminator, chyba gdyby się weszło w błoto.

— Panie Sterne — rzekł Van Wyk półgłosem.

Pijany głos w kajucie wykrzyknął wesoło:

— Sterne — naturalnie. Patrzcie, jak on mruga. Popatrzcie na niego! Sterne, Whalley, Massy. Massy, Sterne, Whalley. Ale najteższy z nich to Massy. Z nim sobie nikt nie poradzi. On by się przypatrywał z rozkoszą, jak człowiek zdycha z głodu.

Van Wyk poszedł dalej; zobaczył na dziobie cień głowy wysuniętej spod płóciennego dachu — jakby na czatach — i zapytał spokojnie po malajsku:

— Czy pan Sterne śpi?

— Nie. Jestem tutaj, do pana usług.

Po chwili ukazał się Sterne, idący po nabrzeżu bezgłośnie jak kot.

<sup>48</sup>wytknąć — tu: wytyczyć. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

— Wściekle jest ciemno, a mnie wcale nie przyszło do głowy, że pan tu przyjdzie dziś wieczór.

— Któż to tak okropnie bredzi? — zapytał Van Wyk, jakby chcąc wyjaśnić, dlaczego głośno się wzdrygnął.

— Jack strąbił się. To nasz drugi mechanik. Taki już ma zwyczaj. On jutro po południu wytrzeźwieje, ale pan Massy będzie się złościć i chodzić wciąż po pokładzie. Chodźmy stąd lepiej.

Mruknął coś o tym, że można by pójść porozmawiać „w willi”; od dawna już pragnął tam się dostać. Ale Van Wyk uchylił ów projekt niedbale; uważał, że byłoby to chyba nieostrożnie. Pochłonął ich matowy czarny mrok pod jednym z dwóch wielkich drzew zostawionych u przystani, mrok nieprzenikniony, zwarty, u brzegu szerokiej rzeki, która jak gdyby przędła migotliwe nitki z blasku kilku wielkich gwiazd, opadłych gdzieś na jej rozległą, płynną ciszę.

— Sytuacja jest bez kwestii poważna — powiedział Van Wyk. W białych ubraniach, podobni do duchów, nie mogli rozpoznać swych twarzy, a stopy ich dotykały bezdźwięcznie miękkiej ziemi. Dało się słyszeć coś w rodzaju kociego mruczenia; Sterne był bardzo zadowolony ze wstępnych słów Van Wyka.

— Pomyślałem od razu, proszę pana, że kto jak kto, ale pan zrozumie, w jak przykrym jestem położeniu.

— Tak, bardzo przykrym. Kapitan najwidoczniej źle się czuje. Może to początek końca. Ja widzę — i on sam zdaje sobie sprawę (wiem, że mówię do człowieka rozumnego), tak jest, on zdaje sobie sprawę, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa.

Nogi? hm! — Sterne, zbity z tropu, osowiał: — Może pan twierdzić, że to nogi, jeśli się panu podoba; ale ja osobiście pragnąłbym wiedzieć, czy on zamierza wynieść się po dobroci ze statku. Dobre sobie! nogi! Ha, ha!

— Ależ tak. Niech pan popatrzy, jak on chodzi — podjął Van Wyk tonem chłodnym i pewnym siebie. — To tylko pytanie, czy poczucie obowiązku nie sprzeciwia się prawdziwemu panu interesowi. Ostatecznie ja bym także mógł panu dopomóc. Pan wie, kto ja jestem.

— Każdy w tych okolicach słyszał o szanownym panu.

Van Wyk wyraził przypuszczenie, że te słowa mają sens dodatni. Sterne zaśmiał się po cichu z tego żartu:

— No chyba!

Gdy Van Wyk zaczął od stwierdzenia, że umowa będzie rozwiązana po ukończeniu tej podróży, Sterne przytaknął z uwagą; wiedział o tym. Przecież na statku od rana do wieczora o niczym innym się nie mówi. Co się zaś tyczy Massy'ego, wszyscy wiedzą, że jest w okropnych tarapatkach z powodu tych zużytych kotłów. Przede wszystkim musi wyciągnąć skądś paręset funtów dla spłacenia kapitana, a potem musi obciążyć statek pożyczką dla sprawienia nowych kotłów — o ile znajdzie się taki, co mu zechce pożyczyć. W najlepszym razie wyniknie z tego strata czasu, przerwa w podróżach i zmniejszenie rocznych zarobków — a przecież zawsze grozi niebezpieczeństwo, iż Niemcy zwęddzą Massy'emu klientelę. Chodzą słuchy, że rozmawiał już z dwiema firmami. Ani jedna, ani druga nie chciała mieć z nim do czynienia. Parowiec jest za stary, a człowieka zbyt dobrze znają w mieście... Przy tych słowach Sterne mrugnął znacząco, ale pokrył to głęboki mrok, który rozsyczał się od jego szepców.

— Więc dajmy na to, że pożyczkę dostanie — zaczął z wolna Van Wyk półgłosem — wówczas, sądząc z pana słów, wierzyciel narzuci mu prawdopodobnie swojego człowieka na kapitana. Wiem, że ja bym ten warunek postawił, gdybym miał dać pieniądze. I chcę to zrobić. Opłaciliby mi się to pod wielu względami. Pan rozumie, jaki by to miało wpływ na sprawę, którą omawiamy?

— Bardzo szanownemu panu dziękuję. Jestem pewien, że szanowny pan nie znalazłby nikogo, kto by dbał bardziej o pana interes.

— Więc w interesie moim leży, aby kapitan Whalley pozostał na swym stanowisku aż do czasu przewidzianego kontraktem. Możliwe, że pojedę z wami tym razem. Jeśli mi się to uda, będę tam na miejscu, kiedy nastąpią wszystkie zmiany, i dopilnuję pana interesów.

— Panie szanowny, niczego więcej nie pragnę! Jestem doprawdy nieskończenie...

— Więc liczę na to, że wszystko pójdzie gładko.

— Proszę szanownego pana, bez ryzyka się nie obejdzie i nie ma na to rady; ale (mówię teraz do pana jako do swego szefa) bezpieczeństwo jest większe, niż by można było przypuszczać. Gdyby mi to kto mówił, to bym nie uwierzył, ale sam się temu przypatrywałem. Stary *serang* jest już wytresowany. A z jego... jego... hm, nogami jest wszystko w porządku. Przyzwyczał się postępować samodzielnie w sposób zadziwiający. I pozwolę sobie panu powiedzieć, panie szefie, że kapitan Whalley, nieborak, nie jest wcale bezużyteczny. To szczerza prawda. Zaraz to panu wyjaśnię. On trzyma w garści tę starą małpę malajską, która wcale<sup>50</sup> dobrze orientuje się, co trzeba robić. Przecież *serang* od lat dwudziestu pięciu z przerwami odprawiał kapitańską wachtę na przeróżnych statkach krajowych. Otóż ci krajowcy, panie szefie, póki mają tuż za plecami białego, robią zadziwiająco dobrze to, co im się każe — nawet jeśli się zupełnie do nich nie wtrąca. Tylko że biały człowiek musi mieć w sobie to coś, co potrafi ich trzymać — a kapitan jest do tego jedyny. Słowo daję, panie szefie, wyszkolił *seranga* tak świetnie, że prawie wcale mówić do niego nie potrzebuje. Widziałem, jak ten pomarszczony małpiszon wyprowadził statek z zatoki Pangu wietrznym rankiem, a potem wiódł go między wysepkami; robił to po prostu świetnie, stercząc pod boki kapitana, a przy tym tak spokojnie, że niepodobna było wymiarkować, który z nich dwóch odrabia robotę. Dlatego właśnie nasz biedny kapitan nie przestałby być dla statku pożyteczny, nawet gdyby... gdyby... nie mógł już ruszyć nogą. Chodzi tylko o to, aby *serang* nie wiedział, że coś jest nie w porządku.

— Ale on nie wie.

— Naturalnie, że nie wie. Ani mu to w głowie. Oni nie są w stanie nic o nas wymiarkować, panie szefie.

— Pan wydaje mi się bardzo przemyślny — rzekł Van Wyk zduszonym szeptem, jak gdyby chwycił go mdłości.

— Znajdzie pan we mnie wcale dobrego sługę, panie szefie.

Sterne oczekiwał teraz, że Van Wyk przynajmniej uściśnie mu rękę, gdy nagle rozległy się słowa: „Co to takiego? Lepiej, żeby nie widzieli nas razem” — i biała postać Van Wyka poruszyła się, wsiąkając natychmiast w czarny mrok pod dachem z konarów. Sterne był zaskoczony. Rzeczywiście... Słychać jakiś słaby, głuchy łoskot.

Wysunął się po cichu z ciemności. Oświetlony iluminator jaśniał z daleka. Nagle powodzenie uderzyło Sterne'owi do głowy. Cóż to za przyjemność mieć do czynienia z dżentelmenem! Wśliznął się na statek; było coś niesamowitego w ciemnej, pustej przestrzeni pokładu, który rozbrzmiewał krzykami i uderzeniami dochodzącymi z głębszego mroku na śródkręciu. Massy wściekał się u drzwi kajuty, skąd pijacki głos płynął niewzruszenie wśród hałasu gwałtownych kopnięć.

— Milczec tam! Zgaś światło i kładź się spać, ty uchlana świnio! Słyszysz mię, bydlaku?

Kopanie ustało i głupekowaty, uroczysty głos oznajmił z wnętrza kajuty:

— O! Massy — to zupełnie co innego. Massy to chytra sztuka.

— Kto tam jest na rufie? To pan, panie Sterne? On się zapije do białej gorączki.

Pierwszy mechanik wysunął się, niewyraźny i wielki, zza rogu luku świetlnego od maszynowni.

— Jutro będzie zdolny do pracy. Ja bym go zostawił w spokoju, panie szefie.

Sterne wymknął się do swojej kajuty i musiał natychmiast usiąść. Radość go oszołomiła. Położył się na koi jakby we śnie. Ogarnęło go uczucie głębokiego ukojenia, cichego wesela. Na pokładzie panowała cisza.

Massy, przycisnąwszy ucho do drzwi od kabiny Jacka, słuchał krytycznie jego głębokiego, chrapliwego oddechu. Jack spał kamiennym snem pijaka. Atak już minął. Massy się uspokoił; poszedł do siebie i wolnymi ruchami wywinął się ze starej samodziłowej<sup>51</sup> kurtki. Miała wiele kieszeni; wkładał ją o przeróżnych porach dnia, gdyż podlegał nagłym atakom dreszczów; ogrzawszy się, zdejmował ją i wieszał byle gdzie, w najróżniejszych miejscach. Widywano ją kołyszącą się na kółkach do mocowania lin, zarzuconą na wierzch windy kotwicznej lub na przykład na klamkę u drzwi cudzej kajuty. Czyż nie był właścicielem całego statku? Lecz miejscem, gdzie ją wieszał najchętniej, był drew-

<sup>50</sup>wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>samodziłowy — wykonany z tkaniny wyprodukowanej na ręcznym warsztacie. [przypis edytorski]



niany słupek podtrzymujący płócienny dach mostku, tuż przy kompasie. Dawniej Massy miewał o to nieraz utarczki z kapitanem Whalleyem, który chciał utrzymać mostek w porządku. Massy czuł wtedy święty strach przed kapitanem. Ale w ostatnich czasach mógł przeciwstawiać się współnikowi z zupełną bezkarnością. Kapitan Whalley jak gdyby nic nie spostrzegał. Co się zaś tyczyło Malajów, groźny właściciel statku tak ich przerażał, że nikt z załogi nie byłby się ośmielił dotknąć kurtki, bez względu na to, gdzie by wisiała.

Nagle — tak nagle, że Massy zerwał się na równe nogi i puścił kurtkę — w sąsiedniej kajucie rozległ się okropny łoskot i huk, jakby coś się zważyło wśród brzęku szkła. Wierne Jack musiał widać zasnąć podczas pijatyki, a teraz przewrócił się razem z krzesłem, tłukąc, jak można było sądzić z hałasu, wszystkie znajdujące się wkoło szklanki i butelki. Po straszliwym łoskocie zapanowała na jakiś czas cisza, jakby Jack się zabił na miejscu. Massy wstrzymał oddech. Wreszcie sennie, niespokojne, jęklive westchnienie rozległo się przeciągle po drugiej stronie grodzi.

— W Bogu nadzieja, że jest zbyt pijany, aby się teraz obudzić — mruknął Massy.

Dźwięk cichego, znaczącego śmiechu doprowadził go wprost do rozpacz. Zaklął szeptem z wściekłością. Teraz już na pewno ten bałwan nie da mu spać aż do rana. Przeklinał swą dolę. Chciał zapomnieć we śnie o troskach doprowadzających go czasem do szału. Nie słyszał, aby Jack się poruszył. Widać nie usiłował wcale się dźwignąć, tylko chichotał, rozciągnięty na podłodze; potem zaczął znów mówić, jakby snując w dalszym ciągu swoje bredzenie:

— Massy! Przepadam za tym, psiakrew, łajdakiem. Chciałby zobaczyć, jak jego biedny stary Jack mrze z głodu! Ale wysoko bestia zajechał... — Czknął lekko, jak gdyby z wyższością. — Za pan brat z najbogatszymi armatorami. Biletu na loterię mu się zachciewa. He, he! Dam ja ci biletów, ile chcesz, dobrodzieju. Niech ta łajba zatonie, niech twój stary koleżka umrze z głodu — i wszystko będzie w porządku! Massy nie przepadnie — gdzieżby zaś! Nie ma strachu. Geniusz — po prostu geniusz. To najlepszy sposób na zdobycie pieniędzy: statek i stary kompan muszą oba wziąć w łeb.

— Bałwan! jak on się tym przejął — mruknął pod nosem mechanik. Twarz mu złagodniała; wycęzał słuch, pragnąc się upewnić, że Jack znów zaczyna drzemać, lecz rozległ się wybuch śmiechu pełen radosnej ironii i napelnił Massy'ego zniechęceniem.

— Chciałbyś widzieć parowiec na dnie morza! Ach, ty chytry, chytry czorcie! Chcesz, żeby statek zatonął? Naturalnie, że chciałbyś tego, mój stary, niech przepada ta łajba i razem z nią wszystkie kłopoty. A ty zgarniesz pieniądze z ubezpieczenia, odwrócisz się tyłem do koleżki i w porządku — będziesz znów odstawiał dżentelmena.

Twarz Massy'ego spochmurniała i zastygła, tylko jego wielkie czarne oczy błędną niespokojnie. Co ten bałwan plecie? Jednak on ma rację. Co do biletów na loterię też. Wszystko prawda. Jak to? Jeszcze bredzi? Niechby już raz zamilkł...

Ale znów się zaczęło. Z drugiej strony grodzi pijak o bujnej fantazji przerwał martwą ciszę, która po jego ostatnich słowach spadła na ciemny statek przycumowany do milczącego brzegu.

— Nie wolno nic mówić na jasnie wielmożnego George'a Massy'ego. Kiedy mu się znudzi czekać, pozbędzie się parowca. Uwaga! Oto statek idzie na dno — razem z przyjaciелеm... Massy potrafi...

Głos zawahał się, znużony, senny, coraz to cichszy, jakby zamierający w rozległej otwartej przestrzeni:

—... potrafi wynaleźć jakiś sposób, który nie zawiedzie. On sobie da radę — nie ma strachu...

Jack musiał być istotnie bardzo spity, bo w końcu ciężki sen chwycił go nagle jak za sprawą czaru, a ostatnie słowo wydłużyło się w nieskończenie długie, głośnie, głębokie chrapanie. Potem nawet chrapanie ustało i wszystko zapadło w ciszę.

Można było przypuścić, że Massy zwątpił nagle o zbawiennym działaniu snu na ludzkie zgrzyoty; a może znalazł pożądaną ulgę w ciszy spokojnych rozpamiętywań, urozmaicanych niekiedy plastycznymi wizjami bogactwa, pomyślnej zmiany losu, długiej bezczynności — ucieleśnionych marzeń; może istotnie znalazł ulgę w tych wizjach, bo obróciwszy się na koi i wyciągnąwszy ramiona poza jej krawędź, stanął na swej ulubionej starej kurtce, aby patrzeć przez okrągły iluminator w noc nad rzeką. Niekiedy oddech wiatru wpływał do kajuty i owiewał mu twarz, chłodny oddech niosący z sobą wilgotną

świeżość znad wielkiej wodnej przestrzeni. Dostrzegął z niej tylko błyski to tu, to ówdzie; a raz mógł pomyśleć, że się zdrzemnął, bo raptem ujrzał przed sobą, bez związku z żadnym sennym zwidzeniem, rząd płomiennych olbrzymich cyfr — trzy, zero, siedem, jeden, dwa — składających się na numer, taki, jakie się widuje na biletach loteryjnych.

Potem nagle iluminator z czarnego stał się perłowo szary; obejmował wybrzeże zatłoczone domkami strzecha przy strzesze, ściany z mat i bambusów, szczyty dachów rzeźbione z tekowego drzewa. Szeregi domostw, wzniesione na lesie słupów, ciągnęły się wzdłuż ciemnopopielatego wybrzeża rzeki pełnej po brzegi i nieruchomej, gdyż przyплыw miał się właśnie odwrócić. Było to Batu Beru — i dzień już wstawał.

Massy wzdrygnął się, włożył starą kurtkę z samodziału i, drżąc nerwowo jakby po gwałtownym wstrząsie, zapisał numer. Cóż to za szczęśliwe i rzadkie zrządzenie losu! Tak, ale na pogoń za szczęściem trzeba pieniędzy — brzęczącej monety.

Wyszedł na pokład, aby udać się do maszynowni. Trzeba było przypilnować kilku drobnych spraw, a tymczasem Jack leżał spity jak bela na podłodze swojej kajuty za drzwiami zamkniętymi na zasuwkę. Massy wściekał się na myśl o pracy. Brr! Ale cóż, jeśli się chce nic nie robić, trzeba przedtem zapewnić sobie niezły kawał grosza. Statek człowieka nie zbawi. Święta prawda, wszystko to prawda. Massy był zmęczony wyczekiwaniem na jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności — na pozbycie się wreszcie tego statku, który się stał przekleństwem jego życia.

#### XIV

Głęboki, przewlekły gwizd parowca miał w swym poważnym, drgającym dźwięku coś niewymownie przykrego; lekki dreszcz przebiegł Van Wyka. Było to wczesne popołudnie; statek „Sofala” wychodził z Batu Beru do Pangu, następnej przystani. Obrócił się wśród prądu odprowadzany tylko przez kilka czołen i sunąc po szerokiej rzece, przestał być widoczny z willi Van Wyka.

Jej właściciel nie przyszedł tym razem, aby „Sofalę” pożegnać. Zwykle udawał się na wybrzeże, zamieniał kilka słów z Whalleyem podczas odcumowania i kiwał do niego ręką w ostatniej chwili. Tym razem nie podszedł nawet do balustrady werandy.

— Nie mógłby mnie dojrzeć — powiedział sobie. — Ciekaw jestem, czy może różnić willę?

Na tę myśl poczuł się jakoś bardziej samotny niż w ciągu tych wszystkich lat. Ile ich upłynęło? Sześć czy siedem? Siedem. Kawał czasu.

Zasiadł na werandzie z zamkniętą książką na kolanach i, rzekłbyś, rozpatrywał swoje samotne życie, jak gdyby utrata wzroku kapitana Whalleya otworzyła mu oczy na własną ślepotę. Niezliczone są rodzaje zgrzyot i udręki serca, a nie ma na ziemi miejsca, gdzie by człowieka nie odnalazły. Van Wyk poczuł się zawstydzony; wydało mu się, że przez sześć lat zachowywał się jak kapryśny chłopiec.

Jego myśl biegła śladem „Sofali”. Postąpił impulsywnie pod wpływem chwili, zatając to, co nagliło najbardziej. I cóż mógł zrobić innego? Później się zobaczy. Pomyślał, że musi wybrać się między ludźmi choćby na krótko. Miał pieniądze — trzeba coś obmyślić; nie będzie żałował ani czasu, ani wysiłków, ani swej samotności. Teraz mu nawet ciążyła. Ujrzał przed sobą kapitana Whalleya siedzącego z oczami zasłoniętymi ręką i wydało mu się, że ten człowiek, zawiedziony w swej ufnej wierze, jest poza zasięgiem dobra czy zła zależnego od ludzkiej woli.

Myśli Van Wyka towarzyszyły „Sofali” w dół rzeki — wijącej się przez gąszcz nadbrzeżnych lasów wśród wielkich drzew, pni otoczonych przyporami — przez pas mangrowi i wreszcie przez mieliznę. Statek przebył ją łatwo w pełnym świetle dnia, prowadzony tym razem przez Sterne’a, który objął wachtę od czwartej do szóstej, a potem opuścił mostek, aby z rozkoszą pieścić myśl, że właściwie jest już podwładnym człowieka tak bogatego jak Van Wyk. Nie spodziewał się żadnych przeszkód. Ponościło go radosne uczucie, iż znalazł wreszcie „coś stałego”. Od szóstej do ósmej, według rozkładu pracy na statku, serang prowadził sam „Sofalę”. Przed parowcem była droga wolna mniej więcej aż do trzeciej rano, kiedy miał dotrzeć do grupy wysp w zatoce Pangu. O ósmej Sterne w świetnym humorze wyszedł z kajuty, aby objąć dowództwo aż do północy. Około

dziesiątej wciąż jeszcze nucił i podśpiewywał sobie na mostku — i mniej więcej w tym samym czasie myśli Van Wyka opuściły „Sofalę”. Zasnął nareszcie.

Massy, zagradzając zejście do maszynowni, wciągał ulubioną kurtkę z samodziału, szarpiąc ją ze złością, a drugi mechanik czekał i patrzył spode łba.

— A, wylazłeś nareszcie, opoju! No, co masz na swoje usprawiedliwienie?

Massy był zajęty maszynami aż do tej chwili. Roznosiła go ponura wściekłość — gwałtowny gniew na statek, na warunki życia, na ludzi za ich oszustwa, a także i na siebie — z powodu drżenia, jakie czuł w sercu.

Odpowiedziało mu niezrozumiałe warknięcie.

— Co? Nie umiesz teraz gęby otworzyć? A drzesz się wniebogłose, kiedy jesteś pijany. Co ty sobie myślisz, żeby tak ludziom ubliżać? Ty stary niedojdo, ty opoju!

— Co ja na to poradzę. Nie pamiętam nic a nic. Po co pan słuchał?

— Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób? Do czego to podobne, żeby tak się upijać?

— Niech pan nie pyta. Mam potąd tych, psiakrew, kotłów. Pan miałby ich także dosyć. Życie mi zbrzydło.

— No więc życzę ci śmierci. Wstręt mam do ciebie. Jak to, nie pamiętasz, co za awantury wyprawiałeś dziś w nocy? Stary opilec!

— Nie, nie pamiętam. Nie chcę pamiętać. Trunek jest trunkiem.

— Nie rozumiem, dlaczego jeszcze dotąd nie wylałem ciebie na pysk. Po coś tu przylazł?

— Żeby pana złuzować. Dość długo wysiedziałeś się na dole, mój Jerzy.

— Tylko bez żadnych Jerzych, ty łajdaku, ty moczymordo! Gdyby mnie nie stało, zdechłbyś jutro z głodu. Pamiętaj o tym. Mówi się do mnie: panie Massy.

— Panie Massy — powtórzył Jack obojętnie. Rozzochrany, o tępych, nabiegłych krwią oczach, w zatabaczonej, utyłanej koszuli, wytuszczonych spodniach i podartych pantoflach włożonych na bose nogi, rzucił się ze spuszczoną głową w zejście, gdy tylko Massy ustąpił z drogi.

Pierwszy mechanik rozejrział się. Pokład był pusty aż do tylnej bariery. Wszyscy pasażerowie krajowcy wysiedli tym razem w Batu Beru i nikt się nowy nie zjawił. Log dźwięczał miarowo w ciemności u końca statku. Panowała martwa cisza i parowiec sunął na prostym kilu po ciemnoszarym, gładziutkim morzu, pod zachmurzonym niebem, przez nieruchome, ciepłe, pachnące wodorostami powietrze, jakby lgnące do smukłego kadłuba, który zdawał się bujać w pustym przestworzu, oderwany od ziemi. Massy uderzył dłonią w czoło, zachwiał się z lekka i chwycił za kolek u stóp masztu.

— Ja chyba oszaleję — mruknął, idąc chwiejnym krokiem przez pokład. Na dole zgrzytała szufla przy podbieraniu rozsypanego węgla, szczęknęły drzwiczki od paleniska. Sterne na mostku zaczęły gwizdać nową melodię.

Kapitan Whalley, który siedział na kanapce zupełnie ubrany i nie spał, usłyszał, że drzwi od jego kajuty się otwierają. Z ostrożnością budzącą grozę ani drgnął i czekał na odezwanie się przybysza, aby rozpoznać, kto to taki.

Lampa u grodzi rzucała blask na biało pomalowane ściany, na czerwony plusz, na brązową politurę mahoni. Paka z surowego drzewa pod koją nie była otwierana już od trzech lat, jakby kapitan czuł, że po utracie brygu „Piękne Dziewczę” nie ma na ziemi przybytku dla jego umiłowań. Dłonie Whalleya spoczywały na kolanach i piękna głowa o gęstych brwiach była zwrócona do drzwi kamiennym profilem. Oczekiwany głos w końcu przemówił:

— Więc pytam po raz ostatni. Jak mam pana nazywać?

Ach! To Massy. Znów. Udręka ścisnęła serce Whalleya, a bolesny wstyd przeszył go z taką siłą, że omal mu krzyku nie wydarł.

— No więc — czy mam w dalszym ciągu nazywać pana współnikiem?

— Pan nie wie, czego pan żąda.

— Ja wiem, czego chcę...

Massy wszedł do kajuty i zamknął drzwi.

—... i jeszcze raz postaram się pana na to namówić!

Jego skomlenie brzmiało i przekonywująco, i groźnie.

— Tylko niech mi pan nie opowiada o swojej biedzie, to się na nic nie przyda. Prawda, że pan na siebie nic nie wydaje — ale można by to nazwać inaczej. Przez trzy lata wyciągał pan ze mnie wszystko, co się panu podobało, a teraz chce mnie pan puścić w trąbę bez wysłuchania, co myślę o panu? Wyobraża pan sobie, że byłbym się poddał pańskim fumom<sup>52</sup>, gdybym wiedział, że te głupie pięćset funtów to wszystko, co pan posiada? Obowiązkiem pana było powiedzieć mi prawdę.

— Może być — rzekł kapitan Whalley, pochylając głowę. — A jednak te pięćset funtów pana ocaliły. — Massy roześmiał się pogardliwie. — Zresztą mówiłem panu już nieraz o swym położeniu.

— A ja teraz panu nie wierzę. Kiedy pomyślę, jak ja pozwalałem panu rządzić się na moim własnym statku! Pamięta pan, ciągle mi pan dokuczał z powodu mojej kurtki i pańskiego mostka. Kurtka mu przeszkadzała! *Jego* mostek! „A ja się na to nie zgodzę — a ja ani myślę tamtego zrobić”. Uczciwy człowiek! Teraz się wszystko wykryło: „Jestem biedny i nic dać nie mogę. Wszystko, co mam, to te pięćset funtów”.

Wpatrywał się w nieruchomego kapitana, który wydał mu się nieprzewyciężoną przeszkodą na drodze. Twarz Massy’ego stała się żalosa.

— Pan jest człowiekiem twardym.

— Dość tego — obruszył się na mechanika kapitan Whalley. — Nic pan ode mnie nie uzyska, bo nie mam już nic do oddania.

— Prawda by to była!

Massy, wychodząc, obejrzał się raz jeden; drzwi zamknęły się za nim i Whalley został w samotności, równie nieruchomy jak przedtem. Nie miał już nic własnego, nawet jego przeszłość — honor, szczerłość, słuszna duma — przepadły. Całe jego życie bez skazy zważyło się w przepaść. Pożegnał się z nim raz na zawsze. Ale postanowił ocalić to, co stanowiło jej własność. Ocalić tylko drobną sumę pieniędzy. Pojedzie i wręczy jej to osobiście — ten ostatni dar człowieka, który żył zbyt długo. I potężny, gwałtowny poryw namiętnej ojcowskiej małości wybuchł w nim z całą niewygasłą siłą jego bezużytecznego życia — wybuchł pragnieniem, aby zobaczyć córkę.

Massy poszedł wprost do swej kajuty, znajdującej się z drugiej strony pokładu, zapalił światło i wyszukał zapisany na kartce ów wyśniony numer, którego cyfry rozpały w nim także namiętność — lecz zupełnie inną. Nie wolno mu pominąć ani jednego ciągnięcia. Ten numer na pewno coś oznacza. Ale jakiego użyć wybiegu, aby utrzymać się na powierzchni?

— Wstrętny sknera! — mruknął.

Ani teraz, ani dawniej nie mógł Sterne powiedzieć Massy’emu nic nowego o jego wspólniku, ale za to Massy mógł powiedzieć Sterne’owi, że z nieszczęścia ludzkiego można zrobić lepszy użytek niż pozbyć się dotkniętego nieszczęściem człowieka, i co za tym idzie, odsunąć na rok termin uciążliwej spłaty. Daleko lepszym sposobem było utrzymać w tajemnicy nieszczęście tego człowieka i doprowadzić go do pozostania na stanowisku. Jeżeli ów człowiek rzeczywiście nie ma pieniędzy, wówczas będzie chciał zostać na statku i tym sposobem kwestia zwrócenia mu wkładu zostanie rozstrzygnięta pomyślnie. Massy nie wiedział dokładnie, jak dalece kapitan jest niezdolny do pracy; ale jeśli się wydarzy, że Whalley rozbije parowiec, nie będzie to przecież wina właściciela. Massy nie miał obowiązku wiedzieć, iż na statku jest coś nie w porządku.

Lecz prawdopodobnie nikt by tego nie podniósł, a statek był ubezpieczony. Massy trzymał się w garści na tyle, że opłacał premie. Ale to jeszcze nie wszystko. Nie chciał wierzyć, aby kapitan Whalley był zupełnie pozbawiony środków i nie miał trochę odłożonych pieniędzy. Gdyby on, Massy, mógł się do nich dostać, kupiłby nowe kotły i wszystko by zostało po dawnemu. A jeśli parowiec zostanie w końcu stracony — tym lepiej. Massy nienawidził statku; nie cierpiał tych wszystkich zgryzot, które odwracały jego myśli od rozpamiętywania nad możliwością wygranej. Pragnął, żeby statek znalazł się na dnie morza i żeby pieniądze wypłacone tytułem odszkodowania znalazły się w jego, Massy’ego, kieszeni. Wyszedł zawiedziony z kajuty kapitana, czując jednakową nienawiść do statku o zużytych kotłach i do człowieka o przytępionym wzroku.

<sup>52</sup>fimy — kaprysy. [przypis edytorski]

Ludzkie postępowanie jest w gruncie rzeczy tak bardzo zależne od zewnętrznych podseptów, że gdyby nie pijackie bredzenie Jacka, Massy byłby się od razu załatwił z tym lotrem kapitanem, który nie chciał ani mu pomóc, ani stracić statku, ani pozostać na swym stanowisku. Stary oszust! Massy palił się do tego, aby wyrzucić go na pysk. Ale się powstrzymywał. Na to przyjdzie jeszcze czas — wyrzuci Whalleya, kiedy mu się będzie podobało. Nowa, straszna myśl zakiełkowała w jego mózgu. Czyż on, Massy, nie potrafi zdobyć się na wszystko? Co to ten gałgan Jack bredził? „Znaleźć bezpieczny sposób na pozbycie się statku”... No więc nie mylił się tak dalece. Bardzo zręczny sposób przyszedł Massy’emu do głowy. Tak! Ale ryzyko?

Uczucie dumy — wyższości nad pospolite przesady — wkradło się do jego piersi: serce zaczęło mu bić szybciej, poczuł suchość w ustach. Nie każdy by na to się zdobył; ale on, Massy, dorósł do tego.

Dzwon na pokładzie uderzył sześć razy. Jedenasta! Massy wypił szklanekę wody i usiadł na jakie dziesięć minut, aby się uspokoić. Potem wyjął z kufra małą ślepa latarkę i zapalił ją.

Prawie naprzeciwko jego kajuty, z drugiej strony wąskiego przejścia pod mostkiem, w żelaznej nadbudowce nad palarnią kotłową i kotłownią, znajdował się skład o żelaznych ścianach, żelaznym dachu i podłodze pokrytej żelazną blachą ze względu na upał panujący tam w dole. Do tego składu wrzucano wszelkiego rodzaju rupiecie; w kącie leżał stos żelaznego szmelcu, puste blaszanki od nafty stały rzędami; były tam również worki bawełnianych pakul, kupa węgla drzewnego, przenośna kuźnia, szczątki starego kojca na kury, pokrowce od żurawików całe w łachmanach, szczątki latarni oraz brunatny filcowy kapelusz wyrzucony przez człowieka obecnie już nieżyjącego (umarł z gorączki na brazylijskim wybrzeżu), dawnego oficera „Sofali”; ów kapelusz tkwił tam od lat, wtłoczony za kawał pękniętej rury mosiężnej, którą kiedyś usunięto z maszynowni. Nieprzenikniony mrok panował w tym przybytku zapomnianych przedmiotów. Promyk ślepej latarki, trzymanej przez Massy’ego, przebił ciemność na ukos.

Kurtka mechanika była rozpięta; zamknął drzwi na zasuwkę (nie było tam innych drzwi ani okien) i przykucnąwszy obok kupy szmelcu zaczął wkładać do kieszeni kawałki żelastwa. Wkładał je starannie, jak gdyby zardzewiałe naśrubki, połamane sworznie, ogniwa łańcuchów były złotem i jakby jeden jedyny raz mógł do tego złota się dobrać. Napchał dolne kieszenie, aż się wydeły, kieszenie boczne i wewnętrzne. Oglądał wszystkie kawałki. Niektóre odrzucał. Mgielka sproszkowanej rdzy zaczęła się unosić naokoło jego ruchliwych rąk. Massy wiedział coś niecoś o naukowej podstawie swego chytrego planu. Jeśli się chce sprawić, aby igła okrętowego kompasu się odchyliła, kute żelazo jest do tego najlepsze; przy tym wielka ilość małych kawałków w kieszeniach kurtki osiągnie lepszy skutek niż kilka dużych, bo tym sposobem zwiększy się powierzchnia przy tej samej wadze żelaza, a tu właśnie powierzchnia ma znaczenie.

Wymknął się szybko ze składu — wystarczyły na to dwa kroki — i spostrzegł w kajucie, że jego ręce są całe czerwone — czerwone od rdzy. Zmieszało go to, jakby się przekonał, że pokrywa je krew; spojrzął szybko po sobie. Ależ i spodnie są czerwone! To dlatego, że wytarł o nogi dłonie pokryte rdzą.

W pośpiechu oderwał guzik od paska u spodni; wyszczotkował kurtkę, umył ręce. Przestał wyglądać na zbrodniarza i usiadł, aby czekać.

Siedział prosto, obciążony żelastwem. Miał twardą masę kawałków przy obu biodrach, czuł, jak złom w kieszeniach dotyka mu żeber przy każdym oddechu, jak ciężar tych wszystkich funtów obciążających kurtkę ugniata mu barki. Wyglądał bardzo niedołąźnie, siedząc bez ruchu, a w jego żółtej twarzy o nieruchomych czarnych oczach był jakiś bierny smutek.

Usłyszawszy nad głową osiem uderzeń dzwonu, wstał i przygotował się do wyjścia. Jego ruchy wydawały się bezcelowe, dolna warga nieco opadła, oczy błędziły po kajucie, a straszliwy wysiłek woli pozbawiał je wszelkiego śladu inteligencji.

Z ostatnim uderzeniem dzwonu serang ukazał się bezszelestnie na mostku, aby zastąpić oficera. Sterne był w usposobieniu na wskroś dobrodusznym, gdyż pragnienia jego zostały spełnione.

— Czy oswoiłeś się już z mrokiem, serangu? Nie bardzo jest ciemno; zostaną, dopóki nie będziesz dobrze widział.

Podstęp

Omen

Stary Malaj mruknął coś, podniósł na oficera znużony wzrok, przesunął się bokiem w światło latarki kompasowej i utkwiał oczy w kompasie, splatając ręce na plecach.

— Około pół do trzeciej będziesz musiał pilnie wypatrywać ładu, serangu. Ale właściwie jest jasno. Wstąpiłeś po drodze do kapitana, co? On wie, która teraz godzina? No więc już idę.

U stóp drabiny odstąpił w bok, przepuszczając kapitana. Przypatrywał się Whalleyowi, idącemu w górę po drabinie równym, pewnym krokiem i zamyślił się na chwilę.

„To dziwne — powiedział sobie — nigdy nie można być pewnym, czy on widzi człowieka, czy nie. Przecież tym razem mógł słyszeć mój oddech.”

Wziąwszy jednak wszystko pod uwagę, był to człowiek niezwykle. Podobno swego czasu cieszył się sławą. Sterne bardzo temu wierzył. I z całą pogodą doszedł do wniosku, że kapitan dostrzega ludzi o tyle o ile — jak teraz na przykład jego, Sterne’a — ale nie będąc pewnym, kogo widzi, zachowuje obojętne milczenie, aby się nie zdradzić. Sterne był chytrym obserwatorem.

Konieczność ciąglego udawania uprzytomniła Whalleyowi, jak dalece jego sytuacja jest poniżająca. Zabrnął w nią przez miłość ojcowską, przez nieograniczoną wiarę, że boska sprawiedliwość będzie wymierzana uczuciom ludzkim na ziemi. Zdobył dla biednej Ivy wynagrodzenie za jeszcze jeden miesiąc pracy; może jego kalectwo okaże się tylko czasowe? Bóg nie zechce pozbawić swego dziecka możliwości pomagania najbliższemu — nie zechce zrzucić go bezbronny w wieczną noc. Z początku Whalley chwycił się każdej nadziei; a gdy oczywistość nieszczęścia stała się silniejsza od nadziei, usiłował oczywistości nie wierzyć.

Na próżno. W mroczniejącym coraz bardziej wszechświecie złowroga jasność rozświetlała myśli Whalleya. Wśród cierpień miał chwile jasnowidzenia i wówczas przenikał życie, ludzi, wszystkie ludzkie sprawy, całą ziemię z jej brzemieniem stworzonej przyrody jak nigdy przedtem.

Czasem chwycił go zawrót głowy, miazdzyło go przerażenie; wtedy obraz córki zjawiał się przed nim. I jej nigdy przedtem tak jasno nie widział.

Czyż to możliwe, aby nigdy już nie mógł dla niej nic zrobić? Nic. Aby nigdy już nie miał jej ujrzeć? Nigdy.

Dlaczego? Kara była zbyt wielka za trochę zarozumiałości, za trochę pychy. W końcu doszło do tego, że kapitan trwał w swej symulacji z zaciekłym postanowieniem, aby w niej dotrzeć do końca, aby zachować pieniądze córki nietknięte, aby ujrzeć ją jeszcze raz na własne oczy. A potem — co? Myśl o samobójstwie była odrażająca dla krzepkiej męskości Whalleya. Modlił się o śmierć, póki modlitwa nie zaczęła więznąć mu w gardle. Przez wszystkie dni swego życia modlił się z dziecięcą pokorą ducha o chleb powszedni, o wybawienie od pokus. Czy słowa coś znaczą? Skąd pochodzi dar mowy? Gwałtowne bicie serca tętniło mu aż w głowie — zdawało się rozsadzać czaszkę.

Zasiadł ciężko w fotelu, aby udawać, że trzyma wachtę. Noc była ciemna. Wszystkie noce były teraz ciemne.

— *Serangu* — rzekł półgłosem.

— *Ada, tuan*<sup>53</sup>. Jestem.

— Czy na niebie są chmury?

— Są, tuanie.

— Steruj na wprost. Na północ.

— Płyniemy na północ, tuanie.

*Serang* odstąpił w tył. Kapitan Whalley rozpoznał kroki Massy’ego na mostku. Mechanik podszedł do lewej burty i wrócił, przechodząc kilka razy za fotelem. Kapitan Whalley odkrył w jego skradaniu się jakiś niezwykle rys rozważliwej i ostrożności. Udręka Whalleya zawsze wzrastała, kiedy ten człowiek znalazł się w pobliżu. Nie były to wyrzuty sumienia. Wyświadczył nieszczęśliwemu samo dobro. Odczuł, że grozi niebezpieczeństwo; trzeba być jeszcze bardziej ostrożnym.

Massy przystanął i rzekł:

— Więc pan w dalszym ciągu chce odejść?

— Ja odejść muszę.

<sup>53</sup>*Ada, tuan* (mal.) — tak, panie. [przypis edytorski]

— A nie mógłby pan przynajmniej zostawić mi na kilka lat pieniędzy?

— To niemożliwe.

— Nie chce mi pan ich powierzyć bez swego nadzoru, co?

Kapitan Whalley milczał. Massy westchnął głęboko, stojąc z tyłu nad fotelem.

— To by mnie uratowało — rzekł drżącym głosem.

— Już raz pana uratowałem.

Pierwszy mechanik zdjął kurtkę ostrożnymi ruchami i zaczął szukać po omacku mo siężnego haczyka wkręconego w drewnianą podporę płóciennego dachu. Szukając, stanął przed kompasem i zakrył go zupełnie przed wzrokiem sterującego bosmana.

— Tuanie! — szepnął wreszcie laskar<sup>54</sup> po cichu, chcąc dać białemu do zrozumienia, że nie może sterować, nie widząc kompasu.

Massy osiągnął swój cel. Kurtka zawisała na haku w odległości sześciu cali od kompasu. I natychmiast po usunięciu się Massy'ego bosman, ospowaty Sumatryjczyk, Malaj w średnim wieku, prawie równie ciemny jak Murzyn, spostrzegł ze zdumieniem, że w tym krótkim czasie, na gładkim morzu, bez śladu wiatru, statek zboczył gwałtownie z kursu. Nigdy przedtem nie odchyłał się z drogi w ten sposób. Malaj wymruczał coś ze zdziwieniem i obrócił szybko koło, aby skierować statek ponownie na północ, gdyż taki był jego kurs. Zgrzyt łańcuchów sterowych i na wpół głośnie wyrzuty seranga, który podszedł do koła, przyciągnęły niespokojną uwagę Whalleya. Rzekł:

— Uważaj, *serangu*.

Potem zapanował na mostku zwykły spokój. Massy znikł.

Lecz żelazo w kieszeniach kurtki dokazało swego i parowiec — kierowany na północ kompasem, którego wskazania zostały sfalszowane w tak prosty sposób — nie płynął już bezpiecznie w stronę zatoki Pangu.

Syk wody prutej przez stewę<sup>55</sup>, pulsowanie maszyn, wszystkie odgłosy wiernego i pracowitego życia „Sofali” trwały bez przerwy wśród wielkiego spokoju morza, które łączyło się naokoło z nieruchomą warstwą chmur na niebie. Łagodna cisza, rozległa jak świat, zdawała się czekać na drodze parowca, ogarniając go miłośnie najśodsza pieszczotą. Massy pomyślał, że nie można by sobie wymarzyć lepszej nocy dla umyślnego rozbicia statku.

Parowiec nadziany wysoko na którąś ze skał po wschodniej stronie zatoki — oczekiwanie świtu — dziura w dnie — łodzie spuszczone — dotarcie do zatoki Pangu tegoż wieczora. Tak mniej więcej będzie to wyglądało. Z chwilą gdy „Sofala” dotknie dna, Massy wbiegnie co tchu na mostek, chwyci kurtkę (nikt jej w ciemności nie zauważy) i wytrzęsie jej zawartość za burtę lub nawet rzuci kurtkę do morza. To drobnostka. Któż by mógł się domyślić? Setki razy widziano, jak kurtka tam wisiała. Mimo to, gdy Massy siadł na najniższym stopniu mostkowej drabiny, kolana dygotały mu nieco. Z tego wszystkiego najgorsze było oczekiwanie. Chwilami zaczynał dyszeć jakby po szybkim biegu, potem znów oddychał szeroko pełną piersią i duma go rozpierała w poczuciu, że chwycił los za łeb. Czasem dochodził z góry szelest bosych stóp seranga; spokojne, ciche głosy zamieniały kilka słów i prawie natychmiast zapadało milczenie...

— Kiedy zobaczysz łąd, zaraz mi powiedz, *serangu*.

— Tak, tuanie. Jeszcze nic nie widać!

— Jeszcze nie widać — zgadzał się kapitan Whalley.

Statek był mu najlepszym przyjacielem w tym okresie upadku. Whalley posyłał córce wszystkie pieniądze, które zarobił na „Sofali” i przez „Sofalę”. Myśli jego przyłgnęły do Ivy. Jakże często oboje z żoną gawędzili nad kołyską dziecka w wielkiej kajucie „Kondora”; Ivy urośnie, wyjdzie za mąż, miłość jej do rodziców nie zmniejszy się nigdy, a oni zamieszkają blisko córki, aby przyglądać się jej szczęściu — i tak będzie trwało bez końca.

A tymczasem jego żona nie żyła, córce dał wszystko, co miał do oddania; pragnął zbliżyć się do niej, zobaczyć jej twarz, żyć wśród dźwięku jej głosu, który by uczynił mu znośnym przebywanie za życia w grobowym mroku. Zbyt długo był pozbawiony miłości. Wyobrazil sobie tkliwość Ivy.

*Serang* wyteżał wzrok ku przodowi; od czasu do czasu spoglądał na fotel. Wiercił się niespokojnie i nagle tuż pod bokiem Whalleya wybuchnął:

<sup>54</sup>*laskar* — indyjski marynarz. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*stewa* — część szkieletu okrętu. Stewa dziobowa — zakończenie dziobu. [przypis edytorski]

— Tuanie, czy dostrzegasz ląd?

Zaniepokojony głos od razu postawił kapitana na nogi. Czy on dostrzega! Przekleństwo ślepoty przygniotło go stokroć silniej wobec tego pytania.

— Która godzina? — zawołał.

— Pół do czwartej, tuanie.

— Jesteśmy blisko lądu. Musisz go zobaczyć, słyszysz? Patrz bacznie! Patrz!

Zbudzony nagłym dźwiękiem głosów z krótkiej drzemki, Massy, siedząc na ostatnim stopniu drabiny, nie mógł sobie zdać sprawy, dlaczego się tam znalazł. Aha! Słabo mu się zrobiło. Rzucić nasiona wypadku to jeszcze co innego niż patrzeć na potworny owoc zwisający nad głową, owoc, który spadnie za chwilę wśród zgiełku wzbudzonych głosów.

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa — mruknął do siebie niewyraźnie.

Groza niepewności ogarnęła kapitana Whalleya, straszne zwątpienie o ludziach, o rzeczach — nawet o ziemi. Sterował trzydzieści sześć razy przy tym samym kursie, według tego samego kompasu; jeśli było coś pewnego na świecie, to absolutna, bezwzględna nieomyślność przyrządu. Więc co się stało? Czy serang kłamał? Dlaczego by miał kłamać? Dlaczego? Może on także ślepnie?

— Czy jest mgła? Patrz w dół na wodę. Nisko, słyszysz?

— Tuanie, nie ma mgły. Zobacz sam.

Kapitan Whalley wysiłkiem woli opanował drżenie nóg. Czy zatrzymać maszyny od razu i tym samym się zdradzić? Pod wpływem niezdecydowania różne dziwaczne myśli zaczęły się w nim kłębić. Oto stało się coś niezwykłego, a on nie umie z tym czymś się zmierzyć. W owej chwili niewypowiedzianej męki ujrzął twarz Ivy — twarz młodej dziewczyny — ze zdumiewającą siłą złudzenia. Nie, nie wolno mu się zdradzić, kiedy zabrął dla niej aż tak daleko.

— Czy się trzymałeś kursu? Uważałeś na ster? Mów prawdę!

— *Yo, tuanie.* Jesteśmy na kursie. Patrz.

Kapitan Whalley jednym susem znalazł się przy kompasie, który w jego oczach wyglądał jak mętna plama światła wśród nieskończoności głuchego mroku. Prawie dotykając twarzą szkła, które mógł dawniej...

Zmuszony pochylić się nisko, wyciągnął machinalnie rękę w stronę, gdzie — jak wiedział — był drewniany słupek, aby się go przytrzymać. Dłoń jego objęła coś, co nie było drzewem tylko tkaniną. Lekkie pociągnięcie dodało ciężaru, wieszadło się urwało i kurtka Massy'ego, spadając, uderzyła ciężko o pomost z głuchym stukiem i brzękiem.

— Co to jest?

Kapitan Whalley padł na kolana, wyciągając po omacku ręce jawnym gestem ślepcy. Trzęsły się te ręce poszukujące prawdy. Whalley dojrzał ją. Żelazo tuż przy kompasie. Błędny kurs. Chcą zatopić statek! Jego statek. O nie! To się nie uda.

— Skocz co tchu! Zatrzymaj! — ryknął nieswoim głosem.

Rzucił się z wyciągniętymi naprzód rękami, on, człowiek ślepy, i podczas gdy dźwięk gongu zewsząd jeszcze echem rozbrzmiewał, parowiec uderzył całym pędem jak gdyby w zbocze góry.

Wzdłuż północnego brzegu cieśniny woda była niska. Massy na to nie liczył. Zamiast wejść na ławicę połową długości, nadział się na grzbiet kamiennej rafy, która byłaby pod wodą w czasie przypływu. To uczyniło zderzenie po prostu strasznym. Wszyscy ludzie będący na nogach przewrócili się gwałtownie; wstrząśnięty osprzęt zgrzytnął przeraźliwie aż do szczytu masztów. Światła zgasły co do jednego; zerwało się kilka baksztagów<sup>56</sup> uderzając z grzechotem o komin; dał się słyszeć huk, łomot, dźwięki pękających drucianych lin, głośnie łoskoty; latarnia szczytowa przeleciała nad dziobem i wszystkie drzwi zaczęły mocno trzaskać. Statek, ugodziwszy o rafę, odskoczył i jak taran uderzył po raz drugi w to samo miejsce. Dopełniło to spustoszenia; komin po zerwaniu baksztagów przewrócił się z głuchym hukiem jak gdyby grzmotu, zmiażdżył koło od steru, połamał drewniany szkielet płóciennego dachu i rozbił skrzynie pokładowe, napelniając mostek mnóstwem potrząskanych drewnien. Kapitan Whalley dzwignął się, zakrwawiony, w poszarpanym odzieniu i stał wśród szczątków sięgających mu kolan, poznając głównie po odgłosach niebezpieczeństwo, którego uniknął; w ramionach trzymał kurtkę Massy'ego.

<sup>56</sup>baksztąg — lina wzmacniająca maszt a. komin z boku. [przypis edytorski]



Tymczasem Sterne (wyrzucony z koi) dał rozkaz, aby się cofnąć. Śruba obróciła się kilka razy, a potem jakiś głos wrzasnął: „Wyłaźże z tej, psiamac, maszynowni, Jack!”, i maszyny zatrzymały się; lecz statek zsunął się z rafy i stał bez ruchu, a gęsta chmura pary buchala z potrzaskanych rur, niknąc wśród nocy rozwichrzonymi kłębami. Mimo nagłości katastrofy nie było krzyków, jakby gwałtowność zderzenia ogłuszyła niewyraźną grupę ludzi, ślaniających się tam i sam na pomostach. Nad zmaconymi pomrukami zapanował dobitny głos seranga, który wyciągnął sondę z wody:

— Bez dna.

Wówczas Sterne krzyknął cienkim, wyciężonym głosem:

— Dokąd statek zalazł u diabła? Gdzie my jesteśmy?

Kapitan Whalley odrzekł spokojnym basem:

— Między skałami od wschodu.

— Pan jest tego pewny? Więc statek nigdy już się stąd nie wydostanie.

— Za pięć minut pójdzie na dno. Łodzie, Sterne. Nawet jedna łódź ocali was wszystkich w tę ciszę.

Chińscy palacze rzucili się niesforną gromadą do lewostronnych łodzi. Nikt nie usiłował ich zatrzymać. Malaje uspokoił się po chwilowym zamęcie, a zachowanie Sterne'a było przyzwoite. Kapitan Whalley stał w miejscu nieporuszenie. Myśli jego były mroczniejsze niż ta noc, w ciągu której stracił statek pierwszy raz w życiu.

— Przez niego straciłem statek.

Wysoka postać, stojąca przed kapitanem wśród szczątków zaścielających mostek, szepnęła obłędnie:

— Nikomu ani słowa!

Massy podszedł bliżej, potykając się. Kapitan Whalley słyszał, jak mu zęby dzwoniły.

— Mam pana kurtkę.

— Niech pan ją rzuci. Niech pan stąd idzie — nalegał dygocący głos. — D-d-do ł-ł-łodzi!

— Dostanie pan za to piętnaście lat.

Massy'emu głos uwiązł w gardle. Jego słowa były tylko suchym szelestem dobywającym się z krtani:

— Litości!

— A pan miał dla mnie litość? Przez pana straciłem statek. Panie Massy, dostanie pan za to piętnaście lat.

— Potrzebowałem pieniędzy! Pieniądzy! moich pieniędzy! Dam panu trochę pieniędzy. Niech pan weźmie połowę. Pan także kocha pieniądze.

— Jest jeszcze na świecie sprawiedliwość...

Massy uczynił straszny wysiłek i wykrztusił dziwnym, na wpół zdławionym głosem:

— Przeklęty ślepcze! Sam mnie pchnąłeś do tego!

Kapitan Whalley, cisnąc kurtkę do piersi, nie odrzekł nic. Światło odpłynęło ze świata na zawsze; niech przepada wszystko. Ale temu człowiekowi nie ujdzie to płazem.

Głos Sterne'a rozkazał:

— Spuścić łodzie!

Zgrzytnęły bloki.

— No, dalej — krzyknął — skaczcie! Tędy. Ty, Jack, tutaj. Panie Massy! Panie Massy! Panie kapitanie! Prędko, panie kapitanie! Już odpływamy...

— Pójdę do więzienia za usiłowanie oszustwa, ale i o panu wszystko się wyda; o panu, uczciwy człowieku, któryś mnie oszukiwał. Nie ma pan pieniędzy, co? Tylko te pięćset funtów. No więc teraz nie będzie pan miał ani grosza. Parowiec stracony, a ubezpieczenia nie wypłacą.

Kapitan Whalley ani drgnął. Prawda! Pieniądzy Ivy. Przepadły w katastrofie. Błyskawica jasności przeszła jego mózg. Był naprawdą u kresu sił.

Nagłące głosy rozlegały się chórem za burtą. Zdawało się, że Massy nie może się oderwać od mostka. Dzwonił zębami i syczał z rozpaczą:

— Niech mi pan to odda! Niech pan to odda!

— Nie — rzekł kapitan Whalley — ja oddać tego nie mogę. Odejdź, człowieku. Nie czekaj, jeśli chcesz żyć. Statek zanurza się szybko dziobem naprzód. Nie; ja to zatrzymam, ale zostaną na pokładzie.

Massy zdawał się nie rozumieć, lecz przywiązanie do życia obudziło się w nim nagle i zepchnęło go z mostka.

Kapitan Whalley złożył kurtkę na pomoście; potykając się wśród szczątków, zbliżył się do burty.

— Czy pan Massy jest z wami? — zawołał w noc.

Sterne odkrzyknął z łodzi:

— Tak; Już go mamy. Prędko, panie kapitanie. To szaleństwo zwlekać!

Whalley powiódł ostrożnie dłonią wzdłuż bariery i bez słowa odrzucił linę. Czekali wciąż na niego tam w dole. Czekali, aż nagle głos jakiś wykrzyknął:

— Dryfujemy! Do wiosel!

— Panie kapitanie! Niech pan skacze!... podpłynię trochę bliżej... Niech pan skacze! Pan umie pływać.

Aby nic Whalleyowi nie było oszczędzone, w jego starym sercu, w jego krzepkim ciele zbudził się okropny strach przed śmiercią, którego nie mógł pokonać nawet strach przed ślepotą. Ale to przecież dla Ivy Whalley posunął się tak daleko, dotarłszy wśród otaczających go ciemności aż na skraj zbrodni. Bóg nie wysłuchał jego modlitw. Światło odpłynęło już zupełnie ze świata; nigdzie najlżejszego przeblysku. Mroczna pustka. Byłoby to wbrew przyzwoitości, gdyby któryś z Whalleyów, posunąwszy się tak daleko w pościgu za swoim celem, żył w dalszym ciągu. On musi za to zapłacić.

— Niech pan kapitan skacze jak najdalej, wyłowimy pana.

Nie usłyszeli odpowiedzi. Lecz ich krzyki jakby przypomniały coś Whalleyowi. Wrócił po omacku na poprzednie miejsce i zaczął szukać kurtki Massy'ego. Umiał rzeczywiście pływać; ludzie wessani przez wir tonącego statku wynurzają się czasem na powierzchnię, a byłoby wbrew przyzwoitości, gdyby któryś z Whalleyów, postanowiwszy umrzeć, został wypadkiem znęcony do walki o życie. Kapitan włożył do kieszeni te wszystkie kawałki żelaza.

Załoga widziała z łodzi „Sofalę”, czarną masę na czarnym morzu, tkwiącą wciąż nieruchomo w straszliwym przechyleniu. Żaden odgłos stamtąd nie dochodził. Potem rozległ się ogłuszający, dziwny, przewlekły hałas, jakby kotły się przebiły przez grodzie i na miejscu, gdzie był statek, ukazało się wśród słabego, głuchego huku coś na kształt wąskiej skały sterczącej pionowo z morza. Po chwili znikło i to.

Samobójstwo

Gdy parowiec „Sofala” nie wrócił we właściwym czasie do Batu Beru, Van Wyk zrozumiał od razu, że nigdy go już nie zobaczy. Ale o tym, co zaszło, dowiedział się dopiero w kilka tygodni później, odbywszy drogę do portu macierzystego „Sofali” na krajowym statku użyczonym przez sultana. W porcie zaczęli już zapominać o istnieniu parowca i urzędowym śledztwie przeprowadzonym z powodu jego zatonięcia.

Nie był to wypadek niezwykły ani też szczególnie interesujący wyjąwszy to, że kapitan poszedł na dno wraz z tonącym statkiem. Tylko on jeden zginął; Van Wyk nie byłby się dowiedział o tym wszystkim żadnych szczegółów, gdyby nie Sterne, którego spotkał raz na bulwarze, blisko mostka nad kanałem, prawie w tym samym miejscu, gdzie kapitan Whalley — chcąc zachować w całości pięćset funtów, pieniądze swej córki — skręcił w ulicę, aby zawołać na sampan, mający zawieźć go na „Sofalę”.

Van Wyk już z daleka zobaczył, że Sterne mruży oczy na jego widok i podnosi rękę do kapelusza. Usunęli się w cień jakiegoś budynku (był to bank) i oficer opowiedział, jak łodzi z załogą dotarły do zatoki Pangu mniej więcej w sześć godzin po wypadku i jak przebyli tam dwa tygodnie, pozbawieni wszelkich środków do życia, póki się nie zdarzyła sposobność opuszczenia tej piekielnej dziury. Śledztwo uwolniło wszystkich od jakiegokolwiek winy. Strata parowca została przypisana temu, że wyjątkowym zbiegiem okoliczności prąd zmienił kierunek. I rzeczywiście nie mogło to być nic innego; niepodobna było wyjaśnić inaczej faktu, że statek podczas krótszej wachty zбочzył siedem mil na wschód ze swego kursu.

— Cóż to dla mnie za pech, proszę szanownego pana!

Sterne przesunął językiem po wargach i spojrział w bok:

— Straciłem sposobność dostania się do pana na służbę. Nie mogę tego odżałować. Ale tak to się dzieje: co dla jednego dobre, to dla drugiego złe. Panu Massy'emu nic nie mogło pójść bardziej na rękę, nawet gdyby sam spowodował rozbicie parowca. Jeszcze nie slyszalem, aby strata statku przysła tak bardzo w porę.

— Co się stało z tym Massym? — spytał Van Wyk.

— Z Massym, proszę szanownego pana? Ha, ha! Mówił mi wciąż, że chce kupić inny statek; ale z chwilą, kiedy poczuł pieniądze w kieszeni, wybrał się skoro świt do Manili na statku pocztowym. Dopędziłem go na pokładzie; powiedział, że z całą pewnością zrobi w Manili majątek, a jeśli chodzi o mnie, to mogę sobie pójść do diabła. A przecież prawie mi przyrzekł, że mi powierzy dowództwo, byłem tylko trzymał język za zębami.

— Pan nikomu nie powiedział... — zaczął Van Wyk.

Naturalnie, że nie powiedziałem, panie szanowny. Po co bym miał mówić? Wprawdzie chcę zrobić karierę, ale umarli mi w tym nie przeszkadzają — rzekł Sterne. Zamrugał szybko oczami, potem je spuścił na chwilę. — Zresztą, panie szanowny, byłoby mi niezręcznie o tym mówić, bo ze względu na pana milczałem trochę za długo.

— Czy pan wie, jak to się stało, że kapitan Whalley został na pokładzie? Czyżby naprawdę nie chciał statku opuścić? Niemożliwe. A może to przypadek...

— Ale skąd! — przerwał Sterne energicznie. — Mówię panu, wrzeszczałem, żeby skakał za burtę. Nic innego, tylko po prostu musiał sam odrzucić linę łodzi. Wszyscy wrzeszczeliśmy do niego — to znaczy Jack i ja. Nawet nam nie odpowiedział. Na statku panowała grobowa cisza aż do ostatniej chwili. Potem kotły wybuchły i parowiec poszedł na dno. To nie był żaden przypadek! Nic podobnego! Mówię szanownemu panu, że kapitan po prostu dał za wygraną.

To było wszystko, co Sterne miał do powiedzenia.

Van Wyk został oczywiście zaproszony do klubu, gdzie mieszkał przez dwa tygodnie, i właśnie tam spotkał prawnika, u którego Massy i kapitan Whalley podpisali umowę.

— Nadzwyczajny starzec — mówił prawnik. — Zjawił się w biurze ze swymi pięciuset funtami, jakby spadł z nieba; tuż za nim szedł ten mechanik, bardzo widać zdenerwowany. A teraz znów Whalley znikł w sposób trochę zagadkowy, akurat tak samo, jak się zjawił. Nigdy go naprawdę nie rozumiałem. Ale w tym Massym to chyba nie było nic tajemniczego, co? Ciekawym, czy Whalley naprawdę nie chciał statku opuścić. To było głupie. Sąd orzekł, że jest wolny od wszelkiej winy.

Van Wyk oświadczył, iż znał dobrze Whalleya i w samobójstwo jego nie wierzy. Tego rodzaju postępek nie zgadzałyby się wcale z tym, co wiedział o kapitanie „Sofali”.

— Podzielał pańskie zdanie — rzekł prawnik. — Uznano ogólnie, że kapitan został za długo na statku, ponieważ chciał coś ważnego uratować. Może mapę na dowód swojej niewinności, a może jakąś wartościową rzecz z kajuty. Co do liny, przypuszczano, że odczepiła się sama. Ale — bardzo to dziwne — na jakiś czas przed tą podróżą biedny Whalley przyszedł do mnie do biura i zostawił zapieczętowaną kopertę z adresem córki; polecił przesłać jej ten list w razie, gdyby umarł. Nic w tym jednak nadzwyczajnego, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę jego wiek.

Van Wyk potrząsnął głową. Kapitan Whalley wyglądał, jakby miał żyć sto lat.

— Ależ tak — zgodził się prawnik. — Zdawało się, że przyszedł na świat dorosły, z tą długą brodą. Wie pan, ja nigdy jakoś nie mogłem go sobie wyobrazić młodszym czy też starszym. Przy tym czuło się w nim wielką siłę fizyczną. I może właśnie stąd płynęło to coś szczególnego w jego osobie, co uderzało każdego człowieka, który się z nim zetknął. Zdawało się, że jest niezniszczalny, że zwykła ludzka śmierć imać się go nie może. Jego uprzejmość i rozwaga pełna godności dawały wiele do myślenia. Wyglądał, jakby był pewien, że na wszystko starczy mu czasu. Tak, miał w sobie coś niezniszczalnego i z tego, co czasem mówił, można było sądzić, że on sam temu wierzy. Kiedy ostatni raz przyszedł do mnie z tym listem, który chciał mi powierzyć, nie wydawał się wcale przygnębiony. Może odrobinę wolniej niż zwykle ruszał się i mówił. Ani śladu zgnębienia. Ciekaw jestem, czy miał jakie przeczucia? Może i miał. Bądź co bądź sądzę, że to marny koniec dla tak wybitnej osobistości.

— O tak! To bardzo marny koniec — powiedział Van Wyk tak żarliwie, że prawnik spojrział nań z ciekawością i po rozstaniu się z nim zauważył rozmawiając ze znajomym:

— To dziwny człowiek, ten plantator tytoniu z Batu Beru. Czy pan coś wie o nim?

— Istny Krezus<sup>57</sup> — odrzekł dyrektor banku. — Mówią, że najbliższym statkiem wraca do kraju, aby utworzyć spółkę, która ma przejąć jego posiadłości. Powstały nowe plantacje tytoniu. Uważam, że ten Holender jest mądry. Dobre czasy nie będą trwać wiecznie.

\*

Mieszkająca na południowej półkuli córka kapitana Whalleya nie miała żadnych złych przeczuć, otwierając kopertę zaadresowaną pismem prawnika. Dostała list po południu; wszyscy goście powychodzili, synkowie jej byli w szkole, a mąż, wychudły i mizerny, siedział z książką na górze w wielkim fotelu, owinięty derkami po pas. Dom był cichy, szarość chmurnego dnia kładła się na szyby okien.

W odrapanej jadalni, gdzie zastały, nikły zapach potraw unosił się przez okrągły stół, Ivy — siedząc u końca długiego, wiecznie nakrytego stołu, otoczonego mnóstwem krzesel wsuniętych pod blat i dotykających oparciem jego krawędzi — przeczytała pierwsze zdanie listu: „Wyrazy najgłębszego żalu — przykry obowiązek — ojciec pani rozstał się z tym światem — zgodnie z jego poleceniem — fatalny wypadek — jedyna pociecha — pamięć wolna od wszelkiej winy...”

Twarz Ivy była szczupłą, o skroniach trochę zakłęsłych pod gładkimi pasmami czarnych włosów; usta jej pozostały zaciśnięte stanowczo, a czarne oczy rozszerzały się coraz bardziej, aż w końcu wstała z cichym okrzykiem i schyliła się natychmiast, aby podnieść drugą kopertę, która zsunęła się z jej kolan na podłogę.

Ivy rozdarła ją, chwyciła zawarty w niej arkusz...

„Najdroższe dziecko — brzmiał list — piszę to, póki mogę jeszcze pisać czytelnie. Staram się ze wszystkich sił uratować dla Ciebie pieniądze, które mi pozostały, zatrzymałem je tylko po to, abyś miała z nich więcej korzyści. Należą do Ciebie. Nie przepadną ci; nikt ich nie naruszy. Wynosi to pięćset funtów. Z tego, co zarabiam, nic dotąd dla siebie nie zatrzymałem. W przyszłości, jeśli wyżyję, będę musiał trochę pieniędzy zachować — bardzo mało — aby do Ciebie pojechać. Muszę do Ciebie pojechać. Muszę jeszcze raz Cię zobaczyć.

Trudno mi uwierzyć, że będziesz kiedyś czytać te słowa. Bóg chyba o mnie zapomniał. Pragnę Cię zobaczyć — a jednak śmierć byłaby większą łaską. Jeśli przeczytasz kiedyś te słowa, zobowiązuję Cię, abyś najpierw podziękowała Bogu, który się nareszcie zlitował, bo wówczas nie będę już żył, i tak będzie lepiej. Moje dziecko, jestem u kresu sił.

Następny wiersz zaczynał się od słów: „Tracę wzrok”...

Tego dnia nie czytała już więcej. Ręka trzymająca przed oczami list opadła powoli; smukła postać w skromnej czarnej sukni podeszła sztywno do okna. Oczy jej były suche; ani krzyk bólu, ani szept dziękczynny nie wzniosł się z jej warg ku niebu. Życie było zbyt twarde wbrew wszystkim wysiłkom ojcowskiej miłości. Poskromiło jej wzruszenia. Ale po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich lat przestała czuć jego ciężar, dojmującą troskę ubóstwa, nędzę ciężkiej walki o chleb. Nawet obraz męża i dzieci rozplynął się w szarym zmierzchu; widziała przed sobą tylko oblicze ojca, jakby ją przyszedł odwiedzić, wysoki, tęgi, zawsze pełen spokoju, taki sam, jakim widziała go po raz ostatni, tylko że w jego twarzy było coś bardziej wzniosłego i tkliwego.

Wsunęła złożony list między guziki skromnej czarnej bluzki i oparłszy czoło o szybę trwała tak zupełnie nieruchomo do zmroku, poświęcając ojcu wszystek czas, jaki miała do rozporządzenia. Nie żyje! Czy to możliwe? Boże mój, czyż to możliwe? Cios został złagodzony przez wielkie przestrzenie, przez lata nieobecności. Bywały dni, kiedy wcale o nim nie myślała, bo nie miała czasu. A przecież kochała go, czuła, że go jednak kochała.

<sup>57</sup>Krezus — bogacz (od imienia króla staroż. Lydii). [przypis edytorski]

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/conrad-u-kresu-sil>

Tekst opracowany na podstawie: Joseph Conrad, *Młodość i inne opowiadania*, tłum. Aniela Zagórska, Państwowy Instytut Wydawniczy 1956.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Agnieszkę Kozioł. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Maja Skowrońska, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Susanne Nilsson@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0137-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.